3 1761 08822267 4

ROMANOWSKI

POEZYE

M. ROMANOWSKI.

Tom II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA

zł.

Aër. Pierwszy romantyk, powieść 2

Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie 3

— Opowiadania historyczne, 1 tom 3
1) Pod pół księżycem. 2) Książe Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknej kobiety. 7) Tynna w końcu XVIII wieku.

— Gawędy z przeszłości, 2 tomy 5

Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach . . . . . —

Biblioteka polska. Każdy tom brosz. 1 zł. 80 ct., w opraw. . . 2
T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tom. — III.—VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII.—X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra. Węclewskiego — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna. Powieść historyczna. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez Prof. dr. A. Małeckiego. — XVII.—XIX. **E...ly,** (Asnyk Adam) Poezye, 3 tomy. — XX.—XXII. **Małecki, A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV.—XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 tomy — XXIX—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 tomy. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t XXXIV.—XXXVII. **Romanowski M.** Pisma 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. W druku: **Słowacki J.** Dzieła pośmiertne, wydanie drugie, pomnożone p. Prof. Dr. A. Małeckiego. **Kraszewski I. J.** Poezye. Wydanie przejżane i uzupełnione p. Autora.

Bolesławita B. Hebrydy. — Król i Bondarywna. — Nad modrym Dunajem . . . . . po 2

Bronikowski. Jan III. i dwór jego czyli Polska w XVII. w. 2 t . . 4

El...y. Gałązka heliotropu. Komedya. . . . . —

Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie 2

Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj. 2

Kaczkowski K. gen. szt. lek wojsk polskich. Wspomn. 1808 — 1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy 4

Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły 1

— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy 3

Krasiński Z. Listy 2 tomy 8

Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye, każda po 3

— Jerzy Ossoliński, 2 tomy 7

Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy 6

Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki 4

Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego 2

Monumenta historiae polonica. Pemniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt. 12

Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu 2

Pamiętnik damy polskiej z XVIII wieku 1

Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść 1

— Księżniczka z Minsterbergu 1

Stadnicki, K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy. 2

Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy 3

Sewer. Bratnie dusze. Powieść 2

Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadaia, 3 t. 5

— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy 4

— Medytacye kawalerskie 2

Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiéj i na Syberyi 2

Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść hist. 2 tomy . 2

Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus 3

LP.
R 7597 A
Romanowski, Mieczysław

POEZYE

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ

JAN AMBORSKI.

TOM II.

499264

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1883.

Z drukarni „Gaz. narod.“ J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

VII.

CHORĄŻY.

Powieść.

1.

Cichy, posępny dworzec starosty;
Na murach wiszą z ziela opony,
Po wałach głogi i dzikie osty,
A szczyt wieżycy mchem umajony
Wzniósł się nad braci niby dąb stary,
Któremu mrok już osiadł konary,
I gdy się z wiatrem na młodszych dąsa,
Tylko zielenią głowy potrząsa.
W komnatach smutno — ściany zszarzały,
Nad drzwiami wisi miecz zardzewiały;
Na mieczu plamy, niby krew ciepła,
Tylko, że krew ta już dawno skrzepła;
A szyszak, niegdyś sławą wieńczony,
Już nie rozsiewa skier, opylony;
A kiedy wiatr się w komnatę wkradnie,
To strusiem piórem poszepce zdradnie,
I niby dawną wspomina sławę,
Przygasłą świetność i harce krwawe.

Starosta w dworcu samotny siedzi,
Dawna w świetlicach uczta przebrzmiała,

Rzadko bywają bracia sąsiedzi;
Odkąd małżonkę śmierć mu zabrała,
Sam nie wyjeżdża — braci nie prosi;
Starzec samotność nad gwar przenosi.
Czasami tylko pielgrzym w te ściany
Krok swój przywlecze, drogą znękany,
I wtedy brama żelazna skrzypnie,
A starzec rad mu darami sypnie,
I rad pogada i poczęstuje,
Na dłużej prosi i przenocuje.

Lecz wśród tej murów ponurej smętni
Serce tam komuś weselej tętni;
Jest ktoś, co czasem piosnkę zadzwoni,
Czasem wesołą myślą pogoni,
Lub się uśmiechnie jak róży pączek,
Co brzask wychyla z ciasnych obrączek;
Marya, ojca jedyne dziécię,
Co mu samotne umila życie,
Uśmiech z pod wąsów czasem wywoła,
Gdy zaszczebioce, piosnkę zanuci,
Albo się ojcu na szyję rzuci.

Marja zaledwie w szesnastej wiośnie
Pod okiem ojca jak róża rośnie,
Nie znając czułej matki pieszczoty,
Pędzi samotna wiek życia złoty.
Na pięknem licu tęsknota cicha,
Co się uroczą chmurką rozlała,

Mówi, że serce za czemeś wzdycha,
Czego dziewica pierwej nie znała.
Wtedy uczuciem skrytem wiedziona
Klęka w kaplicy u grobu matki,
I grób jej stroi w najświeższe kwiatki;
Rzewną modlitwą cała natchniona,
Pobiegła smutna, wraca weselsza,
I do starosty w pieszczotach śmielsza;
Znów w ogród biegnie i kwiaty zrywa,
Albo piosenkę wesołą śpiéwa.

Marya innych uczuć nie znała
Oprócz miłości ojca dziecinnej,
Prócz pieszczot jego, pieszczoty innej;
Lecz Marja także kwiatki kochała:
Często, gdy ojciec usnął żnużony,
Szła w ulubione ogrodu strony
Pomiędzy lilje, modre bławatki,
Wonne jaśminy i skromne bratki.
Marya zawsze biegała rankiem
Z kryniczną wodą nalanym dzbankiem,
I polewała spragnione kwiecie;
Tak się bawiła — dziewica — dziecię.

Błogie w ogródku spędzała chwile,
I błogo młoda dusza marzyła;
Między kwiatami tak dumać mile!
Często dziewica za czemś tęskniła,

Lecz za czem? — tego sama nie zgadnie.
Często się czucie do serca wkradnie
Dotąd nieznane myślom dziewicy;
A wtedy iskra spłonie w źrenicy,
Krew zarumieni piękną jagodę
I mocniej bije serduszko młode:
Dziewczę do łona przyciska kwiaty,
Pomiędzy włosy wtyka jaśminy,
Do ust przytula krasne bławaty,
Nie wiedząc sama z jakiej przyczyny;
I gdy śród kwiecia serce wynurza,
Między różami stoi jak roża.

I nieraz wonią róż upojona
Między kwiatami uśnie znużona,
I śni — o kwiatach? — i o czemś więcej
Pomarzył we śnie już duch dziewczęcy.
A gdy się ocknie, — sen ją odbieży,
Śmieje się, wzdycha, — choć snom nie wierzy,
Lecz serce w łonie tęskno zapuka,
A myśl znów wątka swych marzeń szuka.

Bawi się, duma, a czas upływa,
Tęsknoty z czasem coraz przybywa,
Ogródek coraz milszym się staje,
Lecz jego krasie czegoś nie staje,
A choć tak luby a tak uroczy,
Nie sam kwiat widzieć pragną te oczy.

2.

Pół drogi przeszło jaskrawe słońce,
Złocąc swym blaskiem lasowe końce;
Wietrzyk, co lekką niwą powiewał,
Dokoła miły chłodek rozlewał,
A niebo czyste, ni jednej chmurki;
Krasą jaśniały wyniosłe wzgórki,
Co po za dworem pasmo tworzyły
I od północnych wiatrów go kryły.
A w dworcu było cicho jak w grobie.
Starzec w komnacie w zwykłym sposobie
Na poobiedną spoczynku chwilę
Nad Tacytusem czas spędzał mile;
Lubił go czytać i zawsze mawiał,
Że się najlepiej przy nim zabawiał.
A Marja! — Marja między kwiatami
Znów serce bawi złotemi snami.
Choć niby sama — w myśli nie sama!
Wtem, że gość przybył, dał znak odźwierny;
I wnet skrzypnęła w wrzeciądzach brama,
A dziarski młodzian w dworzec obszerny
Wjechał na koniu przez most zwodzony.
A znać z niebliskiej przyjechał strony,

Bo siwy rumak zbiegany mocno,
Może i drogę przebywał nocną.

Był to chorąży z pułku husarzy;
Młody, zaledwie wąsik na twarzy
Zasiał się lekko, lico urodne,
Rumiane, męskie; czoło pogodne
Wzniosło się hardo ponad brew ciemną;
W ruchu miał jakąś hardość przyjemną.

Wszedł i staroście skłonił się grzecznie,
Starzec mu rękę ścisnął serdecznie,
Po staropolsku szczerze powitał;
O zdrowie, mienie rodziny pytał,
Bo go znał dzieckiem, a z ojcem jego
To się kochali jako brat z bratem;
Rad był starosta z młodziana zatem,
Bo w nim miał obraz druha dawnego,
Z którym pół życia na sejmach, w bojach
Przeżył w kontuszu, lub jasnych zbrojach,
I przy ogniskach nocnych, obozem:
Często na wozie — czasem pod wozem.

Wtem Marja weszła. — Młodzian się skłonił,
I na obliczu ogniem się spłonił,
Bo tyle krasy i wdzięku tyle
Dziewica w sobie złączyła mile,

Że w głębi duszy nad nią się zdumiał
I ledwie zachwyt swój pokryć umiał.
I już mu nie szła z starcem rozmowa.
Jakoś się w myśli plątały słowa,
A ile razy starzec się zwróci,
To on na Marją źrenicę rzuci,
Potem znów z starcem rozmowę toczy;
Lecz wciąż za Marją biegają oczy.

A Marja niby rozmowy słucha,
Ale jej jakoś nie lgnie do ucha;
Ona szczebiotka, dzisiaj milcząca
Między ich sprawy myśli nie wtrąca,
Tylko wzrok utkwi w lico młodziana:
A w wątku marzeń myśl rozbujana
Gdzieś po zamglonej szuka pamięci
I senne rojeń widziadła nęci,
Co jakby duchy w kwietnej oponie,
Mając gwiazdami wieńczone skronie,
Stawają wszystkie jasnym obrazem
W sercu i w myśli i w oczach razem,
A potem wiodą, w jaw zestrzelone,
Na twarz młodziana oczy zdziwione.

A gdy skończono skromną wieczerzę,
Starzec odmawiać szedł swe pacierze;
A więc młodziana za rękę ścisnął,
Na czole Marji całus wycisnął,

Życzył dobranoc, wyszedł z komnaty;
A tak nawyknął czynić od laty.
I Marji zostać obyczaj wzbrania,
A gdy żegnała, to modre oczy,
Co siały taki odblask uroczy,
Skromnie rzęsami na pół osłania;
Jednak się światło z pod rzęs wykradło
I na młodziana lico upadło.

Gdzie szła? w ogródek swój ulubiony,
Co śród wieczornej kraśniał osłony;
Siadła, oparłszy skronie, dumała
I liść stokroci po liściu rwała;
Potem pobiegła gdzie róże były,
Znów gdzie fijołek zakwitał miły,
To się poiła wonią powoju;
Lecz sercu trudno znaleść pokoju,
Bo coraz mocniej w łonie pukało:
Ponoś znalazło, czego szukało!

3.

W dworcu starosty czas rychło spływał.
Chorąży młody bawi w gościnie,
A czas mu jakoś tak lubo płynie,
Żeby tu całe wieki przebywał.
Ze starcem robią wycieczki częste
Na łowy w lasy, we zwierza gęste,
Lub ze sokołem na ptactwo w pole;
A gdy się łowy snadnie udadzą,
To starzec wtedy wesół przy stole,
Kiedy gąsiorek z miodem podadzą,
Rad opowiada lata swobody:
Jak mu na bojach spływał wiek młody,
Pod czyją wodzą dobił się sławy,
Gdzie, z kim toczyli wtedy bój krwawy,
Gdzie konia stracił, sam był raniony,
Jak mu druh wierny szedł do obrony,
Jak go piersiami swemi zasłaniał,
I krzywą szablą wrogów odganiał.
A gdy to wspomniał, łzy z oczu płyną
I pił na brata pamięć jedyną.
Potem o sejmach, o cudzych krajach,
I o tych prawych ojców zwyczajach;

A gdy się czasem miodkiem podchmieli,
To i wesołym żartem wystrzeli.
Ale gdy starzec wieczerzę rzuci,
I do swojego Tacyta wróci,
A młodzi czasem zostaną sami,
O! wtedy raźniej idzie rozmowa;
A chociaż niby zwyczajne słowa,
Oni przez usta mówią sercami.
Nie słów tam krasa myśli ubiera:
Jedno westchnienie, uśmiech w prostocie
Powiedzą więcej niźli słów krocie, —
Tam cała dusza przez myśl przeziera!

Młodzian bo hoży; Zdzisław mu miano.
Ho, ho, w gorącem znać go kąpano,
Bo tyle krasy na jego twarzy
A takim ogniem oko się żarzy,
I tak zwierciedli duszę ognistą, —
Rzekłbyś, że widzisz krynicę czystą,
W którą, gdy słońce promień swój wpije,
To jak w źwierciedle obraz odbije.
Czasem na Marją gdy wzrok ten padnie,
To śnieg z jej lica jak słońce kradnie,
A twarz się cała w płomieniu nurza
A na jagodzie wykwita róża...
Ona już kocha! nie kochać trudno.
A kiedy spojrzy w jego twarz cudną
Wyrazem męstwa, dumy na czole,
Gdy jej zabłyśnie oko sokole,

To serce zadrży, zatli się oko
I pierś się wznosi wolno, szeroko;
A prędzej zorza nie wstanie z rana,
Niżby nie kochać miała młodziana.
A kocha szczerze, o! serce młode,
Chętnie rzuciło dawną swobodę,
I w pęta róży lubo uwite
Bije i tai zapały skryte;
Tylko się zdradza, gdy przy spojrzeniu
Urodne lico stanie w płomieniu.

A Zdzisław? kocha; czyż trzeba więcej?
Niech tylko ujrzy uśmiech dziewczęcy,
Niby poranek wiosny uroczy,
Kiedy usteczka wdziękiem otoczy;
Lub niechaj szkarłat wstąpi na lica,
Lub zadumana westchnie dziewica,
Lub jej źrenica zatli paląca,
Lub arfę drobna rączka jej trąca;
To nim tak włada potęga czaru,
Że choćby była w piersiach tych skała,
Toby się przecie stopić musiała
Od tych płomieni i tego żaru.
Przy niej wre ogniem, bez niej mu nudno,
A że ją kocha, wyznać mu trudno.
Chciał jej powiedzieć już tyle razy,
Ale mu zawsze brakną wyrazy;
I znowu chwili sposobnej czeka,
A kiedy przyjdzie, nie śmie, odwleka.

Wieczór był cichy, a gwiazdy kołem,
Niby sny złote nad młodem czołem,
Jawią się zwolna po niebie sennem,
Witając ziemię blaskiem promiennym.
A o wieczorze w cichej krzewinie
Spiewka słowika melancholijnie
I tak żałośnie wkoło rozbrzmiewa,
Niby tęsknotę ptaszyna śpiewa.
A Zdzisław z Marją i już dłoń w dłoni
Idą wśród lubej wieczornej woni,
Blaskiem promieni z wesołą twarzą;
To w gwiazdy patrzą, to z sobą gwarzą.

»O Marjo moja!... w szczęściu szaleję!
I ty mię kochasz?!... powtórz raz jeszcze,
Niech słów twych dźwiękiem serce rozpieszczę,
Słodkie to brzmienie niech w duszę wleję.
Marjo! ty kochasz?! i toż być może?
O jakżem szczęśliwy, jak serce rośnie;
Słuchaj, jak o pierś uderza głośnie:
Dłoń mi twą podaj, niech tu przyłożę,
Tu, tu do serca, bo mi się zdaje,
Że dla mnie nowa zorza powstaje,
Że już ją widzę, jak wstaje złota
Dni opromieniać mego żywota.
Marjo! już widzę brzask jej daleki...
O! ty mię kochasz, powiedz, Aniele!
To jedno słowo — a w niem tak wiele,
A jabym słuchać chciał je przez wieki!!!...«

»Kocham, Zdzisławie!« drżąca odpowie,
On klęka — rękę ciśnie do łona,
Gdzieś w niebo leci myśl rozkwiecona.
I idą dalej, dalej w rozmowie.
A gwiazdy, siejąc promienne zdroje,
Blaskiem swym pieszczą kochanków dwoje.

Szczęśliwe z sobą spędzają chwile:
Czas im się stroi w skrzydła motyle,
I niby motyl z lilji ucieka,
Bo tam na niego różyczka czeka;
Z kwiatu na kwiatek, z błoni na błonie,
Gdzie trawki więcej i słodsze wonie,
Kochanków z sobą unosząc, leci,
I ślad przed nimi różami kwieci!

Ojciec się niby czegoś domyśla,
Ale znać jakoś niekontent z tego.
Czasami spojrzy na chorążego
Bystro, potem się długo namyśla;
Czasem na Marją rzuci źrenicę,
Jakby wybadać pragnął dziewicę,
Czy się przypadkiem nie zdradzi płocha,
Że już Zdzisława tajemnie kocha.
Lecz czemuż byłby niekontent stary?
Czy mu to jego psuje zamiary?
Czy mu to może partja nieświetna?
Wszak i Zdzisława jest krew szlachetna,

I z równie starej szlachty się rodzi
I liczny poczet przodków wywodzi.
Że ów chorąży a on starosta,
Lecz urodzenie tu zawsze sprosta.
Myśli starosty trudno kto zgadnie:
Gdy mu się raz co do głowy wkradnie,
To długo, długo kryje przed światem,
A w końcu przecie postawi na tem.

4.

Było to rankiem — Zdzisław w świetlicy
Przy wąskiem oknie siadł zamyślony,
I patrzył długo w ogrodu strony,
Czy gdzie z za krzewów szata dziewicy
Nie mignie biała wiadomym znakiem,
A onby do niej poleciał ptakiem.
Jemu dziś tęskno i smutno w duszy,
I serce jakoś bije żałośniej, —
A kiedy myśl nim jaka poruszy,
To o pierś twardą uderzy głośniej,
Jak by te piersi rozerwać chciało,
Że mu do bicia miejsca za mało.
Czegoż tak smutny chorąży młody?
Dzisiaj odjeżdża — dziś ją porzuci.
Rozkaz odebrał od wojewody, —
Odjechać musi, lecz kiedyż wróci?
I myśl za myślą leniwo płynie,
A kiedy wspomni chwile minione,
Myśl się uroczym kręgiem rozwinie,
I rozpogodzi czoło strapione,
Niby jak pasmo barwistej tęczy,
Co się śród burzy do ziemi wdzięczy! —

Marja go kocha — to mu balsamem!
Kochać przysięgła przed Bogiem samym,
I kochać będzie — jako świat światem!...
Aleć starosta czy będzie za tem?
On swymi pyszni się antenaty,
Ha — z ojcem jego żył on przed laty;...
Może też wiernej druha pamięci
Starosta dumę swoją poświęci,
Może pozwoli? — lecz trudno prosić:
Jeśli wyniosły w nieczułej dumie
Boleści serca pan nie zrozumie...
A miał by jego pogardę znosić, —
O! toby wolał, niech go w swem łonie
Matka ziemica żywcem pochłonie!
Bo choć uboższy, to sercem hardy;
Serce by pańskiej nie zniosło wzgardy.
Choć Marją kocha, — to — ... »chroń mię, Boże,
Przed Tobą głowę schylam w pokorze;
Niech mię od tego anioł stróż broni!« —
I w duszy myśl mu za myślą goni:
Co która wzleci, to wraca łzawa —
A w sercu walka toczy się krwawa;
O! bo też nie ma większej katuszy
Od niepewności dla młodej duszy!

Gdy mu powrotu rozkaz wręczono,
Jakaż mu walka szarpała łono!
Chciał u nóg starca wyznać, co czuje;
Ale myśl jakaś wciąż go wstrzymuje,

Na duszy jakaś leży zapora,
Co mu wciąż szepce: jeszcze nie pora! —
Duma i patrzy, wtem z poza drzewa
Leciuchna szata Marji powiewa;
Dziewica smukła lekkiemi kroki
Szybko przebiega ogród szeroki,
I kędy okno było Zdzisława
Między krzewami jak kwiatek stawa.
Młodzian w ogrodzie ledwie ją zoczył,
Skinął i szybko ku drzwiom poskoczył,
Ptakiem przeleciał kamienne schody,
już przy Marji chorąży młody.
»Już nas porzucasz?« Marja spytała,
»Pamiętaj o nas!« a łezka mała
Jasnym brylantem stanęła w oku,
Przydając pięknej Marji uroku.

A Zdzisław na to: »O Marjo miła!
Znajdzie się, powiedz, w świecie ta siła,
Któraby mogła wyrwać od ciebie
Serce, co z twojem tak zgodnie bije,
Tobą oddycha, dla ciebie żyje;
Coby bez ciebie, jak kwiat bez słońca,
Zwiędło i zeschło w mękach bez końca?
Nie, Marjo moja! na Boga w niebie,
Na mą ojczyznę klnę się, że wrócę...
Twojemu ojcu do nóg się rzucę,
Lecz ty mię kochaj! pamiętaj o mnie!«
I dłoń jej białą przyciskał skromnie.

A Marji w oczkach łezki stanęły
I po obliczu krasnem płynęły:
A łzy to pierwsze, czyste jak rosa,
Co z gwiazd wieczornych sieją niebiosa,
Czyste, bo z serca, co w młodem łonie
Szczerą miłością pierwszy raz płonie.

»Marjo!« bądź zdrowa! »Bywaj zdrów, luby!
Niechaj cię Stwórca chroni od zguby!
Powracaj do nas, a baw niedługo!«
Zdzisław jej rękę cisnął w swej dłoni,
Spojrzał raz jeszcze, a potem smugą
Pomiędzy kwiaty do dworca goni.

Przed dworcem stoi koniczek siwy,
Rwie się do biegu, rży niecierpliwy,
Czeka na pana, a pan w komnacie
Z mieczem przy boku, w podróżnej szacie
Pana starostę pożegnać śpieszy.
I za gościnność złożyć podziękę.
Przyszedł, a starzec ścisnął mu rękę,
Polecił Bogu i świętej rzeszy,
I Czystej Pannie na Częstochowie.
A potem wina kazał dać sobie,
I pił na wyjazd w szczęśliwej dobie,
Drogę szczęśliwą, pomyślność! zdrowie!

Już Zdzisław młody podwórcem goni,
Już o most twardy podkowa dzwoni.
Rumak ochoczy, — lecz panu smutno;
Wstrzymuje konia wesołość rzutną,
Bo może w oknie stoi tam ona,
Może powieje biała zasłona!...
A kiedy pędził w polu szerokiem,
Na dworzec jeszcze raz rzucił okiem,
Podumał, westchnął, wnet pole minął,
I w ciemnym lesie z przed oczu zginął.

5.

Wieczór cichy; lubo, senno;
Wietrzyk wionął mgłą wiosenną.
A w ogródku, tam w krzewinie
Pieśń słowika łzawo płynie;
Tęskno, rzewnie,
Dźwięcznie, śpiewnie
Po gałązkach brzmi.
A śród krzewów, kwiatka boża
Tęskni, duma Marja hoża,
To po gwiazdach oczkiem wodzi,
To żar piersi rosą chłodzi;
A z jagody
Kwiat swobody
Znikł; łza oczko ćmi.
Gwiazdki płyną po błękicie,
Szkli się rosa w ich rozświcie;
A płacząca brzózka w dali
Włos swój kąpie w modrej fali;
Smutna, miła
Skroń spuściła
Ponad bujny kwiat.
A przy brzózce, jako ona

Stoi Marja zasmucona,
I o brzózkę skroń opiera,
Białą rączką łzy ociera:
Myśli cieką
Gdzieś daleko
Za kochankiem w świat.

Coś tam fala z trawką szepce,
A po trawce wietrzyk depce,
I całuje w skroń zieloną
Córę ziemi rozpieszczoną;
Potem zdradnie
Rosę kradnie
Z lica pięknych róż.
A przy różach, sama róża,
Marja oczka do snu zmruża,
I oparła czółko w dłonie,
Wietrzyk pieści senne skronie;
Główkę schyla...
Chwila... chwila...
Dziewczę marzy już!

6.

Pana Starosty był dzień patrona.
Dawniej to huczno śród braci grona
Starosta dzień ten spędzał wesoło;
I gdy się zeszło braterskie koło,
Na dworze jego przy dniu imienia,
To od wiwatów drżały sklepienia,
A od mis srebrnych gięły się stoły.
Nieraz w tym dworcu ze szlachtą społy
Starosta walne odprawiał rady
Nad sprawą kraju, lub godził zwady;
A gdy się zgodzić braci udało,
Znów od wiwatów sklepienie drżało.
Ale od czasu śmierci swej żony
Nie dawał biesiad starzec strapiony.
Żył tylko Marji i kraju sprawie,
A nie poświęcał chwili zabawie.
Dzisiaj tu ważna zaszła odmiana;
Starosta gońców rozesłał z rana
I panów braci do siebie sprasza;
A swe rozkazy w dworcu ogłasza:
Jakie z piwnicy wino wytoczyć,
Znów, by pokrowce ze ścian odtroczyć;

By wszystko stało hojno, gotowo, —
A sługom jedno dość pańskie słowo.

Starosta, strojny w ubior bogaty,
Przywołał Marją do swej komnaty,
By, nim przybędą bracia sąsiady,
Jej opowiedział cel tej biesiady.
Przybiegła Marja, lecz nie wesoła,
Cień na jej czole smutku anioła.
Choć w ustach uśmiech, oczko zamglone,
Znać, że niedawno łezką zwilżone;
Na licu jakaś zaduma cicha,
A pierś jej młoda co chwila wzdycha.
Starzec ją czule całował w skronie,
I rzecze: «Marjo! — patrz, włos mój biały,
Wkrótce już resztki życia dogonię;
W grób ojców pójdzie starzec zgrzybiały,
A wtedy, Marjo! ty sama jedna,
Byłabyś w świecie sierota biedna!
Dla tego, dziewko, nim legnę w grobie,
Chciałbym ja znaleść obrońcę tobie,
Co by miał serce i dobre miano,
Cnoty Polaka, cześć nieskalaną,
I by mi kochał jedyne dziécię,
Które mu swoje poświęci życie.
Ty płaczesz, Marjo? rozpogódź czoło,
Tyś mi najdroższa, bądź mi wesołą!
Dziś ucztę daję dla ciebie, miła;
Zjadą się bracia i młodzi siła,

Bądźże wesoła, dla młodzi grzeczna,
A słuchaj ojca, dziewko serdeczna!»

Marja się we łzach ojcu przymila,
Całując rękę, główeczkę schyla,
I rzecze: «Ojcze, jam taka młoda,
Żal mi cię rzucić, i lat mi szkoda.
Pozwól mi, ojcze, jakiś czas jeszcze
Niech się swobodą moją popieszczę.»
Starosta na to nie odpowiedział,
Tylko popieścił jej lica gładkie,
A w myśli odgadł słów tych zagadkę,
I gdzie tem dąży, z niej się dowiedział:
Ha, ona kocha już chorążego.
On sobie jakoś nie życzył tego;
Miał zamiar inny, dawne umowy,
A tu mu, panie, jak sęk do głowy
Wpadła dziewicy miłość tajemna,
A był już pewny, że jest wzajemna.
I choć ją pieścił, w skronie całował,
Jednak wyniosłe czoło sfałdował,
A poprawiając żupan z atłasu,
Myślał: zostawić trzeba do czasu.

7.

Wesoło w dworcu, uczta wspaniała;
Szlachta się w koło stołów zebrała;
Jaśnieją kordy w jaszczur oprawne,
Wartkie w zamachu a w cięciu sprawne;
A wszyscy strojno w lamy, atłasy,
A przy żupanach złociste pasy;
Strojno, a dworno, jako przystało,
Aleć i serca jest tam niemało!
Starzec rad gościom; co mu sił stanie
Zachęca, prosi, bo bez przynęty
Sama malaga niczem, mospanie, ...
A to był ojców obyczaj święty!

Idzie też hojno, nieskąpo wina.
Już puhar kołem krążyć zaczyna,
Z ręki do ręki, a w niezawodne:
Wiwat! wnet hukną piersi swobodne,
A stary węgrzyn przy dobrem słowie
Miłe dowcipy utwarza w głowie.
A u starosty był puhar stary,
Z złota wykuty, niezwykłej miary,

Z herbem familji, strukturą rżniętą,
Więc tym wiwaty spełniać zaczęto.
Solenizanta najpierw spełniono;
Wiwat! niech żyje! i powtórzono.
Potem niech Polki żyją nam hoże,
Nasze dziewice krasne jak róże!
I młodzież nasza! nasze nadzieje!
Niech nam fortuna zawsze się śmieje!
Niech wróg przepada! a cześć walecznym;
Pamięć, co snem już posnęli wiecznym!
Rex vivat nobis! korona miła,
Na którą Stwórca niech łaskę zsyła;
(Toast na świetne losy korony
Trzykroć od braci był powtórzony.)
W końcu nalana czara ostatnia:
Vivas aeternum, miłości bratnia!

Hej, brzmi muzyka raźno, ochoczo,
Wnet razem chłopcy w taniec poskoczą,
Przy nich dziewice miłe, powabne,
Jak jaskółeczki w polocie zgrabne.
Mazur to, mazur! już kołem stają,
To znów szeregiem w parach pląsają,
To znów się zwiną, niby jak wieniec,
Potem dziewicę rzuca młodzieniec,
I idą z wianka w przeciwne strony,
Niby żórawi sznur rozlecony;
Znów się wracają, hołupca biją,
I w pląsach wieniec na nowo wiją;

Teraz się ręce krzyżem splątały
Niby się w bukiet kwiaty związały;
Znów się rozskoczą, dzielą się pary,
A młodzież chwyta pełne puhary,
Przed dziewicami w ukłon się chyla
I za ich zdrowie puhar wychyla.
Ha! otóż znowu figura inna,
Osobny szereg tworzy młodź zwinna,
A im naprzeciw krasne dziewoje,
Niby w bluszczowem paśmie powoje,
Ręka przy ręku powabnie stają
I zagniewane niby udają.
Potem jak fale razem się zbiegną,
I odtrącone w dwie strony biegną,
Znowu się zbliżą, hołupca biją,
I już tan piękny parami wiją.

I Marja pląsa, ale się zmusza.
Oj, nie tu buja młoda jej dusza;
Choć chwaty młodzież, wnet jaki taki
Do pięknej Marji tnie koperczaki,
Ona ich zimno mierzy oczyma;
Bo jej Zdzisława pośród nich nie ma.
O! gdyby on był, to by dziewica
Radości ogniem skrasiła lica
I szłaby w taniec ochoczo, miło,
Bo by i serce inaczej biło.
Teraz na taniec ona nieczuła,
Lubą tęsknotą oczka osnuła,

I blado róża kwitnie na twarzy,
A myślom jakoś smutno się marzy.

Smutno po uczcie w starosty grodzie,
I dnie za dniami leniwo cieką
W tę nieskończoność czasu daleką,
Jak mgliste zjawy na cichej wodzie.
Coraz smutniejsza piękna dziewica;
A chociaż lato ogród rozkwiéca,
W bluszczach powoje wabią swą wonią,
A po gałązkach ptaszęta dzwonią,
Rzadko Marya tu kiedy stanie;
Smutnej nie cieszy ptasząt śpiewanie,
Ni krasa kwiecia, ni pól swoboda,
Bo o kochanku śni dusza młoda.

8.

Noc była ciemna a od zachodu
Wicher szalony siekł w bramy grodu,
I gonił chmury gromem brzemienne
Ponad równiny opola senne;
Czasem gdzieś piorun zabłysnął w dali
Na chmur ściemniałych kłębiastej fali,
A ponad stare lepianek strzechy
Puszczyk rozlewał szyderskie śmiechy.
A tam od wiatru przeciwnej strony
Straszliwe wieści mkną przez zagony,
A za wieściami straszliwe czyny
I sroższe od nich Nogaju syny.

Coraz to smutniej wicher szeleści,
Coraz straszniejsze o dziczy wieści
W grozie powtarza lud przelękniony.
W dali gdzieś jękną czasami dzwony;
Pojęczą chwilę, umilkną potem,
Tylko dym czarny mglistym rozkotem
Z płonących wiosek pod niebo leci,
A w nocy łuna szkarłatna świeci.

W dworcu starosty smutno, ponuro;
Wesołe czoła skryły się chmurą,
A od dni kilku z wschodzącem słońcem
Przez las pomyka goniec za gońcem;
Ledwie ten wróci już śpieszy drugi.
Starosta wszystkie uzbroił sługi,
Bo go wieść doszła, że w wielkiej sile
Tatarzy stoją ledwie o milę,
I dworzec napaść już zamierzyli,
Tylko sposobnej czekają chwili.

Na wsie i grody gońców wysłano:
Niebezpieczeństwo starzec donosi
I panów braci o wsparcie prosi:
Niech, jeśli łaska, w pomocy staną.
A Marja biedna w trwodze truchleje;
To cios za straszny na młode łono!
Czasem nadzieja serce ogrzeje,
A wtedy myśli weselej wioną
I jedna z drugą idzie w zawody:
Może się dowie chorąży młody,
Jaki cios straszny grozi kochance,
Jaka jej serce objęła trwoga,
Gdzie nizkąd rady — prócz wsparcia Boga, —
Toż przyjdzie w pomoc ojcu, bohdance.
A gdy tak marzy, o! to w tej chwili
Krew się po sercu rozlewa milej.
I uśmiech igra i oko pała,
Jakby zwycięzcę już w nim widziała.

Wtedy do starca komnaty śpieszy
I strapionego nadzieją cieszy,
Jakąś mu pomoc wciąż obiecuje,
Mówi, że w sercu to swojem czuje.
A kiedy starzec, pieszcząc jej lica,
Pyta: »Zkąd pomoc?« milczy dziewica
I do ust ciśnie prawicę jego,
A starzec szepnie: »Ponoś nic z tego!«

9.

Dzień po dniu płynie, już stają czaty
I śledzą okiem jak wróg się zbliża,
A z murów dworca nieme armaty
Czekają tylko, gdy iskra chyża
Na proch milczący szepcąc upadnie,
A ciche działo gromem zawładnie.

Trzema chmurami ciągną poganie
I już z wieżycy jęknęły dzwony,
Niosąc jęk smutny na pól zagony,
Jakby rozpaczy z grobu wołanie.
A w starych murach ciemne strzelnice
Mchem jakby rzęsą kryją źrenice,
Które, gdy nagle z pod mchu zabłysną,
To tysiąc żądeł na wroga cisną.
Nieraz witając one błyskały,
Kiedy szeregi z sławą wracały
Z dalekich wypraw, aby po czynach
Na krwią zdobytych spocząć wawrzynach.
Albo przy uczcie, gdy zdrowia pito,
To z dział murowych na »vivat!« bito,

A wietrzyk echo niósł na wsze strony,
Potem powracał, znów odrzucony.
I teraz wicher echo poniesie,
Ale go groźnie odrzuci w lesie,
I teraz one błysną jaskrawo,
Lecz — aby wroga powitać krwawo.

Zamknięto bramy, a ksiądz w kaplicy
Do Przenajświętszej Marji Dziewicy
Prawi mszę świętą. — Osada zbrojnie
Wotami obraz ubrała hojnie;
O ocalenie zanosi prośby,
Niech Bóg odwróci od kraju groźby.
Potem ksiądz z ludem śpiewać zaczyna:
O salve nobis, coeli regina!

A po mszy zbrojni śpieszą na wały;
Tatar się zbliżył, świsnęły strzały,
Dano znak walki: dworca osada
Do niemych armat lonty przykłada;
Cicho — dym buchnął, już gromem ryczą,
I pociskami w powietrzu syczą,
Niby gadziny z paszczą otwartą
Plwają żądłami na dzicz zażartą.
Tatar się cofa, o! wielu stracił;
Niejeden życiem pośpiech zapłacił,
Bo służba działem kieruje dzielnie,
Choć strzela rzadko, lecz za to celnie.

Tatarzyn z lasu wyciąga dyle,
Aby je w poprzek położyć mostem
Przez fosę gęstym zarosłą ostem,
I ciągnie znowu w liczniejszej sile;
Lecz z dział murowych znów wymierzono
W samo tatarskich zastępów łono;
Zawyły dziko, po ich rozgłosie
Tatarzyn trupem upadał w fosie;
Reszta w ucieczce szuka ochrony,
Pierzchają śpiesznie na wszystkie strony.

Wścieka się Hana dusza zajadła,
Twarz jego śniada trupio pobladła,
Wyrywa z brody zsiwiałe włosy,
Bo z murów słyszy szydercze głosy,
Któremi wciąż go osada wita,
Gdy od nich pierzcha horda odbita.
I znów do szturmu z krzykami »Ałła«
Ciągnie zaciekła dziczy nawała.
Znowu z dział biją i z rusznic palą,
Ztąd i ztąd trupy w fosy się walą,
Lecz już Tatarzyn nie cofa kroku,
A przez łuczników wspierany z boku
Na dworzec ciągnie już w całej sile; —
Dym — działa ryczą — ha! jeszcze chwilę...
Próżna obrona! — wnet trupów stosy
Mostem wrzucają pohańcy w fosy,
W prawicach błysły ciężkie topory,
Od cięć krociowych padły zapory;

Brama żelazna już wyłamana,
Już się w nią ciśnie czerń niewstrzymana,
I tylko jeszcze z baszty wystrzały
Na Tatarzyna celnie padały.
Podwórze wzięto; — przeważnej sile
Ulegnie kilku mężnych za chwilę.
Dziki pohaniec przewagę bierze,
Bo mu wciąż siły nadchodzą świeże,
Ale sług wiernych garstka zebrana
Przysięgła umrzeć za swego pana;
I giną mężnie!

Wtem do kaplicy,
Gdzie klęczał starzec koło dziewicy,
Wbiega domowy i rzecze: »Panie!
Już wyłamali bramę poganie, —
Niewielu broni wstępu do dwora.
Panie, do modłów teraz nie pora; —
Starego sługi posłuchaj ninie,
Który za ciebie sam chętnie zginie«.
»Mów: co mi radzisz?« starzec odrzecze,
A łza wdzięczności na wąs mu ciecze.
»Przy tylnej furtce; — kędy za murem
Cieniste krzaki ciągną się sznurem,
A potem idzie łąka daleka,
Tam, Panie, na cię sześć koni czeka.
Dla Ciebie jeden — dla Panny drugi,
Na resztę wsiędą twe wierne sługi,
Co będą jechać ku twej obronie,

Gdyby was miały napaść pogonie.
O uchodź, Panie! sługa cię błaga!
Niebezpieczeństwo coraz się wzmaga!«
»Co? ja uchodzić, — gdy wy giniecie?!
Nie — nie! zostanę — to być nie może!«
»Panie! co czynisz? — a twoje dziecię?«
»Dziecię!« zawoła, — »o wielki Boże!
Dziecię! ha! Stwórco, daj silną duszę!«
Potem rzekł ciszej: »uchodzić muszę!«

Pomógł wstać córce; w niemej podzięce
Wiernemu słudze uścisnął ręce;
I korytarzem po za kaplicą
Pośpieszał razem z drżącą dziewicą,
I szedł w milczeniu przez ogród cały,
Gdzie lotne konie na nich czekały.
Najpierwsza Marja, starosta potem,
Wsiedli i konie puścili lotem:
Pomiędzy krzewy drą się schyleni,
Patrzą, od dworca już oddaleni,
Przed nimi łąka, ha! tu już wolni!
Lecą co siły jak ptacy polni;
Byle gród pierwszy, pierwsza wioszczyna
A umkną pewnie z rąk Tatarzyna.

Pędzą; wtem Han ich na błoni zoczył,
I gniewnem okiem po swoich toczył,
A krew mu z oczu iskrami bryzga:
Tu mu się zdobycz droga wyślizga,

Droższa niż w dworcu rzędy i szaty,
Bo za nich wziąłby okup bogaty.
«Ha!» ryknął dziko, «w pogoń za nimi,
Ale ich do mnie stawić żywymi.»
I mknęły w pogoń dziczy dwie sotnie,
Przez czahar, krzewy, ochoczo, zwrotnie,
Bo rozkaz Hana to rzecz im święta,
Świętsza niż koran i wieczne pęta,
Któremi w raju niebios hurysy
Wiążą do siebie dzielne farysy.
Umykaj, starcze! patrz, co za siła
Tumany pyłu za tobą wzbiła!
Konie ich rącze jako wiatr stepu,
Co, gdy się wymknie z głębi wertepu,
Niszczącem skrzydłem przeleci niwy,
Nim u stóp mogił legnie nieżywy!

Zobaczył starzec siłę ich wielką:
«Ratuj nas, boża Ty Rodzicielko!
Święci anieli, swemi skrzydłami
Chrońcie mi dziecię przed Tatarami!...
Marjo! zginiemy; bracia, za miecze!
Zginmy! lecz pierwej niech krew pociecze!»
Wnet lejc do siodła swego przytroczył,
I z nagim mieczem na wroga skoczył.
Ciął, kto mu pierwszy zastąpił drogę;
Koniowi lekką dając ostrogę,
Połyskał mieczem w lewo i w prawo, —
Miecz padał czysty a wstawał krwawo.

Tatarzy cisną, trudna tu rada;
Starzec znużony już z sił opada,
A choć mu jeszcze błyszczy miecz w dłoni,
I piersią starą swej Marji broni,
Serce mu ciśnie śmiertelna trwoga:
Ha! zdać się trzeba na wolę Boga!

10.

A wtem od jarów tuman się wzbija
I ciemnym kłębem w pole wywija,
I jeźdców widać. «Boże, to nasi!
Tak! biały orzeł chorągiew krasi,
O Bóg ich zsyła, Zdzisław ich wiedzie!
Tu! ku nam, ku nam! To On na przedzie!»
Woła dziewica, chustką powiewa,
A w słowa serce całe przelewa,
I nowy ogień w oku jej płonie,
Nowa nadzieja wzbiła się w łonie.

Już z pyłu wyszedł oddział husarzy,
Już czwałem goni na zastęp wraży,
A przy chorągwi tuż Zdzisław młody.
On, gdy go doszła wieść tej przygody,
Że dworzec starca jest w oblężeniu,
Rozpłonął cały w dzikim płomieniu;
Na myśl, że Marja, — o chroń ją Boże! —
Może już jęczy w pogan taborze,
Krew cała z twarzy w serce uciekła,
A duszę rwała furja mu wściekła.

Przy wejewodzie stał on na leży,
Więc zaraz z wieścią do niego bieży;
Prosił o hufiec i ku pomocy
Pogonił jeszcze tej samej nocy.

Chorągiew wpada, Zdzisław na czele.
Na Tatarzyna godzą już śmiele;
Zeprą się w szereg, konie pocisną,
Najeżą kopje, dziryty świsną:
Wszczyna się walka, kurz w niebo leci,
A miecz Zdzisława jak piorun świeci.
Ciął wprost, a teraz już z lewej strony
Pierwszy wróg z konia padł powalony,
Co mu od starca zastąpił w drodze.
Wtem strzał mu czoło rozranił srodze.
Zachwiał się; ze krwi obtarłszy oczy,
Potem jak piorun na wroga skoczy,
Trupami ściele w lewo i w prawo;
Tatarzy klęskę ponieśli krwawą.

Lecz ciągle walczy dzicz niewstrzymana,
O! bo pamięta na rozkaz Hana.
Jeszcze chwil kilka, szereg złamany!
»Hej! górą nasi!« Zdzisław zawoła,
Błyskając mieczem zemsty do koła;
Miecz krwią gorącą świeżo oblany
Jak wąż szkarłatny pada na wrogi,
Wszelkie zawady żmiatając z drogi.

Wreszcie przewalczył, i spiesznie wpada,
Gdzie przy staroście dziewica blada
Z przestrachu niema na koniu drżała,
Bo twarz Zdzisława we krwi ujrzała.

Uwolnił swoich z rąk poganina;
Gdy mu dziękować starzec zaczyna,
On mu prawicą wskazał na dworzec,
A starzec nawet słów nie mógł dorzec;
Bo on zwyczajem rycerzy dawnym
Skinieniem miecza od piersi sprawnem
Powitał starca i swą bohdankę,
A potem dalej w czwał na hulankę
Z skrwawionym mieczem poleciał śmiało,
Że aż powietrze za nim świstało.
I nie chciał słyszeć podzięki końca
W szlachetnym szale młody obrońca,
Tylko wiedziony zapałem męztwa
Gnał z hufcem odnieść resztę zwycięztwa.
A za nim Marji chusteczka biała
Niby anioła skrzydło powiała.

O tu go czeka ciężka rozprawa!
Znowu się walka rozpocznie krwawa.
Tatarów siła! sam Han przedzie
Dzicz na chorągiew Zdzisława wiedzie.

Stoją półkolem poganów szyki;
Pod niebo lecą »Ałła« okrzyki,
I wnet strzał chmura zakryła słońce.
Wtem na nich gradem spadli obrońce,
Że aż od ciosów ziemia zadrżała.
Piękna to chwila! gdy garstka mała,
Miłością kraju na bój wiedziona,
Z Bogiem na sercu a z mieczem w dłoni,
Matkę najdroższą własną krwią broni
I wrogów sile nastawia łona,
W serc bohaterskich świętym zapale
Nie ważąc, czyje pełniejsze szale!
Takiem uczuciem Zdzisław natchniony
Wpadł na Tatarów straszne zagony;
Nie patrzył, jaka siła tam wroga,
Tylko wezwawszy na pomoc Boga:
»Na wroga, bracia!« krzyknął — i dalej
Na karkach pogan próbuje stali,
Lub komuś strzałem w oczy zaświeci,
Lub go stratuje, gdy z konia zleci,
Ręką i koniem walczy zawzięcie.
Gwar, jęk i błyski, tu strzał, tam cięcie.
A choć się Tatar siłą odgraża,
On męztwem, sercem, siłę przeważa —
I z swoim hufcem jak piorun boży
W około siebie stos trupów łoży.

Ha! siła dziczy już przełamana.
Zdzisław zawoła: »nasza wygrana!

Panowie za mną! Sława ci, Boże!«
I z swoim hufcem wpadł na podwórze,
Gdzie się ostatnia Tatarów siła
W śpiesznem cofnieniu z Hanem schroniła.
Lecz tu już walka niedługo trwała:
Dzicz przelękniona bronie składała
Przed zwycięzcami chyląc kolana,
A Zdzisław żywcem pochwycił Hana.
Hura ho! hura! sława! Zwycięztwo
Odniosły — miłość, młodość i męztwo.
Bo kędy serce wiedzie na boje,
Gdzie miłość kraju jak słońce pała,
Tam najsilniejsze pogromi woje,
Jako Bóg Bogiem, i garstka mała.

11.

Starosty dworzec oswobodzony! –
A na podziękę bito we dzwony,
I nieme działa z hukiem błyskają:
One zwycięzcę z murów witają,
Co w tej zagrodzie okryty sławą
Dzielnie zakończył potrzebę krwawą.
Zdzisław tymczasem przez most rzucony
Powracał wesół śpiesznie w te strony,
Gdzie starca z Marją wolnych zostawił,
Z niebezpieczeństwa gdy ich wybawił.
Leciał jak strzała przez krwawe pole,
Ogniem pałało oko sokole;
A jak mu serce tłukło się w łonie!
Jaką radością jaśniały skronie!
Jak mu uroczo ta myśl jaśniała,
Że jego krew się za Marję lała,
Że co czuł w duszy, to sprawdził czynem
A młodą głowę okrył wawrzynem!
Pana Starostę gdy w dali zoczył,
Spiesznie z rumaka swego zeskoczył
I już szedł pieszo na powitanie.
Ale gdy przy nim tuż obok stanie,

Pierwszy rzut oka padł na dziewicę,
Której rumieniec okrasił lice,
Kiedy się oczy w spojrzeniach zlały,
I żar uniesień w serce wlewały,
Uniesień szczęścia, słodkiej pamięci,
Co wdzięczność serca łzami uświęci.
Staroście łzy się w oku kręciły
I jak dwie perły się potoczyły.
Marją i jego z srogiej przygody
Męztwem ocalił chorąży młody,
Toż gdy się zbliżył młodzian waleczny,
Dłonie się splotły w uścisk serdeczny.
Milczał starosta, mówić nie zdoła,
Aż wreszcie drżącym głosem zawoła:

»Czemżeć wywdzięczę, zacny młodzianie!
Czyliż mi serca na wdzięczność stanie?...
Całe me szczęście, dobytek cały
Dzielne twe ręce znów mi oddały.
Co więcej, wolność i moje dziécię
Wydarłeś hańbie, wracasz nam życie!
Czemżeć nagrodzi serce ubogie?
Życiem za życie! więcej nie mogę!
Dzięk mój niech ojca ci przypomina,
Bom cię ukochał jak swego syna!«

A młodzian przed nim ugiął kolano,
Pochyla głowę krwią obryzganą,

I rzecze: »Panie, może me słowa
Serce twe szczodre gniewem zapalą,
Lecz dłużej pierś ma już nie przechowa
Ogniów, co serce tak dawno palą!
Panie! ja Marją dawno kochałem,
Ale ci tego odkryć nie śmiałem!...«
A starzec na to myśli głęboko,
Coś mu się nagle zamgliło oko,
I pierś się niby w gniewie podnosi;
Ale wtem Marja drżąca i blada
Staroście do nóg kornie upada,
Błogosławieństwa z Zdzisławem prosi.
A tak anielsko o szczęście błaga,
Że wnet i dumę starca przemaga,
Iż wreszcie prośbą zmiękczon odpowie,
A była szczerość w starosty słowie:
»Ha! gdy wam serca nieba złączyły,
Ręce was dzielić nie mają siły.
Żyjcie szczęśliwie! Bóg, co nad nami,
Niech was obdarza swemi łaskami!...
A mnie staremu przy was, o dzieci,
Niech czas ostatni słodko przeleci!«

12.

Wesoło w dworcu, a goście gwarno
Strojni bogato w sali się garną,
Gdzie na nich czeka uczta weselna,
A wtem zabrzmiała wieża kościelna;
Pleban w kaplicy mszę świętą prawi,
A po skończonej Marja z Zdzisławem
Z radością w sercu a okiem łzawem
Klękli, a pasterz im błogosławi;
Złote obrączki wodą poświęca,
I potem stułą dłonie okręca,
Veni, Creator Spiritus, śpiéwa,
A we wtór dźwięczny organ przygrywa.

Z kościoła razem wracają młodzi;
Z dział uderzono na powitanie
A huk ich odgłos wspaniały rodzi
Gdzieś o lasowe rzucon przystanie;
Echa zmięszane z dworską kapelą
Weselnych gości bardziej weselą.

Dzień uroczysta uczta kończyła,
Szlachta wiwaty ciągle wznosiła,
A tany trwały do nocy końca.
Starosta na tył rzucił wyloty,
Pokręcił wąsa, wziął puhar złoty
I pił: »Niech żyje zięć i obrońca!«

1854.

CHART WATAŻKI.

Opowieść starego towarzysza z Kresów.

1.

Ot, mój bracie, wspomnieć miło,
Jak na Kresach to się żyło!
W dzień podjazdy, pohulanka,
Często, gęsto krwawy taniec,
Gdy się zbliżyć śmiał pohaniec.
A po tańcu znów wieczorem
Przy ognisku, przed futorem,
Szła ochoczo pogadanka;
Bo gdy człek dzień w pocie spraży,
To wieczorek rad przegwarzy,
Albo starych dum posłucha,
Co lgną w serce i do ucha.

Ot tak, panie! znam te strony,
Tam wiek młody mknął jak woda.
Szabla krzywa, konik wrony,
Przy tem taniec, step, swoboda,
I te dumy i gawędy,
I starszego czasem zrzędy,

Kiedy w służbie się chybiło...
Och! to wszystko wspomnieć miło!
Bo połajał, gdy człek chybił,
Gdy był dzielny, to w dłoń przybił,
Chwatu w oczy spojrzał śmiało,
A na chwalby słów nie stało;
Nie ubarwiał mowy kwiatem,
»Tyś chwat, bracie! »rzekł, dość na tem.

A i mnie tem uczcił słowem!
Gdy po tańcu obozowym,
Na samotrzeć raz w noc ciemną
My na Kresach straż trzymali,
A w tem rumak spiął się ze mną,
Jakby czarci opętali,
I dał susa, drugi, trzeci,
Ściągam, próżno! w stepy leci,
Wstrzymać trudno, tak ucieka...
A wtem Tatar mknął z daleka.
A ha! myślę, tu przyczyna;
On mi konia strzałą drasnął,
O! tom głośno, «hurra» wrzasnął,
I w czwał ścigam poganina;
Wreściem dognał; trzęzlę skrócę,
Na Tatara arkan rzucę,
W trok do kuli, i nuż czwałem
Ze zwierzyną powracałem.
A toć była nie nowina,
Schwytać żywcem Tatarzyna;

Człek był młody, ręka silna,
I źrenica też niemylna.

Takto, kiedy lata płużą
Młodą siłą, czerstwem zdrowiem...
Lecz by o tem prawić dużo,
Aleć jeszcze coś opowiem.
Nasz Watażka był człek prawy,
Choć niemłody, w boju żwawy,
Zwinny, rzutny, jak wąż śliznął,
Temu odbił, tam znów gwiznął.
Kiedy rąbał, to od ucha,
Jak ciął, panie, daj się Bogu!
Tam nie siadła pewnie mucha,
Siał trupami po rozłogu.
Lubił strzelby, polowanie,
Chętnie słuchał piesków granie,
Był myśliwy, dość ci na tem,
A polował zimą, latem,
A miał konia, bies nie szkapa!
Kiedy klasnął nań z harapa,
To jak ruszył,... hej! gdzie? panie!
Tu jaskółka tak nie lata,
Tylkoś słyszał szum, świstanie,
Mignął, niby ćma skrzydlata.
I rozumu tego niema,
By opisać wszystko snadnie,
Co zachwycił człek oczyma...
Często koncept z łba wypadnie...

Przytem charta; a wiesz, bracie,
I pojęcia wy nie macie:
Wiek po wieku w dal odpłynie,
Ba, co mówię? i świat zginie,
A nie znajdzie się bestya,
Jak był chart ten! Zwał się Żmija.
Co za przemysł, polot jaki!
Pojedynką brał szaraki,
Lisa, panie, brał z wertepu,
W stepie bujał jak król stepu...
Żeśmy z dziwem nań patrzali —
A co zrobił, słuchaj dalej.

Była jesień, późna pora,
W stepie szaro, liść opadał,
Gdy Watażka raz z wieczora,
Przy ognisku mnie zagadał:
«Czas potemu, jutro, panie,
W dwójkę zrobim polowanie,
Pora dobra, pójdą łowy,
Ale do dnia bądź gotowy!...
Tak po rosie puścim smyka —
A obaczysz jak pomyka.»

2.

Ledwie w stepie ranek błysnął,
Wraz z Watażką jedziem w pole.
Dzień był chmurny, czarne role;
Pan Watażka w palce gwiznął,
Chart poskoczy, uchem strzyże,
I wyciąga nogi chyże.
»O! źle, panie«, myślę sobie,
Ponoś jedziem w lichej dobie,
Pies ponuro coś się wlecze,
Pewno szarak nam uciecze«.
Wtem koń utknął: »Ej do licha!«
Pan Watażka rzecze z cicha,
»Koń utyka, chart ponury, —
Trzeba wziąć się na pazury.
Coś zła wróżba nam majaczy...
Czy gdzie czart nas nie zahaczy?«
I potoczył wzrok do koła.
A wtem chłopak do nas woła:

»Panie! szarak w skibie leży,
A nuż! niech się z chartem mierzy«.
My w czwał! »he — co!« kółkiem jedziem,
Na rzemieniu charta wiedziem,
A po »he—co« chart weselszy.
Nos do wiatru, uchem rzuca,
Okiem wodzi coraz śmielszy,
A Watażka smycz przykróca:
»Wydżha!!!« spuścił; chart po roli
Za szarakiem w lot sokoli
Pomknął, panie, jakby strzała,
Że aż ziemia zaświstała;
Lecim, pędzim, szarak w nogi,
Przez zagony, przez rozłogi,
Śród paździerzy ledwie miga, —
Chart tuż za nim, wciąż go ściga.
Ale zając w stepie znany,
Przytem znać już nieraz szczwany,
Wciąż się nowych zwrotów imał:
Chart go prawie w pysku trzymał,
On się zwinął, ciął kominka,
Pod psa skoczył, skręcił młynka,
Poza charta ruszył bokiem,
I już polem mknął szerokiem.
»U! gracz, widzę to niedala«
Pan Watażka znów zagada,
»Zmyka dobrze, zwinna sztuka, —
Lecz dla charta to nauka.«
I spiął konia, z bata klasnął,
»Wydżha! wydżha!« znowu wrzasnął,

My w czwał za nim. Trudna rada!
Ile razy chart przypada,
Zając umknie, wytnie susa,
I umyka bieda kusa.

Pędzim, konie pomęczone, —
Bo pędziło się niemało!...
A znasz, bracie, tamtą stronę:
Step! gdzie oko zasięgało, —
Lecz Watażkę to nie cieszy;
Gdzież się unieść tak daleko!
»Tu majakę czarci wleką«.
Rzekł, i koniem znów pośpieszy,
I czwałuje po zagonie...
Ba, do kresów już my blisko,
A na drugiej zaraz stronie
Jest już hordy koczowisko.
Zwolnim biegu, bo czahary
Pasmem legły tuż przed nami.
»Pewnie w komysz umknął szary,
I gdzieś Żmiję tropem mami«
Rzekł Watażka. A wtem, panie,
Fiu! Fiu! słyszym strzał świstanie,
Ztąd i z owąd wyleciały,
Po przed uszy przeszumiały...
A więc staniem, wzrok wytężym,
Po pistolet w olstrę sięžem,
Kurek w odwód, w temblak szable:
»Anu, wychodź teraz, djable!«

Ba, nieżarty, u! źle będzie,
Tu Tatarów siła wszędzie;
Ze trzydziestu wyleciało,
Aż mi serce w piersi stało,
Bo sposobu uciec nie ma,
A czart sile tej wytrzyma?
Wpadną na nas, my wypalim
I dwóch zaraz na na ziem zwalim;
Znów wystrzelim, znów dwóch leży, —
Ale reszta hurmem bieży;
My do szabel, — trudna rada,
Lecz się poddać nie wypada —
Więc poskoczym w lewo, w prawo,
Nuż po kurkach gęsto, żwawo,
Silną dłonią, po staremu,
Aleć trudno sprostać temu.
Choć człek rąbie, bije, trąca:
Gdzie psów wiele, śmierć zająca.
Spadł Watażka w głowę cięty,
I od pogan zaraz wzięty.
Jam go bronić chciał, lecz marno,
Wnet się do mnie wrogi zgarną,
Ścisną, zeprą naokoło,
Szablą niema machnąć kędy,
Gdzie się zwrócę, tamy wszędy...
A wtem jeden ciął mię w czoło,
I choć cios mu ten oddałem,
Jednak umknąć nie zdołałem;
Krew mi, panie, ćmiła oczy,
Horda na mnie wnet poskoczy,

Zranionego z konia wzięto,
Ręce sznurem mi ściśnięto,
I kazano ruszać przodem; —
Tak my w jasyr szli pochodem!

3.

Hej! mój bracie, oh! to boli,
Kiedy wolny jest w niewoli,
Kiedy ręce ma związane.
O wolałbym w serce ranę
Od zatrutej dostać strzały,
Bo człek przecie ginie wolny;
Tu żyć musi, żyć niezdolny. —
Z bolu piersi nam pękały!
Ci nas wiedli przez las smugą...
Pan Watażka milczał długo,
Czasem tylko okiem błysnął,
I zsiniałe usta ścisnął;
A nie westchnął ani razu,
Jakby piersi były z głazu:
Bo się wstydził zdradzić przecie,
Że ból twarde serce gniecie.

Tak nas wiedli przez dzień cały
To lasami, to polami,

A gdy księżyc wyjrzał biały
Do modlitwy wrogi staną.
My usiedli powiązani,
Chcemy usnąć, usnąć trudno,
Bo i jakoś sercu nudno
I wędrówką my znękani.
Jam jął pacierz szeptać z cicha,
Ba! i pacierz się nie klei,
Miast pokory w sercu pycha;
Człek w jasyrze bez nadziei
Widzi troski i katuszę,
A więc pycha tłumi duszę,
Bo jest dumny, że wytrzyma,
Choć się na to serce zżyma.
Noc nadeszła, my nie spali;
Wrogi straże postawiali,
Reszta legła tuż za nami;
Wnet śpią wszyscy, a my sami
Siedzim, milczym; głucho, panie,
Ciszę tylko rwie chrapanie,
Lub zadzwoni rumak w pęta,
Lub się ruszy straż ocknięta,
I znów usną snem bez duszy,
Tylko liściem wiatr poruszy...
A wtem, panie, szmer się szerzy...
I ucichnie — jakby stało...
To znów kilka kroków bieży...
Staje, jakby coś szukało...
My słuchamy; wielki Boże!
I któż podziw skreślić może,

Kiedy widzim, że chart Żmija
Przez komysze się przebija;
Staje, wietrzy, niby czyha...
Wtem Watażka gwizdnął z cicha:
Jam spoglądał, a straż spała
I gwizdnięcia nie słyszała.
Gdy zasłyszał chart gwizdanie,
Eh! jak nie da susa, panie,
Powyż czahrów sadził skoki,
A tam czahar dość wysoki.
Wpadło psisko zadyszane,
Nuż się witać! nuż igraszka!
Skomlić, łasić! a Watażka
Podał ręce skrępowane
I popatrzył się psu w oczy:
Nagle zsmutniał pies ochoczy,
Ręce wąchał, stał ponury,
Potem, panie — jakem żywy!
Patrzę, Boże! a to dziwy!

Chart zębami szarpał sznury,
Gryzł, rwał, kąsał, przegryzł wreszcie;
Myślę, panie: a czart bierz cię!
To cud istny, któżby wierzył?
Ja — nie, piewszy, lecz tom przeżył.
Pan Watażka skoczył pędem
I z rąk moich zdjął powrozy;
Potem oba już, gdzie rzędem
Stały konie koło brzozy,

Więc za konie. — Patrzę w dali,
Gdzie Tatarzy spoczywali
Na gałęzi wiszą szable;
Myślę: tu się zdadzą djable!
I pocichu zdjąłem obie.
A gdym poczuł mą przy sobie,
O! to panie, jakem żywy,
Wtedym taki był szczęśliwy,
Żem do serca ją przycisnął,
I całusa nawet wcisnął,
Tak mi jakoś było rzewnie!
Pan Watażka spojrzał gniewnie,
I rzekł: »widzę, młokos waszeć,
Ot i z biedy wylazł ledwie
A już takie gra komedje,
Jakby wróble chciał wystraszyć«.
I pokazał palcem czaty:
»Wyrżnąć trzeba te psubraty!«
Więc do szabel, czat zrąbali,
W skok na konia i w czwał dalej.

Tak my zemkli czaharami;
Chart poczciwy w trop za nami, —
A już błysły ranne zorze,
Gdy stanęliśmy w futorze.
Tu dopiero powitanie:
Chart na piersi skakał, panie,
Ręce lizał, to przypadał,
Ot, i ledwie nie zagadał!

*

A jam sobie stał na boku;
Łza mi, bracie, błysła w oku,
Myślę: Boże! ać to zwierzę,
A tak ludzi kocha szczerze!«
I nie dziecko byłem przecie,
A spłakałem się jak dziecię!

1854.

ŚPIEWAK Z OAZY.

HASSALE.

Zkąd na pustyni takie tumany?
Czy wiatr zbałwanił piaskowe morze?
Czy pęd dalekiej zkądś karawany
Złociste fale w przechodzie porze?

Niechaj się zbliży, — tam drogoskazy
Z kamienia kute tajnię odkryją:
Jeśli na zachód do tej oazy
Tuman poczołga piaskową szyją,
O, to nie wicher, lecz Beduini
Skłębili piasek na tej pustyni.
. . . . . .

»Dalej! o dalej! pędźmy, Arabi;
Tu skwar dopieka, a tam nas wabi
Zielonowłosa córa oazy;
I cień posępny ścieląc na głazy,

Jak Beduinka w mirtów koronie
Wonnemi kwiaty ubrała skronie!
Spieszmy! o, dalej — dalej, rumaki!
Niech wiatr za nami zasypie znaki,
Gdzie tyle skwaru, tyle pragnienia,
Często się w wieczną spokojność zmienia,
I w skwarze łono nagle ostyga, —
A rumak nie wie, że trupa dźwiga...

»O, próżno, próżno, wichrów szatanie,
Mącisz szalony nasze przystanie,
Aby się nowej dopuścić zbrodni;
My na oazie tacy swobodni!...
Lasek palmowy skryje nas cieniem
Przed pałającem słońca spojrzeniem.
A są-li wrogi, — to staniem zbrojni;
Zabłysną gwiazdy, — uśniem spokojni!...

»Niechaj rumaki poskoczą w trawę:
My usiądziemy pod tym daktelem.
Słychać: — gdzieś szemrze źródełko łzawe,
I róże kwitną pomiędzy zielem.

O, tu swobodnie odpoczniem z drogi.
Jutro, — znów dalej na puszcz rozłogi...
Dla ciebie, ojcze, uścielem łoże
Z miękkiego liścia pod palmy temi,

Pod siwą głowę szaty ci złożę,
A my usiądziem w okrąg na ziemi,
Powieści stare sen nam odgonią,
I będziem czuwać nad twoją skronią...

»Lecz szkoda, bracia, że my tu sami,
Że nie ma piewcy pomiędzy nami!
Noc będzie cicha; — z pieśnią by mile
Ulatywały czarowne chwile,
I przy pieściwym dźwięku gitary,
Prędzej by usnął nasz ojciec stary;
A my — po pieśni — wzięlibym konie,
By w noc przelecieć to senne błonie,
I z pełną piersią wrócili znowu
Sercem uwierzyć pieśniarza słowu.

»Życie bez pieśni... cóż ono warte?
Kiedy przed nami niebo otwarte
Brylantowemi migoce skrami,
Słodko się oko poi gwiazdami;
Lecz gdy pieśń przy tem sercu zapuka,
Ono już w niebie aniołów szuka,
I myśl się pyta: jak żyć potrzeba,
Aby zamieszkać kiedyś te nieba!...

»Ojcze, tyś ciągle jednako smutny!
Do świętej Mekki idziem co roku,

I co rok wkładasz płaszcz swój pokutny,
I łzą zaciemniasz blask w twojem oku!...
Myślę — choć byłbyś proroka wrogiem,
W smutku twym czysty jesteś przed Bogiem!«

— »Nie pytaj, synu! wy wiecie o tem,
Że na nas cięży zemsta Hassana!
Może tu przybiedz piorunu lotem,
I śmierć nam przynieść z prawicy pana;
Wszak ja mu w walce zabiłem syna...
A brat mój!... Ałłah!... sroga ma wina!

»Ale, o bracie! rzekł cichym głosem:
»Klątwa zawisła nad moim losem!...«
I znowu ciszej: »Ałłahu, Panie!
Wstrzymaj za brata srogie karanie!
Bo jeszcze śmierci straszliwą drogę
Z duszą nieczystą przebiedz nie mogę!...«

Tu głos mu zamarł w ostatniem słowie
I chwilkę było milczenie głuche. —
Ale wnet szelest przebiegł pustkowie.
W oddali chrzęsły gałązki suche,
I starzec jakiś z cieni palmowych
Wyszedł powitać przybyszów nowych.

Powstało z miejsca Arabów grono.
Starzec się zbliżał powolnym krokiem
Z twarzą ku ziemi przez wiek schyloną,
Wiek, czy cierpienie? a po wysokiem
Czole spływały srebrzyste sploty,
Na ustach usiadł wyraz tęsknoty.

— »Pokój wam, bracia! — zkąd wasza droga!«
— »Z Mekki« odpowie Beduin młody —
»Ale ty, starcze, zkądże na Boga
Mogłeś się zbłąkać w te piasku brody?
Lata cię chylą — siła nie służy,
Już nie dla ciebie trudy podróży!«

— »Zkąd ja? — Mieszkaniec tego ustronia
Od dawnam, bracia! Niegdyś, przed laty,
I jam przebiegał te martwe błonia
Odziany w skromne hassala szaty.
Ale czas mija — mówićby wiele...
Bracia! dziś namiot z wami podzielę.

»Was to zadziwia, że tu dnie wlekę?
Płyną starcowi przy wiernej lutni!
Nieraz podróżni zbłądzą tu w spiekę,
Ja cieszę pieśnią tych, co są smutni,
Wesołym często śpiewam tęsknotę,
Dla Beduinów kassydy plotę«.

»Lecz tu wasz ojciec; widzę znużony,
Chciejcie iść ze mną, gościowie mili;
Pójdziem, gdzie namiot mój rozłożony
Bieluchne łono dla was odchyli;
Czyste źródełko rzeźwi te strony
A świeży daktel ciało posili.
Ałłah oazę ubrał bogato...
Ałłah dał wszystko! — chwała mu za to!«

W NAMIOCIE.

»Pod tym namiotem bądźcie pozdrowieni!
Niech wam użycza swych gościnnych cieni.
Tu miękkie łoże, tu świeże daktele,
Czem Ałłah darzy, z wami, bracia, dzielę;
Przyjmcie! gościna u starca uboga,
A wy znużeni... ciężka w puszczy droga.

»Już nie pamiętam — słońce ile razy
Kraj nasz obeszło, jak do tej oazy
Nikt z Beduinów nie zajrzał po drodze...
A dziś samotność już mnie dręczy srodze!
Bo zostawionym być tylko pamięci,
W której się dziwny zamęt życia kręci,
W męczarniach nowy, a resztą niezmienny,
Cięży na sercu jako wał kamienny.
O! to za wiele jest na starą głowę;
I patrzeć ciągle na cierpień osnowę,
Którą przypadek, czy też złość szatana,
Nie wiem... to dla mnie otchłań niezbadana —

Pasmem dni moich nieustannie toczy,
Ledwie zdołają moje słabe oczy.

»Gdy kto zawita w te odludne strony,
Wtedy, o bracia, jakby odrodzony
Widzę człowieka, który choć nie tyle
Cierpiał — a jednak miewał gorżkie chwile
I czuł ból serca! Choć obcy rodziną,
Już mi pokrewny cierpienia godziną...

»Starcze! na twojej pooranej twarzy
Widzę znak bolu: — ona mi się skarży,
Choć usta milczą w przyrodzonej dumie;
O, moje oko duszę zbadać umie, —
Bo komu serce raz cierniem przebito,
Wyczyta boleść, choćby jak ukrytą!

»W młodości mojej byłem pierwszy z braci
Przymiotem duszy i kształtem postaci,
Szybki jak sokół w walce lub igrzysku;
Wróg pierzchał hardy od mej szabli błysku,
Lub zginał czoło i o pokój błagał,
A jam mu dawał, czego się domagał!

»Nie w krwi rozlewie szukałem ja sławy!
Jeśli wam znane Mekkańskie zabawy,

Kiedy przy blasku wieczornym fingary
Płyną rozdźwięki czarownej gitary,
I tysiąc dziewic w rajskiem upojeniu
Drży przy pieściwem każdej struny brzmieniu,
Którą dłoń pierwej w zachwycie porusza, —
Tam! tam bujała moja młoda dusza!...

»Pieśń, jeśli z serca i duszy wypływa,
To serc tysiące za sobą porywa.
Wkrada się w duszę tajemniczo, z cicha,
Jak kropla rosy do kwiatu kielicha,
Potem je wiedzie upojone brzmieniem
W raj za wskazanym przez piewcę promieniem!

»O, chwile błogie! — nieraz pośród grona
Brzmiała pieśniami moja pierś natchniona,
A Beduinki w srebrzystej zasłonie
Rzucały kwiaty na śpiewaka skronie!
To było życie!... Jedna kwiatka padła,
I odtąd gwiazda mego szczęścia zbladła!...

»Serce zranione jest jak owa róża,
Którą wiatr w piaskach pustyni zanurza:
Spalona żarem chociaż życie traci,
Nie zmienia barwy ni cudnej postaci,
Tylko listeczki uwiędłe nagina,
I cichym szeptem, że żyła, wspomina.

Róża nie czuje, ale w biedne serce
Biją szyderstwa pioruny — morderce,
I śmiech współbraci; ten najsrożej boli,
Bo tętna życia wydziera powoli...«

Tu starzec umilkł, otarł krople z czoła,
Badawczem okiem potoczył dokoła,
Jakby chciał czytać z Beduinów twarzy,
Czy się uśmiechnąć który nie odważy;
A potem dalej mówił drżącym głosem:
»Patrzcie, skroń białym okolona włosem,
Cierpienia duszy do grobu mię chylą,
Mogę porzucić świat za lada chwilą,
I stanę drżący przed twarzą Proroka,
Nie mogąc podnieść nań grzesznego oka;
Bo w gorżkiej chwili, niepamiętny siebie,
Zwątpiłem o nim — o Bogu, o niebie!
I świat ten cały był mi jednym głazem,
Wykuty z zimnym szyderstwa wyrazem.

»Później już mogłem spoglądać do nieba!
Często się rwałem, jak fakir do chleba,
Myślą do gwiazd tych — kiedy w noc pałały,
Lecz one nic mi nie odpowiadały,
I myśl wracała smutniejsza niż pierwej
Do swoich cierpień — bez końca! bez przerwy!
A kiedy czasem na niebie czerwona
W przelocie błysła meteoru łona

Jak krew... jam oczy odwracał od nieba...
Krew mam w pamięci, więcej mi nie trzeba.

»Czasem podróżnych spotkałem w oazie —
»Salam« — jam ledwie odpowiedzieć umiał;
Szyderstwo dla mnie było w tym wyrazie,
I uchodziłem, by mię nie zrozumiał
Brat, co tem słowem życzył mi pokoju,
Nie wiedząc, ile w piersi mojej boju!

»Nieraz, znużony palącemi skwary,
Szukałem ulgi przy dźwiękach gitary,
By pieśnią spędzić z pamięci całuny;
Lecz ledwie ręka dotknęła się strony,
W duszy się odbił taki jęk boleści,
Żem rzucał granie, lękając się treści.

»Dziś, bracia moi! — dziś już śpiewać mogę,
Czas myślom serca inną wytknął drogę:
Jak tuman kurzu uleciał szał dziki;
A kiedy marzeń odsłaniam pomniki,
I zerwę kamień, co ich grób przygniata, —
O! błogo sercu śród dawnego świata...«

Tu nagle umilkł, — jego twarz wybladła
Jaśniała ogniem, z powieki łza spadła

Cicha i smętna, niby kropla rosy,
Kiedy wieczorem wiatr porusza wrzosy,
I z dziatwą polną coś pieściwie gwarzy —
Ileż tam płaczu, choć się nikt nie skarży!

Księżyc na niebie zabłysnął czerwono,
Starzec z namiotu wiódł Arabów grono;
Z modlitwą w ustach, jako prorok każe,
Ku świętej Mekce obrócone twarze...
Lecz cyt, ucicha modlitwy szeptanie,
W oazie nagle rozlało się granie,
Przygrywka smutna ucieka z gitary:
Jakąś kassydę nóci pieśniarz stary.
A Arabowie w milczeniu grobowem
Myśli posłali za śpiewaka słowem.

KASSYDA.

Piękna jest wiosna na Jemenu brzegach;
Kwiat się tam ściele w tęczowych szeregach,
Źródła tak czyste jako łzy dzieciny,
Gdy się raduje, lub płacze bez winy;
I tyle woni w tej uroczej porze,
Że cały Jemen jest jak wonne morze.

Ale piękniejsza młodość Beduina
Kiedy w nim dusza już bujać zaczyna
I rozmarzone serce głośno puka,
A myśl na przemian walk i raju szuka!
W oku gra zapał słonecznych promieni,
Uczucie w piersi wiecznie niéspokojne
Chciałoby światło przymieszać do cieni,
Tęskni Edenu, pragnie burz i wojny.

Niebo dlań małe, gdy we snach utonie,
A pieśń jak matka ukołysze skronie.

Dwa młode serca jeśli pojmą siebie,
O! to już lepiej nie może być w niebie!
Jako dwa ognie, gdy się zleją społem,
Grają ku gwiazdom płomienniejszem czołem.

Bracie lat młodych! my żyli tak mało!
Z zazdrością na nas patrzyły plemiona.
Gdy moje serce niepokojem drżało,
Tyś mię przyciskał do bratniego łona,
Albo mi rzekłeś: »Słuchaj! weźmy konie!
»Przelecim cudne Jemenu ustronie...
»Pójdziem do Mekki, — pomodlim się Panu!...«
Tam ożywiony myślą Alkoranu
Czułem, jak szczęście kwitło nam radośnie!
Moje — zwiał Samum! — tobie — cyprys rośnie! —

Ałłahu wielki! kiedy mię ból smagał,
»Wydrzyj mi pamięć!« jam cię we łzach błagał:
Pamięć czynami i krwią potępiona,
Lecz w tej pamięci żyje jeszcze o n a! —
Dziewicy oko — to gwiazda poranna,
Co zeszła zdobić kraj Arabistanu!
Jeśli w niem miłość zawrze pałająca,
O — to cudniejsze jest od słońc tysiąca!
Łono jak fala usrebrzona pianą
Wznosi się lubo kołysane czuciem;

Na licu wschodzi różowawe rano,
A czoło marzeń owionięte snuciem
W czarnych warkoczy lubieżnym potoku
Ćmi jak półksiężyc z lekkiego obłoku!

Bracie! kochanko! gdy w noc o was marzę,
Mnie się wydaje, żem ja jeszcze młody!
Z tobą, mój bracie, przebiegamy w parze
Te umajone Mekkańskie ogrody:
»Spieszmy! czy widzisz, za tych drzew szeregiem
»Tam jej zasłona powionęła śniegiem, —
»Ałłah! jak piękna!...« Stanąłem jak wryty,
Chwytając promień od jej ócz odbity;
I gdyby ona w krzewy się nie skryła,
Byłbym stał niemy jak ciosowa bryła!
Odtąd już wszystkie sny, marzenia moje,
Szły z jej śladami, jak z bluszczem powoje;
Kiedy się śmiała, pałałem uciechą,
Gdy była smutna, to mych pieśni echo
Tak mi żałobnie dźwięczało o skały,
Że mię słuchając dziewice płakały!

Pamiętam... Ałłach! zaranie urocze!
Jam w ręku pieścił jej cudne warkocze,
A ona ku mnie pochyliła skronie,
I rzekła: — »kocham« — i ścisnęła dłonie...
I takim żarem przejęła mi duszę,
Żem uczuł niebo i piekła katusze.

Chwyciłem konia, w czwał, w czwał na pustynię!
W całej Arabji niechaj o tem wiedzą,
Że dla mnie Eden z pełnej czary płynie!
Niech palmy palmom szmerem opowiedzą!
Niech po dolinach echem mówią głazy,
A na plemiona wiatr niesie wyrazy...
O! kiedy piersi wrą ogniem wulkanu,
Niech mi się śmieje kraj Arabistanu!

On mi się zaśmiał... oddycham swobodnie!
Gdziem zwrócił oko, widziałem uśmiechy:
Tam gaj palmowy zakwitał urodnie,
Tu twarz wesoła wita mię z pod strzechy...
O, stój, pamięci! nie błyskaj tak jasno, —
Wszak w krwi zbroczyłem moją rękę własną!

Wieczór był cichy, ja nazajutrz rano
Miałem iść w pochód z kupców karawaną,
Tam, ku zatoce Czerwonego morza,
Gdzie się wieczorem kąpie nasza zorza.

O, nocy straszna! ileż to męczarni,
Piekielnych przeczuć targało mi łono!

Jak wąż się wiłem na posłaniu z darni...
A potem z cicha modlitwę stłumioną
Posłałem w niebo na łono Proroka, —
Jednak noc całą nie zmrużyłem oka.

Ze świtem zorzy nasza karawana
Wesołą pieśnią uwielbiała Pana;
Jam nie podzielał modłów, ni wesela,
Ale poszedłem żegnać przyjaciela.

Jak dziecię z płaczem padłem mu na szyję
I zaklinałem go po tysiąc razy:
»Jesli iskierka w tobie dla mnie żyje,
»To na Koranu przysięgnij wyrazy,
»Na Eden święty! na imię Proroka,
»Że jej strzedz będziesz jako twego oka!«

On mi poprzysiągł! jam mu dłonie ścisnął;
Potem wschód słońca jaskrawo zabłysnął
I my ruszyli na zachód daleko,
Walczyć z wiatrami i śmiertelną spieką.

Chwilo powrotu! nie wiem, czy tak wita
Dusza Muslema edenowe progi,
Jak cię witałem!... Tu puszcza okryta
Mgłą porankową, i senne rozłogi...
Przy mnie... mój rumak parska niepokojem...
We mnie marzenia płyną rajskim zdrojem...

»Ruszaj, mój koniu! ty wiesz gdzie wracamy;
»Wkrótce — obaczym naszej Mekki bramy...
»Minaret święty!... cyt! tam nasze życie!
»Tam żyje ona, jak anioł w błękicie!«...

Wierny mój rumak widać mię rozumiał,
Pędził, za nami tylko step zaszumiał;
Lecz czasem stanął i parskał nozdrzami,
Jakby tygrysa gdzieś poczuł przed nami.

Jak fala złota płynęła równina.
Z bliskiej osady słyszę głos muezzina,
Co?... już na zachód uciekał świt dzienny!
Jeszcze widnokrąg iskrzył się promienny,
Kiedy stanąłem w zaciszu palmowem,
Aby Ałłaha uczcić świętem słowem,
A potem dalej... o! jam wielbił ciebie!
Ale myślami byłem w innem niebie.

A wtem w oddali zagrzmiały kopyta;
Wybiegam, patrzę: Beduin mi znany
Przeleciał blisko, mię ani powita.
»Stój, bracie!« wołam, »gdzie pędzisz zdyszany?«
On się obrócił, wstrząsł się, gdy mię zoczył,
Wyraz przestrachu na twarz mu się wtłoczył,
I rzekł: »Dla ciebie mam wieść niepocieszną:
»O, bracie młody, wracaj, wracaj spieszno
»Tam ci syn szejcha wydarł twą ptaszynę!«
I pognał czwałem w piaskową równinę...

»Syn szejcha?« wołam: — on pomyka dalej.
Głos mój umiera na piaskowej fali...
Dobywam strzały, gdy mu konia zranię,
Nie pójdzie rumak, pośród biegu stanie...
Strzała daremnie pobiegła za wieścią: —
A ja zostałem sam z moją boleścią!

Gromem upadły na mnie jego słowa,
Wspominać straszno te wszystkie katusze;
Straszna, ponura ciemnica grobowa
Obwiała w okrąg mą zbolałą duszę;
Czułem, że węglem stawała się głowa, —
»O! ja ją wydrzeć albo pomścić muszę...
»Selimie! czartom ciebie dziś poświęcę«
Wołałem wściekły w tej piekielnej męce...

— Tyś zadrżał, starcze? o! pieśń moja dzika
Bijące serca jak mrozem przenika,
Lecz słuchaj dalej!... Gnałem jak szalony...
Nie wiem, czy w duszy mojej było ciemniej,
Czyli na ziemi śród nocnej zasłony?
Chciałem odetchnąć, wznoszę pierś daremnie!
A ile dzisiaj mogę wspomnieć sobie,
W pustyni było duszno jakby w grobie.

Ranek na niebie świtał koralowo,
Kiedym rumaka wstrzymał koło zdroju.
Rosa padała, a nad moją głową
Zabłysło słońce w jaskrawym zawoju...
Mnie się wydaje, że krzewy oazy
Szeptały do mnie przekleństwa wyrazy; —
Ja powtarzałem je w głębinie serca,
A me przekleństwo niósł wicher szyderca!

Spojrzałem w kołczan, jedna tylko strzała!
Szable'm zamieniał na perły kosztowne,
By niemi luba jasną skroń ubrała.
»Czemuż nie przy mnie żelazo hartowne!
»Gdy strzała chybi, a ja nie mam broni...
»On się śmiać będzie z szalonej pogoni!«
Biłem się w piersi, rwałem szaty moje,
Jak tygrys wściekły byłbym pił krwi zdroje,

Gdyby mi z rany zwodziciela ciekła!
Zmusiłbym duszę, by się raju zrzekła!

Choć koń znużony, chciałem śpieszyć dalej, —
Ale wtem, patrzę... na piaskowej fali
Ktoś tam pomyka, kurzawa się zwiała...
O, jakże krew mi po sercu zagrała!
Wychylam czoło... o — gdybym w tej chwili
Ściemniał na wieki! poznaję Hafeda!
Przyjaciel? ona? więc ci mię zdradzili?!...
O! to się, bracia, wypowiedzieć nie da,
Chociażbym głosu pożyczył od burzy,
Pierś ma rozpaczy takiej nie powtórzy!

Patrzę; — ich lica krasiła uciecha.
On jej coś szepnął, ona się uśmiecha,
Pała rumieńcem, ha! żmije piekielne!
Tu czeka tygrys i żelazo celne!

Wybiegam z krzewu, w ręku strzałę dzierżę!
Kładę na majdan, wyprężyłem, mierzę...
W zatrute ostrze wpiłem oko moje,
Puszczam — o radość! serc przeszyła dwoje!

Jękli boleśnie; — jeszcze'm zemstą dyszał;
Lecz kiedym jęk ten śmiertelny usłyszał,

Uczułem straszne rozkosze szatana,
Gdy w piekło wejdzie dusza pokalana!

Biegnę ze śmiechem... Bracia! cóż powiecie?
Oni niewinni! jak rosa, jak kwiecie,
Co w niebo patrzy jasnemi oczyma:
Hafed jej bronił przed gwałtem Selima!

Hafed mi rzecze: »My czyści oboje!
»Brat mój krwią naszą zbroczył ręce twoje;
»Selim — Zairę chciał porwać przemocą, —
»Jam go uprzedził, uciekliśmy nocą,
»By tobie... Ałłah!« dłonie mi ściskali,
Spojrzeli w niebo — i cicho skonali!

Starcze! ty bledniesz; czyliż moje słowa
I serca obce tak poruszyć mogą?
W ręku twem szabla zadrżała stalowa,
Zdeptałeś trawę niecierpliwą nogą;
Dzięki! tyś uczuł, co to żyć w rozpaczy
Z sercem rozdartem, które nie przebaczy.

Lecz nie! nie wiecie, co to rozpacz wściekła!
Wyście tej żmii nie karmili w łonie!

O! z *Alseratu* [1]) gdybym wpadł do piekła
I *Monkir* [2]) kosą rozłupał mi skronie,
Strachem by drżała czartów dzicz zaciekła,
Widząc ten pożar, co w mej duszy płonie!
Próżno by wiedli w *Eblisa* [3]) pieczary,
Bo onby dla mnie był nie znalazł kary?

Ja mogłem umrzeć, powiecie, Arabi...
Ha! — śmierć w rozpaczy tak czarownie wabi!
Chwila! — i stać się martwym jak te głazy. —
O! chciałem konać, ale miljon razy!
I wiecznie cierpieć te straszne katusze,
Które uczuły w skonaniu ich dusze!

Ha! lecz powinność jedna niespełniona!
Chciałem, by śmierć ich pomściły plemiona.
Spieszę do Mekki; ci mię poznać nie chcą,
Zazdrośni — serce szyderstwami łechcą,

---

[1]) *Alserat*, most wiodący do Edenu, zbudowany nad przepaścią piekieł, cienki i ostry jak brzytwa. — Po nim przechodzą umarli na sąd; — cnotliwi mają przechód łatwy, bo ich anioł przeprowadza; a grzesznicy tracą równowagę, i spadają w płomienie.

[2]) *Monkir*, jeden z sędziów piekielnych w mitologji arabskiej, rozłupywał umarłym kosą skronie i czytał w nich, czy dusza winna lub nie.

[3]) *Eblis*, rządca piekieł. Kiedy Monkir wyczytał z rozłupanych skroni, że dusza winna, prowadzono ją do pieczary Eblisa, a ten wyznaczał kary.

I jakby we mnie nie widzieli brata,
Dali mi imię hańbiące warjata.
Ojciec Zairy, — ten umarł z boleści,
A Selim — Selim? gdy go doszły wieści,
Że ja powracam, ujechał daleko,
Do znanych plemion nad egipską rzeką!

Byli i tacy, co na duszy mali,
Cierpienia moje pojmować się bali.
Jednak litością niemowlą przejęci,
Rzekli: »cierpienia Ałłach w niebie święci!«
I koran czytać i modlitwy radzą; —
Dziwni! czyż boleść u nich jest tak małą,
Że ją modlitwy i posty wygładzą?
O! znać ich jeszcze serce nie bolało!

Wzgardziłem nimi! — uciekłem daleko,
Ich nienawidząc, przeklinając siebie!
Nieba mi były jako grobu wieko;...
Jam jak trup chodził po duszy pogrzebie,
Czekając chwili, aż ręka anioła
Zerwie mi błędny promyk życia z czoła!

Wszędzie! jak ziemię ożywia duch boży —
Od wschodu zorzy do zachodu zorzy,
Nie było dla mnie i jednego kątka,
Gdzieby w ślad nie szła okropna pamiątka.

Puszczę przebiegłem mą stopą tułaczą,
Z pustynią w duszy, a w sercu z rozpaczą!

Że nie pojęli bracia mej boleści,
Rzuciłem braci!... Ale czy słyszycie,
Jak tam samotna krzewina szeleści?
Jęk, jak zaklętej duszy w kwiatku życie...*)
Biedna krzewino! twoje ziarnko małe
Szalona burza zaniosła na skałę,
Wzrosłaś, szeleścisz; ciebie nikt nie słyszy
W głuchej pustyni, śród grobowej ciszy,
I bladym ogniem jaśnieją twe kwiaty;
Nawet cię motyl omija skrzydlaty,
I leci spiesznie, gdzie twych sióstr tysiące
Mają dla niego źrenice iskrzące, —
A ty samotna! toż pojąć nie zdoła
Równać drużyna, prócz kwiatów anioła!

Oto pieśń życia, jako palma sucha,
Zaszeleściała burzy przypomnieniem!
Błędny wędrowiec zadziwiony słucha,
Jak w dźwiękach echo rozpływa się z drżeniem,

*) Obraz wschodni. Lud arabski myśli, że pokutujące dusze bywają zaklęte przebywać jakiś czas w roślinach na puszczy, kamieniach oznaczających drogę dla karawany i t. p.

I przeszłe życie niby z mgły z daleka,
Znowu się barwy dawnemi obleka,
I dawnych cierpień otwiera podwoje,
A serce znowu toczy dawne boje!

Kiedy szalona zawieja przeminie,
Czyście uczuli, bracia Arabowie,
Jak smutno patrzeć po naszej krainie:
W koło zniszczenie i dzikie pustkowie!
Tu sterczą krzewy przepalone żarem,
Tam milczą kwiaty pod piasku ciężarem...

Ale jest wielka chwila przebudzenia!
Ledwie wiaterek i rosa powionie,
Martwa Arabja swoją postać zmienia:
Znów kwiat na chwałę Ałłachowi płonie;
I znowu słychać pól czarowne gwary,
Jak lecą w niebo pieśniami bez miary!

Otóż i dusza martwa i zbolała
Raz się tym gwarom zdala przysłuchała;...
Zrazu'm nie pojął, myśląc: liście suche
Wicher pomiata przez pustynie głuche.
Lecz coraz mocniej drżały tony rzewne;
Czułem, że były duszy mej pokrewne.
Miałem gitarę, uderzyłem w strony,
I spiew wypłynął z serca rozkwilony,

A ja, porwany mej pieśni tonami,
Cichej tęsknoty zapłakałem łzami!

I po tej chwili... O! Ałłahu w niebie!
Oazo cicha! i gitaro! ciebie
Błogosławiłem, i was, gwiazdy złote!
Bo wyście sercu wróciły tęsknotę...
Tęsknota!—za nią idzie w ślad marzenie!...
Ałłah! gdy w nocy gwiazdy zamigocą,
Do mojej myśli spływają ich cienie,
Z myśli do serca, i czarowną mocą
Blizny ran srogich powoli ścierają, —
Potem w pamięci cudnie rozkwitają.

Szczęśliw! w kim serce wcześnie się rozbudzi!...
Jabym powrócił do świata! do ludzi!
Lecz starzec drogę czyż przejdzie mozolną?
Mnie dzisiaj tylko czuć i tęsknić wolno!

Długie już lata mieszkam w tej oazie,
W tem życiu żadnej nie pragnę uciechy;
Pamięć wyryła w sercu, jak na głazie
Starego grobu, moje dawne grzechy.

Cóż mi zostało? przebolała głowa,
I niedaleka mogiła stepowa;

A jabym pragnął, gdy Ałłah pozwoli,
Widzieć grób ojców i mój ród sokoli!

Starzec skończył; pieśń ucieka za odgłosem w dal,
Jako połysk księżycowy na tle modrem fal,
Kiedy rańne tam na wschodzie uśmiechną się [zorze,
I w różowe fałdy stroją dumające morze.

Czasem jeszcze echo brzęknie, niby pszczółek rój,
Beduinów duszę porwał wrzących uczuć zdrój;
Oni jeszcze pieśń bolesną w głębi serca słyszą,
Choć pustynia w krąg oddycha porankową ciszą.

A myśl młoda uleciała niby rajski ptak,
Kędy w niebo oznaczyły dźwięki jasny szlak,
I kołysze się swobodna na marzeń posłaniu, —
Potem wraca duszę topić w cichem zadumaniu.

A tam w dali Arab stary, drżący, blady stał,
I śpiewaka ócz spokojnych on się lękać zdał.
Czasem usta zaciął w gniewie, szablę w rękę [ścisnął,
A oczyma niby tygrys czyhający błysnął.

Znowu zadrżał, ha! a z oczu obróconych w słup
Bije rozpacz — on sam straszny jak mara, jak [trup.
Chwyta handżar, ręka spadła, on się waha w [czynie,
A przez usta wpół otwarte cicha klątwa płynie:

»Azraelu! Daj mi siłę! patrz! dobyty nóż!
»By utonął po rękojeść w pogotowiu już!
»Wnet uderzę! — chwilę tylko, niech mi nie drżą [dłonie..!
»Nie! nie mogę!... pieśń przeklęta przepala mi [skronie«.

Cicho! cicho, po oazie płynie jakiś gwar;
A na wschodzie tam poranek rozlał jasny żar,
Beduini ze śpiewakiem modlą się w pokorze,
Jeden tylko Arab stary modlić się nie może.

Lecz już duszę stłumił dziką, wygnał z myśli [szał,
I w półsennem zadumaniu na uboczu stał,
Kiedy młodzi śpiewakowi za pieśń dziękowali
I rumaki do podróży co rychlej siodłali.

*

ODJAZD.

Na wschodniej stronie zielonej oazy
Stoją z kamienia kute drogoskazy,
Z mogiły piasku wyciągają szyje, —
Skronie i lica zimny turban kryje;
A gdy w pustyni noc cienie rozścieli,
One się zdają jak olbrzymy w bieli,
Którym przyrody siły tajemnicze
Trupią bladością pokryły oblicze.
Próżno ich Arab o los braci bada,
Głos mu słów jego echem odpowiada.

Tu śpiewak żegnał Arabów drużynę:
Czas, czas odjeżdżać, w poranną godzinę
Nie tak skwar pali, i rumak też śmielej
Przemknie przez błonia piaskowej pościeli.
Więc do odjazdu stary Arab śpieszy;
Lecz śpiewakowi smutno odejść rzeszy,
Trudno się rozstać; on im serce zwierzył,
To jakby z nimi całe życie przeżył.

Jeszcze ostatnie: »Niech prowadzi Alla!
I błogosławi w podróży hassala!«
Już idą w pochód. Ha! czekajcie; w dali
Jacyś się jeźdcy nagle ukazali,
Trudno ich poznać, zatrzymać się można;
Może to zbójców drużyna bezbożna
Wybiegła w puszczy potoczyć oczyma,
Czy bliska zdobycz i gdzie się zatrzyma?

Czekają. — Chwila; zadrżał Arab stary
I Beduini pobledli jak mary;
Kto są ci jeźdźcy? już hassale wiedzą!
»To Hassanowi naszą drogę śledzą,
»Patrzcie, już naszą drużynę postrzegli,
»Ho ho! jak rychło do kupy się zbiegli,
»Nie ma co chwili na czcze słowa tracić,
«Dziś zadawniony musim dług odpłacić«.

A śpiewak w trwodze nie odstąpił rzeszy,
On ze słowami do Araba śpieszy;
»Patrz! rumak luźny wasze juki dźwiga,
»Jego dosiędę, kiedy wróg was ściga;
»Przyda się w walce jedno ramię stare,
»Wszak ja nie zawsze pieściłem gitarę!«

»Kto wam tu wrogiem i mnie wróg zacięty,
»Bo gości bronić każe koran święty!« —

I wziął szablicę, co była w zapasie,
I zwinął lekko jak skrzydełko ptasie.

Pękły cięciwy, pierzchła ostra strzała;
Wrogów od wrogów dzieli przestrzeń mała...
Wpadli jak Samum,— już i walka wszczęta,
Jak złość szatanów dzika i zacięta;
Koniec niepewny, bo jednaka siła,
A serca dzikie zemsta zapaliła.

Z kłębów kurzawy kopytami zbitej
Połyśnie czasem handżar krwią okryty,
I niknie w pyle, z dzikich przekleństw słowy,
Usłać dla kogoś mogilnik stepowy.

Ale gdzie śpiewak? — do starca pogonił,
Co dzisiaj twarzy i ócz jego stronił,
I przy kassydzie był drżący i blady
Jak kwiat, gdy pierś mu roztoczą owady.
»Dzięki, Ałłahu! na czasie obrona!«
Już, już żelazo było blisko łona:
Gdyby nie śpiewak, może by w tej chwili
Ojca hassalów mściciele zabili,
A teraz pierzchli i tylko z oddali
Za hassalami pociski rzucali.

Lecz czemuż nagle powstał krzyk w drużynie?
»Ratuj, Ałłahu! ratuj! ojciec ginie!«
Hassana strzała uciekła z cięciwy,
Padł Arab stary... ha, lecz jeszcze żywy!
. . . . . .
. . . . . .
— »Bracie, ratunek niesiesz mi napróżno.
Wnet oddam duszę Ałłahowi dłużną,
I drżącą stopę tam przez most powlekę,
Most Alseratu, przez ognistą rzekę...
Ha! jeśli spadnę pod ciężarem winy?...
Ałłah! za rychłoś liczył me godziny!

»Czuję, jak zbrodni moich straszna żmija
Zimnym pierścieniem piersi me obwija,
I serce żądłem tnie na dwie połowy.
Tam, tam, w męczarniach żywot pogrobowy!
A tu — patrz! moje pokolenie młode:
Już ja ich życia drogą nie powiodę,
Z piersi ich w niebo rwie się jęk tułaczy,
Starcze! ja skonać nie mogę z rozpaczy!

»Ty znasz mię, bracie! spojrzyj w moje oczy,
Nim je ciemnica grobowa omroczy,
Nim czerw mogilny... ha! Ałłahu w niebie!
Miejsca cichego nie znajdę dla siebie.
Lecz ty mię zepchniesz tam... w piekło, głęboko...
Gdzie w ogniu światła nie obaczy oko,

I pierś, brzemienna zgrozą i cierpieniem,
Nie zdoła sobie ulżyć i westchnieniem.

»Nie badaj miana! ale patrz, sieroty
Bez ojca pójdą drogami sromoty,
I tę krzewinę młodą burza złamie,
Jeśli jej twoje nie podeprze ramię.
Starcze! miej litość, bo ty znasz cierpienie!
Przyjmij w opiekę moje pokolenie,
Bądź dla nich ojcem! Ty nie miałeś dzieci.
Inna ci gwiazda twój żywot oświeci,
I serce mocniej zapuka do ziemi,
Gdy będziesz z niemi, jakby ze swojemi!

»Przyrzeknij, bracie! niech uspokojony
Ulecę duszą w zaświatowe strony.
Starcze! jam grzesznik wielki, jam zabójca...
Ależ ci młodzi mieli we mnie ojca!
Oni nie winni — zbrodni mych nie znają,
O, niechaj w tobie odtąd ojca mają!
Litości, starcze, w twojem słowie czekam!...«
Spiewak dłoń ścisnął i rzekł mu: »przyrzekam!«

»Dzięki! zgasiłeś w sercu jedno piekło...
Czuję, daleko odemnie uciekło!
Lecz jeszcze drugie, o! stokroć gorętsze
Pali ogniami mojej duszy wnętrze...

Słuchaj mię, bracie! przed skonaniem muszę
Odkryć twym oczom moją czarną duszę...
Cóż? gdy się cała zasłona odchyli,
A ty odepchniesz mię w skonania chwili;
Zdepcesz jak węża, i rzucisz w rozpaczy?...
Bracie! czy serce twoje mi przebaczy?

»Słuchaj! ja życiu chcę powrócić ciebie,
Serce twe wskrzesić po uczuć pogrzebie,
Z grobu pamiątek by znowu powstało
I pogardzonym swoją miłość dało!...
Ty drżysz? zgadujesz!... miej litość nademną!
O! w mojej duszy tak straszno! tak ciemno!
Choć tysiąc iskier pożera ją razem,
Lecz jeszcze jedno cięży na niej głazem
I nie pozwala ulecieć do nieba --
Mnie przebaczenia ziemskiego potrzeba!

»Oto konając u nóg twoich leżę...
O, ja w Ałłaha przebaczenia wierzę!
Lecz jeszcze twoje na ziemi mię trzyma...
Ha! czy ty we mnie poznajesz Selima?...«

Tu nagle chwila nastała milczenia,
Że słychać było serc niepewne drżenia,
Jako za każdem poruszeniem duszy,
O pierś pukały w bezmownej katuszy.

»Czy mi przebaczasz?« I jak wąż się wije,
Sine oblicze w fali piasku kryje...
A śpiewak rękę ścisnął mu serdecznie:
»Niechaj ci Ałłah tam przebaczy wiecznie!
Z wesołą myślą uchodź z tego świata:
Tem uciśnieniem żegnam w tobie brata!«

— »Ha! to mi strzałę wyciągnijcie z łona! —
Już moja dusza z więzów uwolniona!...
Dłoń nasza... Ałłah...« i słów mu nie stało,
Lecz jego oko takim blaskiem tlało
Jak zachodzące słońce śród pokoju,
Po dniu upałów i dzikiego boju! —

Pośród oazy zielona mogiła —
A palma nad nią skronie pochyliła,
I płacze kwiatem jak huris kochanka;
Lecz na grób upleść niema komu wianka,
Bo śpiewak w pochód drużynę gromadzi...
Wraca do braci! Ałłah go prowadzi!

1854.

MŁODY LUTNISTA.

MŁODY LUTNISTA.

Pod krzyżem młodzian w wieczornym zmroku
Siedział nad lutnią schylony,
I ogień dziwny pałał mu w oku,
Gdy ręką poruszył stróny.

Lecz kiedy granie ucichło smętne,
Pod ręką stróny nie drgały.
Z piersi jak burza słowa namiętne
Przez usta jego leciały:

»Tęskno mej duszy — pożegnam matkę!
W świat pójdę — w drogę — hej! w drogę!
Myśl cięży w sercu — porzucę chatkę...
Ja żyć tu dłużej nie mogę.

»Tu mnie kochają — a mnie tu nudno.
Chcę marzyć — pierzchną marzenia;

Pieśń ukochałem — a śpiewać trudno!
Oh! pójdę szukać natchnienia.

»Na tych tu polach — przy tym ruczaju,
Z młodzieńczą piosnką jak ptaszek
Bujałem nieraz, marząc o raju,
Pośród dziecinnych igraszek.

»I kiedy moi bracia rówieśni
Gwarnej zabawy szukali,
Jam sobie dumał o mojej pieśni
Przy drżącej ruczaju fali.

»Ale to były piosnki dziecinne
I polot marzeń tułaczy; —
Duszę mam inną — serce mam inne,
O, dzisiaj czuję inaczej!

»Kiedy'm dziś ujrzał — jak nad opoką
Orzeł tam w górze zawisnął,
To mi się łzami zamgliło oko
I ból za serce mię ścisnął,

»Że moja dusza tak nie uleci
Jako ten orzeł daleko;

O, nie tu dla mnie życie się kwieci:
Mnie walczyć z burzą i spieką.

»I z pełną piersią, z kijem pielgrzyma
Przebiegnąć stepy, zwaliska —
I karmić myśli — i pić oczyma
Cudne natury igrzyska.

»Duszą przepłynę rodzinne wody —
Ojczyste pola — dąbrowy;
Echem przemówią zwalony grody
I krzyż zaskrzypi stepowy,

»Co nad mogiłą pamiątek strzeże
Pokoleń obmyty łzami;
Wieści o ojcach sercem uwierzę —
Przeplotę złotemi snami.

»I przetkam myśli pajęczą tkanką
Czynów przeszłości minionej...
Pójdź moja lutni! lutni, kochanko,
Nowe nawiążę ci stróny.«

I poszedł młodzian i pierś mu drżała
Pełna piorunów i burzy;

Przed chatą matka ze łzami stała,
Błogosławiła podróży.

Dzień za dniem mija. — młodzian szedł dalej...
Cyt! coś mu szepcą dąbrowy, —
Jakieś tam dźwięki plusnęły w fali:
On poszedł pod krzyż stepowy.

Krzyż stary skrzypnął ponuro — smutnie;
On duszę wytęża całą,
I drżącą ręką już stroi lutnię, —
Lecz krzyż powiedział za mało!

Do cichej ziemi ucho przykłada,
Śledzi bojowych odgłosów, —
Lecz ziemia milczy, nie odpowiada,
Li słychać z dala — szum kłosów!...

I poszedł dalej, ponęty świata
W drodze go wabią tak mile:
Ale on duszę z ojcami splata,
Co śpią pod krzyżem w mogile.

»A kiedy wrócę — to w bratniem kole
Tajniki serca otworzę;

Natchnienie porwie myśli sokole,
Ja dłoń na lutnię położę

»I będę nucił — oni swe dłonie
Splotą na piersiach w tęsknocie
W pół zadumani, — a tam zapłonie
W noc księżyc i świateł krocie.

»A przy tym blasku — z dźwiękiem mej pieśni
Mgła się po ziemi rozścieli.
Kiedy pieśń skończę, bracia rowieśni,
Spojrzę: śród nocy zniknęli...

»Ha, wiem, gdzie poszli! — nadeszła chwila
Zerwać żałobne całuny!...«
Ucichł — w zadumie lica pochyla,
I tęskno uderzył w stróny.

A z brzaskiem zorzy — padł do nóg matce,
Prosił: »błogosław mi w drogę!
Myślom i sercu ciasno w tej chatce,
Dłużej pozostać nie mogę!« —

Czasami tylko myśli zatrzyma
W chatce u swojej rodziny,

A potem śpieszy — z sercem pielgrzyma
Dumać na grodów ruiny...

Cicho! śród zwalisk starych zamczyska
Na głazie siedzi młodzieniec,
W ręku ma lutnię, z ócz ogień błyska,
Na skroni dębowy wieniec.

Przy jego stopach tarcza skruszona
I kawał miecza się błyszczy,
Tam śmigownica, mchem osłoniona,
I kilka rdzawych ratyszczy.

A z nieba księżyc smutny i blady
Patrzył na basztę zwaloną,
Ha! — upadł promień na grobów ślady:
Zadrżało młodzieńca łono...

Serce mu bije, — wytęża oko,
Myśl leci w przeszłość jak strzała;
Osnuta cudną marzeń powłoką
Coraz się wyżej wzbijała.

Porywa lutnię, — uderza w stróny...
Pękają zamkowe groby —

I powstał ojców szereg zbudzony
Pełen powagi — żałoby.

Każdy na piersi ma paiż rozbity,
A w piersi rana głęboka,
Ponure oko, nad hełmem kity,
Skroń jasna, biała, wysoka.

»Ha! ojce moi! — teraz ja z wami!«
Zawołał młodzian w zapale,
»Tam wróg! o walczcie! — ja was pieśniami
Tam — pośród żywych pochwalę!!...«

Przy bokach miecze ponuro chrzęsły —
A kiedy usta otworzą,
Aż się od głosów ruiny wstrzęsły,
Tak strasznie mówią a grożą...

Ze sztandarami idą na mury,
Dobyte błysnęły miecze,
Rozległ się odgłos boju ponury,
I krew strugami tam ciecze.

Chwila — bój ucichł — nie — wiodą dalej
Taniec śmiertelny żelazem;

*

A młodzian słucha brzęku ich stali
Z dzikiej rozkoszy wyrazem.

I głos po głosie na lutnię chwyta;
Brzmią strony jak gromy boże;
Źrenica jego w ich twarze wbita...
Chce śpiewać... śpiewać — nie może...

Za skroń się chwycił, potem zawoła:
»Ojcowie! dosyć już boju!
Biesiada na nas czeka u stoła —
I pieśń — o sławie i znoju.

»Stójcie!... ha! cicho!...« zatrząsł się cały.
Słowa przerwane z ust cieką:
»Dźwięcz, moja lutni!...« strony się rwały;
A myśl odbiegła daleko.

I drżał jak listek — łono się wzdyma,
Serce dreszcz zimny przenika, —
Wtem ktoś z szczeliny błysnął oczyma
I śmiech się rozległ puszczyka.

Młodzian — ptakowi zawtórzył śmiechem...
Kiedy się z ruin oddalał,

Głos lutni dzikiem rozległ się echem,
A młodzian śpiewak — oszalał.

I biegł szalony baszty brzegami
Po nad przepaście, urwiska;
Z ócz tak strasznemi sypał iskrami
Jak szatan, gdy klątwy ciska.

A potem ucichł... noc była cicha,
On stał ponury i blady;
I słychać było jak ziemia wzdycha,
Jak gwiazd płynęły gromady.

A kiedy zorza spłonęła rano
W brzask dziewiczego rumieńca,
Znaleźli ludzie lutnię strzaskaną,
A przy niej trupa — młodzieńca.

ŁUŻECCY.

Wstęp.

Stałaś strażnicą przed ołtarzem Pana,
Biała, krwi własnej wstęgą przepasana.
Jako ofiary Jego wielkiej chwały,
Wieczne nad tobą pożogi błyskały;
Góry twe były podnóżami arki,
Na polach czuwał lew, do boju szparki,
Ptacy ku niebu wzlatywali z wieścią,
A lud żył rolą, bojem i powieścią!...
Z okiem i sercem wzniesionem do krzyża,
Słuchał on pieśni gromowego spiża...
Czuwał wigilje... tam już wróg się zbliża!

Zagrzmiały boje: z wieżyc Carogrodu
Zawistnie błyska złoty księżyc wschodu;
Po nad krzyżami wiją się pioruny
Jak z harfy niebios potargane strony,

Płoną świątynie i zagrody kmieci,
Dym ofiarniczy kłębem w górę leci,
Na gruzach płaczą sieroty, twe dzieci!
Sąsiad spokojny zabawia się tanem,
Kiedy ty harce zawodzisz z poganem,
I knuje zdrady, lub zaprawia wina,
A tyś mu tarczą od strzał poganina;
Ani ci poda ręki ku pomocy,
Choć wie, za kogo walczy lud północy!
Bije godzina, ty czekasz ofiary
Z bronią w prawicy, z sercem, arką wiary:
Krzyż bronić spieszy na pola lud dzielny,
Na polach ginie, a krzyż nieśmiertelny!
Z dziękczynną pieśnią przed obliczem Pana,
Stajesz zwycięzka, własną krwią oblana!

Krwawo twe oczy powitała zorza,
U ramion skrzydła srebrzyste, dwa morza,
Zagrały wichrem jak skrzydła husarzy;
A ptactwo z góry okiem łupy waży
I dziko pieśni pogrzebowe kracze,
Na zagon hordy, na zdrady kozacze;
Coś się strasznego odbiło w ich gwarze
Lud słucha, duma i zasępia twarze,
Jakby nań dżuma od morza powiała...

Było to u nas za króla Michała
. . . . . .

Ty śpisz, Chmielnicki! w grobie do twej głowy
Z sykiem się czołga czarny wąż stepowy,
Niesie ci wieści; w grobie cisza głucha,
Oto już żądło przykłada do ucha...
Słuchaj! pierś dziką rozraduj w nowinie:
Z twojego ziarna rzeź na Ukrainie!
Ty krew lubiłeś, a Dniepr krwią dziś płynie!

Ty śpisz, Chmielnicki! a tu Ukraina
W poły rozdarta płacze i przeklina:
Pocoś zdrad uczył stepowego syna?
Spojrzyj! nad twoją stepową mogiłą
Tysiące orłów w błękity się wzbiło:
To bratnie duchy wiodą korowody...
Te wykrakały z klątwą: Złote Wody!
Tamte z ponurej równiny Batowa
Na grób ci niosą mnogie przekleństw słowa,
Te z Beresteczka, a te z pól Zborowa...
I słychać w górze przeciągłe krakanie:
— Hańba ci, zdrajco! hańba ci, hetmanie!...
Gdy je wiatr zaniósł gdzieś na step daleki,
Szumiało echo: hańba ci na wieki!
Łuną pożarów klną go niebios sklepy,
I wiatr na grobach i Ławra i stepy,
I klnie jaskółka za gniazdko u chaty,
I przeklinają wszystkie polne kwiaty,
Przeklina matek i dziewic płakanie,
I Sicz rozdarta!... hej! czy śpisz, Bogdanie?...
Tam sen okropny ciśnie twe powieki...
Spij, czarny zdrajco! przeklęty na wieki!

Archanioł biały zasłonił oblicze,
Bogu oskarża hordy buntownicze:
Żórawiem czajki wodził po Bosforze,
Dziś srebrnem skrzydłem nie wzleci na morze,
Żagla na sinej nie rozwinie fali,
Bo kozak powstał morduje i pali;
W Siczy Dorosza nazwał atamanem,
A Dorosz schylił czoło przed sułtanem!
Przysięgli Turkom, pochylili czoła,
I mają buńczuk, po co im anioła?
Na monasterze Przeczystej Dziewicy
Błyśnie półksiężyc złoty na wieżycy,
I dumny Basza konie poupina,
Gdzie się modliła niegdyś Ukraina.
A niema komu zapędów ukrócić.
Starzy wołają: lepiej ziemię rzucić!
Wzięli kij, lirę i pełni rozpaczy
Poszli daleko, gdzieś na chleb żebraczy;
Trudno im z wami przemieszkiwać doma,
Znali czas inny, dzisiaj tu Sodoma!
Ten, co ich bronił w ukraińskiej ziemi
Już dawno w grobie, brat książę Jeremi,
Jego pacholę zasiadło na tronie,
W ręku ma berło a ciernie w koronie.

I dziko w stepie: śród bojów i wrzawy
Umilkły pieśni i dziewic zabawy,
Tylko rżą konie, słychać broni szczęki,
I szumy Dniepru i konania jęki.

Gdy rano słońce na niebo wypłynie,
Dziewice stepu kryją się w pustynie,
Dzień dla nich straszny, bo tu jasyr czeka
I w Tureczczyznę pielgrzymka daleka;
A w noc, gdy złoty księżyc patrzy z góry,
To zasmucony chowa się za chmury,
Albo czerwono świeci ziemi zbrodni
W kształt pogrzebowej na niebie pochodni!

Lekka chorągiew, oddział za oddziałem,
Od niw Podlasia przemyka się czwałem:
Kasztelan wysłał przednią straż na szlaki,
Sam zbiera w zamku towarzyskie znaki...
Zda się zbudzeni ptacy koczownicy
Lecą ku zorzy do wschodniej granicy,
Na Ukrainę, na rozległe pola,
Taka w nich lekkość i taka swawola.
Jak skrzydła furczą u ramion wyloty,
Świszczą, powietrze przecinając, groty;
To w mgle utoną, to wiatr ich odsłoni,
I świt poranny zwierciedli się w broni.
Lecą, tam boje czekają ich krwawe;
Młodzież bój przetrwa a odniesie sławę,
Towarzyskiego nim dostąpi znaku,
Spróbuje szabel na dziczy z Budziaku.
Pną się na wzgórza, schyleni do koni,
A mgła przed nimi na kształt wojska goni.
Na Miodoborskiem, u samej granicy,
Skręcił się bałwan jakby mąż w zbroicy.
Może to dawny buntownik koszowy,

Ne karki jeźdźców podniósł miecz stalowy,
Zwija się w wietrze, potrząsa przyłbicą,
Od zorzy krwią mu opłonęło lico,
Aż upadł skłuty ostremi oszczepy,
I jak wąż biały czołga się na stepy.

Za Miodoborskie ukryli się wzgórze...
Niebo w prześlicznej poranka purpurze
Na wzdłuż całego stepów widnokręga
Tlało jak we krwi ukąpana wstęga;
Zdala coś miga od skalnych wybrzeży,
Odgłos trąb, hejnał wspaniały uderzy:
Zadrżały stepy, całą okolicą
Płynie pieśń ranna: O Boga Rodzico!...
Coraz to bliżej słychać grzmiące głosy;
Słońce wybiegło na czyste niebiosy,
Mgła ulatuje i w promieniach ginie...
Polami szereg chmur stalowych płynie,
A wiatr zachodni dmie ku Ukrainie...
Dzielne chorągwie towarzyszów w stali
Nucą pieśń chórem i czwałują dalej.
Czarownie błyszcząc we wiosennym ranku,
Iskrzącym deszczem sieją bez ustanku,
Ziemia jak serce tętni od kopyta,
Słońcem i rosą i blaskiem okryta.

I już na wzgórzu mężowie w zbroicy
Na kształt żelaznej pną się szachownicy...

Wiatr chorągiewki rozwiał nakształt tęczy,
Szereg nią przyłbic, hełmów i piór wieńczy.
Przodem Łużecki Karol jak ptak złoty
Wiedzie husarskie i pancerne roty;
Za kasztelanem mnich, starsi z komendy,
A dalej sztandar i rycerzów rzędy.
W twarzach powaga, w oczach zemsta sroga,
Konia wciąż bodzie kolczata ostroga...
Męztwo wraz z stalą opasało łona,
Na mieczach drzemią poległych imiona.
Koń w konia dzielny, srebrną siatką kryty,
Kruszy kamienie i wonne ziół kity;
Wiewne buńczuki słaniają się w poły,
Niby do ramion zwabione sokoły.
Rycerzom boje są świetną biesiadą,
Lecz dzisiaj serca zakrwawione zdradą;
Więc Doroszeńce klną i grożą Siczy,
I spadną gradem na lud buntowniczy.

Na Miodoborskiem gdy był hufiec cały,
Jeszcze raz trąby na hejnał zagrzmiały.
Już ich nie widać, już na Ukrainie
I błysk oręża i dźwięk surmy ginie;
U zbornych mogił owych orłów w zbroi
Z chlebem i solą powitają swoi.

A tam na polu, gdzie przed chwilą grzmiały
Znaki rycerzy, został dziad zgrzybiały;

Rodzinne stepy opuścił on wczora;
Siwą miał brodę i szaty znachora,
Na plecach torba i skrzypliwa lira;
W spojrzeniu resztka nadziei zamiéra,
I z czarnych oczu ogień zwolna znika,
Jako przy wschodzie błysk lamp u pomnika.
Stał zatopiony w dumaniu głębokiem,
Za rycerzami smutnym patrzył wzrokiem,
Łzę otarł z oka i w cichej modlitwie
Chciał błogosławić ich losom i bitwie;
Lecz przerwał pacierz, lirę wziął do ręki...
I pełne płaczu rozlały się dźwięki;
Rzekłbyś, przyszłego pogromu przeczucie
Tu się odbiło w smutnej starca nucie.
Nie chciałby śpiewać, głos mu z piersi rwie się,
A wicher smutne tony dalej niesie;
Nie chciałby śpiewać znachor Ukrainy,
Przeklina w pieśni znachorstwa godziny:
Czemu? bo ziemię rodzinną porzucił,
Czemu? bo ziemi swej klątwę wynucił,
Wędrować musi strony dalekiemi,
A w świat się puszcza z włosami białemi!
Zdala od stepu gdzieś na obcym progu
Położy głowę, ducha odda Bogu,
A lira jęczy...
Starzec klął na grobie:
»Oj Ukraino-Polsko, biada tobie!...
Biada Podolu! całej Rusi biada!
Czegoś wam niebios kraina nierada,
Gwiazdami wiele nieszczęść zapowiada!...«

»Nad Ukrainą tli płomień dwóch zorzy,
Nad Rusią miotła ognista się sroży,
Zawisł nad nami płomieniem gniew boży!
I ni go jaka modlitwa odwróci;
Turek kajdany aż po za Dniestr rzuci
I lud wypleni i sioła popali
I zburzy cerkwie!...
Wstał i idzie dalej,
Skrzypliwą lirę na plecy zarzuci,
Poszedł światami i nie prędko wróci!...

Miesiąc na bojach zeszedł w Ukrainie,
Giną kozacy i rycerstwo ginie.
A od pożarów w stepie się zamgliło;
Oh! bogdaj nigdy tych wojen nie było!

Zdobyli miasta hetmani zwycięzce
I przebaczyli ludowi po klęsce;
Odeszli wierząc pokornemu słowu:
Hetmani w domu, kozak powstał znowu.
Stanął podlaski kasztelan na straży,
I z swoim hufcem gromi, gdzie Bóg zdarzy.

. . . . . .

Brzask nad polami, poranną godziną
Gasły już zorze po nad Ukrainą;
Coraz to widniej, od Czetwertynówki
Cerkiewnych krzyżów widać złote główki;
Coraz to głośniej, na niebie gwar ptaszy,
A z pól rumaki biegną z nocnej paszy,
I jęki dzwonka wiatr niesie z daleka,
Środkiem Boh siny ku morzu ucieka.
Budzi się obóz...

»Do koni! do koni!
Rozkazem wodza złota trąba dzwoni.
I w jednej chwili na koń powsiadali,
Bo zbrojni całą noc przy koniach stali.
Taki spoczynek po harcach i trudzie
Mieli żelaźni kasztelana ludzie.
Karol Łużecki przyrzeka wygranę,
Przyrzeka zniszczyć hordy zbuntowane;
Słowu ufają towarzysze wierni,
Ochotna szlachta, husarze, pancerni,
Bo już się miesiąc Doroszeńka biło,
Zawsze zwycięzko, a liczniejszą siłą.
Lecz mniejsza o to, jaki wróg się zdarzy:
Wszak wódz obiecał, więc nie umknie twarzy.
Bój na nich czeka: rozesłane szpiegi
Doniosły nowe Dorosza zabiegi,
O armji Turków, tatarskiej grabieży;
Ale o Turkach, kasztelan nie wierzy.

Stoją: kasztelan, przyodziany w łamy,
Wyjechał, krzyknął: »witajcie!« »witamy!«
A potem starszą komendę powitał
I panów szlachtę o zdrowie zapytał.
Poznawszy zapał, rzekł: »wielce mię cieszy,
»Że wam się, bracia, ku ochocie śpieszy;
»Dziś, jutro jeszcze, potem dnie spoczynku...
A Dorosz głową odpowie na rynku«.
Tak wódz przemówił, a zagrzane mową
»Hurra!« w szeregach wzbiło się gromowo...

Lecz ci, co bliżej kasztelana znali,
Jakoś się z boku nieszczerze patrzali:
»Zasługą ojca godności się dobił,
Ale na wodza dziwno się sposobił:
Rozpierzchłe w stepie rabusiów gromady
Pobił i myśli, że jest gromowłady,
Wzbija się w dumę, w naradach nadyma,
A jeszcze armji nie miał przed oczyma«.

Już tam i echo wieść szlachcie zaniesło,
Że mu się śniło wojewódzkie krzesło...
»Brat jego, mówią, co tam na Podolu,
To mąż z żelaza i w polu i w bolu;
Ten umie gładko rzucić piękne słowo,
Lecz w walnej chwili czy nie podrwi głową?«...

Przy nim na koniach Raczkowski, Haneńko;
A Rożniatowski, zwany prawą ręką,
Bo rębacz straszny, pancernych chorąży,
Patrząc jak młodzież na bachmatach krąży,
Rzekł ku starszyźnie: »Ci ptacy przed burzą,
»Weseli bardzo, dobrze nam wywróżą!«
Na to kasztelan z spojrzeniem wesołem:
»Ha! młodzież nasza postawi się się czołem,
A miłych braci ja na ucztę proszę,
Gdy nam powrócą pokoju rozkosze...«
Wtem zadzwoniono...

Chorągwie, oddziały
Na słowo »baczność« w jeden mur się zlały.
W polu, przed frontem ołtarz ustawiono...
Step mu posadzką, niebiosa zasłoną,
Dęby filary, widnokrąg pustyni,
To modre ściany olbrzymiej świątyni,
I jak posągi w dali czarne głazy,
A słońce w chmurach maluje obrazy.
Wojsku grom często nucił miast organów,
Dzisiaj szum głuchy bohowych bałwanów
Zawtórzy pieśni: »Rodzicielko Pana,
»Prowadź nas w ogień, Ty Niepokalana!...«
A wojsko wierzy, że ztąd prostsza droga
Łzom i modlitwom i duszom do Boga.

Mszę rozpoczyna mnich, ojciec Gaudenty,
Biały jak gołąb, w oczach zapał święty...
»*Et introibo ad altare Dei*...«
Chryste, sztandarem bądź naszych kolei!«
Modli się wiara... »a trzymaj w nadziei!...
»My do stóp Twoich bisurmana złożym!«
A starzec klęka przy ołtarzu bożym,
Na licu uśmiech, broda srebrnowłosa,
Oczy zwrócone w błękitne niebiosa,
W całej postaci jakaś tęskność błoga,
Jakby się dusza stęskniła do Boga.

Dziwne też o nim w obozie posłuchy...
Mówią, że w nocy doń spływają duchy,

Że czyta przyszłość, a są, co widzieli,
Jak rozmawiali z Gaudentym anieli...
Wieść nawet często słyszana od wroga,
Że ten kapucyn ma łaskę u Boga.
Wojsko go kocha, on im wzajem płaci,
Kocha ich wszystkich jak dziatwę, jak braci...
W bój z nimi idzie, przed bojem spowiada,
Więc od lat wielu sercami ich włada...

Cisza w powietrzu śród polnej modlitwy...
Żelaźni ptacy nim pomkną na bitwy,
Groty i miecze nim stępią na wrogu,
Siebie i ostrza powierzają Bogu.
Poranne słońce rozlewało blaski,
Jakby promienie czystej niebios łaski,
Ksiądz ewangelję począł w imię Boga,
Błysnęły w słońcu szable, jak na wroga,
A chórem grzmiały piersi rozrzewnione:
»Pod Twoje skrzydła weź Lud i Koronę!
Nad zagrodami u nas łóna świeci...
W zagrodach, Panie, nasze żony, dzieci!
Kraju i świątyń dziś bronim piersiami;
Jutro, gdy zorza zejdzie nad polami,
Czy im nie powie, że są sierotami?!...«

»*Sanctus!*« dzwoniono! »*sanctus Deus*, woła
Mnich przy ołtarzu, schylają się czoła,

Kasztelan szablą skinął, skłonił głowę,
Hucznie zawrzały kotły obozowe,
Znaki rycerskie, kopje i sztandary
Trzykroć schylono przed ołtarzem wiary,
A szeregami modlitwa zagrzmiała:
»Na wysokości Panu cześć i chwała!
»Pokój wybranym, ludziom dobrej woli...
»Panie! w pokutę przyjm to, co nas boli!

Z Czetwertynówki wtem ryknęły działa,
Świsnęły kule, aż ziemia zadrżała,
I biją znowu raz, drugi i trzeci,
Słychać już tętęt, zbrojny hufiec leci,
Rozwinął skrzydła Tatar, już napada;
Szlachta krzyknęła: »panowie, to zdrada!«
I kasztelana zmierzyła oczyma.
Młodzież się zrywa i za kordy ima
Reszta w nieładzie pomięszała szyki.
Tu krew i jęki, tam »naprzód!« okrzyki,
A mnich w tej chwili ręce w niebo wznosi!
»*Hosanna Deo in excelsis!*« głosi.

Kasztelan ścisnął konia ostrogami,
Zwinął szablicą, wzrok mu błysnął skrami,
Ledwie straż przednia dała znak: do broni!
On już myślami niedobitki goni,
Gromi, zwycięża, już horda pobita
Uściela drogę pod końskie kopyta;

Tak olśnion dumą, zazdrośny o sławę,
Pragnął co rychlej stoczyć harce krwawe;
»Naprzód, panowie!« krzyknął rozogniony,
»Naprzód i naprzód!« grzmi na wszystkie strony.

»Sformuj nas pierwej!« pan Raczkowski woła,
»Ochotni naprzód! kwarciani na czoła!«
Ale kasztelan nie zważa na radę:
»Za mną, panowie, wrogom na zagładę!«

Przypadł Haneńko, ataku odradza;
»Panie! miej baczność, bo tu Dorosz zdradza;
Może jakiegoś wypłatać nam bisa,
Ja od lat wielu znam już tego lisa...«
Ale kasztelan ofuknął go srodze:
»Niech waść pamięta, że ja tu przewodzę.«

»Pan Rożniatowski niech ołtarz otoczy.
Kiedy my wrogom popatrzym się w oczy«.
I krzyknął: »Naprzód!« i wypuścił konia,
A za nim wiara czwałuje przez błonia.
. . . . . .
Na hufiec krymski spadli w jednej chwili,
Zadrżał Tatarzyn — już go w puch rozbili.

Kasztelan dumnie potoczył oczyma:
»A co? panowie, Tatarów już niema!
Przez poły, bracia, już zwycięztwo nasze;
Dzielnie Gaudenty pokropił pałasze.
Funduję klasztor mnichowi w nagrodę,
Niechaj w nim zawsze tak poświęca wodę!
Umilkły działa, hej w pogoń, panowie!
Na kark pohańca nim klęskę opowie!«

Znowu kasztelan puścił konia przodem...
Wojsko zmieszane za nim korowodem,
W szale zwycięztwa, porządku niepomne,
Łamie szeregi dla wroga niezłomne.
Boh szumi groźno, od wroga ich dzieli...
»Wpław! wpław, a dalej!« więc rumaki spięli;
»Tak szedł Czarniecki!« kasztelan zawoła,
Wskoczyli; Boh im skropił wrzące czoła.

Mnich spojrzał na nich zwrócon od ołtarza,
I, »Pan Bóg z wami!« modląc się powtarza,
A Rożniatowski, co mszalną straż trzyma,
Bitwy zaledwie nie pożre oczyma.
Walczą z falami, a fale spienione;
W poły ustają konie ponużone,
I rzekłbyś patrząc, że łabędzie stado
Wpadło do Bohu świecącą gromadą,
Rozwiało skrzydła po modrym krysztale,
Zamąca, burzy i opienia fale.

Już bliscy brzegu, wtem ogień działowy
Z grzmotem kul krocie cisnął im na głowy:
Upadło wielu, lecz drużyna śmiała
Zdobywa brzegi, a tam grają działa;
Gdy huk umilknie, to słychać na błoni
Dzwonek, co w chwili podniesienia dzwoni.

»Hurra!« zagrzmiało, zdobyte już brzegi,
Tatarzy pierzchli, zmięszali szeregi,
A jakby w falach nabrały ochoty,
W czwał za zbiegami pomknęły się roty;
Nawet Raczkowski odmłodniał w zapale.
Kasztelan cały zatopion w swej chwale
Z hardem obliczem, z wzniesioną szablicą,
Po stosach trupów leci błyskawicą;
A tak szczęśliwy, jakby w Ukrainie
Nie słychać było o nieszczęść godzinie.
Tatar się zjawi, potem wstecz się skręca,
I do pogoni kasztelana znęca.

Przypadł Haneńko, powtóre odradza:
»Panie! miej baczność, bo tu Dorosz zdradza.«
Lecz nań kasztelan i spojrzeć nie raczy,
Pomknął i wpada na zastęp kozaczy.

Wre bój, a słońce połyska od wschodu
Na step, jak świecznik olbrzymiego grodu,

Ku niemu mgliste wznoszą się opony,
Już las wystąpił cały, ozłocony,
Coraz się więcej odsłania widoku:
Tam srebrna szarfa bohowego stoku,
I oczerety, nad oczeretami
Snują się dzikie łabędzie stadami.
I wicher powiał, resztę mgły rozgonił,
Pierzchły łabędzie i step się odsłonił.
Rycerstwo patrzy, w czahary schowana
W krąg je osacza armja Nurydana;
Wyszła, grzmi »ałła!« drżą szlachty szeregi,
Odwrotu niema, ztąd wróg — a tam brzegi.

»Na Boga! zdrada! zginiemy tu marnie!«
Krzyknęła szlachta i w czambuł się garnie,
Kasztelan krzykiem szlachty przerażony
Zdumiałe oczy zwraca na wsze strony.
»Turcy! ha! prawdę powiedziały szpiegi!«
Patrzy i liczy oczyma szeregi:
Tu morze broni migoce od słońca,
Tam działa, jazda, i liczy bez końca...
A coraz więcej wysuwa się z dali:
Od blasku broni cały step się pali!...
Grobowym głosem grzmi trąba ponura,
A nad działami wisi dymów chmura.
I twarz mu zbladła, ręką oręż ściska,
Pierś mu się wzdyma, lecz oko nie błyska,
Policzył wrogi i ostygł z zapału.
Po pierwszem »*Salve!*« armatniego strzału,

Zacisnął usta, oddech w piersi wstrzymał,
Zda się, że myśli rozpierzchnięte imał,
Znów zliczył wrogi... ratunku już niema!
Za skroń się dłońmi pochwycił obiema,
Jakby weń z nieba grom uderzył boży,
I stoi niemy, a walka się sroży.

Rycerstwo walczy, wróg ciśnie do brzegu,
Ledwie zdołają dotrzymać szeregu;
Kasztelan mężnych walki nie podziela,
Stoi i patrzy. Turek rąbie, strzela,
Wydać rozkazu starszyznie nie raczy,
Tylko przestrasza postacią rozpaczy.
Wtem szlachta wpadła i na niego krzyczy:
»Tyś wydał braci na rzeź Turków dziczy!
Przyśniła ci się Czarnieckiego sława!
A za krew naszą krzesło i buława?
Czemuś Haneńka nie posłuchał rady?«
Wstrząsł się kasztelan na wrzaski gromady!
Spłonął i krzyknął: »żmije, precz mi z drogi,
Albo w łeb płatnę! O! ten kruk złowrogi,
Cham swoją wróżbą wziął sławę, a tłuszcza
Teraz się na mnie językami puszcza!
Naprzód! »Lecz strasznie naciskają wrogi.
»Naprzód!« Koniowi nie śmie dać ostrogi.
Znowu skamieniał jak oczarowany,
A w koło szlachtę mordują pogany,
Sparli do brzegu, i szlachty gromada,
Klnąc kasztelana, w bystre wody wpada.

Raczkowski oczy obrócił do nieba...
Rzecze: »*finitum!* teraz umrzeć trzeba!
Szedłem, gdzie Bóg mi wskazywał ofiary;
Lecz do odwrotu o! jużem za stary!
Sprzedaj się drogo, komu ledz wypadnie,
Kiedy nas tako uwikłano zdradnie!...«
Chwycił pistolet, najbliższego zmierzył,
A potem szablą na Turków uderzył.
A szlachta walczy z falą i głębiną,
Kasztelan patrzy, ci giną, ci płyną,
Stoi i patrzy, i włos mu się jeży;
Spojrzał na walkę, już szczęściu nie wierzy!
Zadrżał, spiął konia, skoczył w Bohu łoże...
Krzyknął ku swoim: »umykaj, kto może!«

Przepłynął rzekę; z pogromu i klęski
Pierzcha, nie dawno przebył ją zwycięzki;
Do jasnej zbroi niesie żal przykuty,
A w sercu sroższe od żądeł wyrzuty...
Dziś jego winę step oglądał cały,
I Bóg i ludzie, nieba i dzień biały.

Raczkowski walczy i poddać się wzbrania,
Zbiegłych przed Turków pogonią zasłania;
Przy nim husarze i bracia pancerni
Już w małej liczbie przejścia bronią wierni;
Walczą zawzięcie, ale bez nadziei...
Padli... wtem dzwonek głosi: »*Agnus Dei*...«

I jęczy w polu... Armja Nurydana
Boh przeszła, ściga resztki kasztelana.

Wrzawa pogoni już w dali przycicha,
Patrzy chorąży na klęskę i wzdycha;
Patrzy na słońce: wstawało tak cudnie...
A takie krwawe oświeca południe!
Na step pogląda: tam na wszystkie strony
Pierzcha nieszczęsny hufiec rozgromiony!
I na Boh patrzy: jak szumiał, tak szumi,
A nad brzegami kozactwo się tłumi.
Spojrzał na ołtarz: Maryi obrońca
Zadrżał, tej klęski nie śmie marzyć końca.
Ból mu ściął piersi, których nie zna trwoga.
Kapłan gorąco modli się do Boga,
Na jego twarzy nie ma przerażenia,
W oczach gra zapał boskiego natchnienia,
Klął, stawia kielich na nakryciu białem,
Serce pożywił Pana krwią i ciałem,
A zatopiony w dziękczynnej modlitwie
Przepomniał widać o wrogach i bitwie.

Wtem groźne »hurra!« rozległo się w ciszy;
Pan Rożniatowski sprawił towarzyszy,
Gonią kozacy; lecz cobądź się zdarzy,
On takiej świętej nie opuści straży.
Wziął sztandar, księdzu błogosławić daje,
Potem spiął konia i przed frontem staje:

»Formuj półkole!« Zelazni stanęli,
Swiecą skrzydłami jak jaśni anieli,
Mnich podniósł ręce: ...»Chwalimy cię, Panie,
Przez krew dzisiejszą i wiernych konanie!
Przez nocne ognie, jęk matek i dzieci,
Gdy wieść o ojcach do ich strzech doleci!...
Lecz jedno mgnienie od Twojego tronu —
Wróg w proch upadnie jak wieże Syonu!«

Straszny był napad, że aż ziemia jękła;
Tam szabla w dłoni, tu misiurka pękła,
Lecz chorążemu kozak nie dostoi,
Skruszyli piki na stalowej zbroi,
Chwycili szable, ale hełm za twardy...
»Poddaj się!« krzyczą — chorąży za hardy...
Do koła niego towarzyskiej roty
Błyskają długie, skrwawione brzeszczoty;
Bój wiodą dziko te krwawe straszydła,
Z przyłbic lśnią kity, a od ramion skrzydła.

Uskoczył kozak, pogląda z daleka,
Strzela i, zda się, sam napadu czeka,
Lecz Rożniatowski powstrzymuje konia;
A kiedy dymy uleciały z błonia,
Dziwno kozactwu... »Taka garstka mała!
Ha! czy szalona?... czy zapamiętała?...
A choćby przy nich był szatan z Budziaku,
Toż wszystkich w jednym pomieścić kołpaku!«

Znowu jak wicher zerwali się razem,
Wpadli i kruszą żelazo żelazem.

Legli pancerni, Rożniatowski pada...
Ha! już na ołtarz puszcza się gromada:
Na strzał już tylko... ołtarz i naczynie
Krwią niewinnego księdza wnet opłynie!
Wtem mnich się zwraca z krzyżem Zbawiciela,
Błogosławieństwo poległym udziela,
I — »w imię Ojca! — « tłuszcza krwi nie syta
Wstrzymała lejce, stanęła jak wryta.
Lękliwsi krzyżem naznaczyli czoła...
Marzą, że widzą z Ławry apostoła;
I wnet pacierza rozległy się gwary...
Wtem najzuchwalszy krzyknął: »Hej, to czary!
Lecz boże zioła taki czar rozbroją;
Hurra!« chciał pomknąć, spojrzał, wszyscy stoją.

Mnich stał, ku niebu miał twarz obróconą,
Zapadłe oczy jak dwie gwiazdy płoną.
Kiedy prawicą czynił krzyż widomy,
Oczyma z niebios, zda się, zaklnie gromy;
A była cisza nad całym obozem...
Kozacy milczą, drżą, jak ścięci mrozem,
Skoczyli z koni, padli na kolana...
Ich dusze trwoga ciśnie niezbadana,
A sotnikowi rzecze kozak z cicha:
»Patrzaj! na czole blask u tego mnicha...

Idźmy? bo żadna nie ujdzie ztąd noga!
To, jakiś swięty! łaskę ma u Boga!«
Wskoczyli na koń, szlak tętni za nimi,
Znikli...

Mnich czytał psalm nad poległymi.
»...I oto lećcie do pańskiego tronu,
Żywot wasz spłynął wedle słów zakonu...«
Wtem Rożniatowski zwolna podniósł głowę...
»Ojcze! posiłki daj wiatykowe,
Bo mi głęboko w pierś utkwiła rana!«
»Dziś jeszcze staniesz przed obliczem Pana,
Synu wybrany! Wy bracia wybrani,
Archanioł Michał już wam zahetmani!
Idźcie odpocząć w Cherubinów kraju,
Przeczysta Panna powita was w raju!
Idźcie się w pańskiej rozradować twarzy...
Boście polegli u jego ołtarzy!«
Na to chorąży bolami złamany:
»Za tych, co w trwodze, proś, ojcze kochany,
»My już bezpieczni!...«

Mnich przeżegnał stronę,
Kędy pierzchały hufce rozpędzone;
Łzy błysły w oczach, on modli się: »Panie!
»Nad nieszczęsnymi powstrzymaj karanie!«
Rożniatowskiego nie doszły już słowa:
Skonał waleczny, w proch upadła głowa.

A mnich się modli, podniósł obie dłonie:
»O Panie! ziemia cała we krwi tonie.
Spuść nam ratunek, Boże!... my ci wierni;
Za Twoją chwałę wieczniśmy pancerni!
Dzisiaj nas srodze zgnębił lud zdradziecki;
Kasztelan pierzchnął! . . . . . .
. . . . . jest inny Łużecki!...«
Klął, ręce obie podniesione trzyma,
Umilkł — i Bogu modli się oczyma.
A niebiosami niby łańcuch biały
Ku zachodowi łabędzie leciały,
Szemrały brzozy, dąb zaszumiał stary,
Zanucił ptaszek, skacząc na konary...
Potem ucichło, znikły białe gońce,
Tylko mnich klęczał i świeciło słońce.

Wsie popalono a zostało zgliszcze,
W zagrodach pusto, tylko wicher świszcze.
Spojrzyć na stepy, oko łzą opłynie!
Turek już panem w całej Ukrainie!
Pod kurhanami leżą mężе zbrojni...
Dawni zwycięzce, dziś tacy spokojni!
Nad mogiłami nikt ognia nie pali...
Niech śpią, bo dziśby gorżko zapłakali.
A na Podolu stratowane pole,
Buńczuk powiewa na całe Podole!
Upadł Kamieniec!... twierdza w gruzach leży!...
Upadł Kamieniec!... a Polska... nie wierzy!
I nie Xerxesa miljonowej sile
Otwarły bramę polskie Termopile!
Wisła daleko od Dniestru i morza;
W Warszawie spory... a tu... kara boża.
Miasto orężnie powstrzymać pogany,
Z królem się dzisiaj poswarzyli pany.
Król biedny! biedni królem go nazwali!
Niechaj upada! wróg niech idzie dalej,
Nam berło kraju! Hej! a ty śpisz w ziemi,

Ty bracie szlachty, ty — książę Jeremi!
Król, twe pacholę, komuż się pożali,
Od czarnych duchów kto go dziś ocali?
Biedni podnieśli w obronie bułaty,
A przeciw niemu pany i magnaty.

Ucichły skargi a w podolskiej ziemi
Śmierć przeleciała skrzydłami czarnemi.
Ni dzwon już woła o rannej godzinie,
Ni hula stado po kwietnej wyżynie,
Ni w pocie czoła robotnik się trudzi,
I zda się nigdy nie było tu ludzi.
Cała dziś ziemia podobna do truny;
Nad nią jak świece gorą nocne łóny.
. . . . . .

Nurydan-basza przyprowadził hordy
Na nowe łupy i na nowe mordy;
Ludzi pogańska zabrała niewola,
W dali halickie zielenią się pola,
I ciemne bory ciągną się w równiny,
Śród skał się toczy cicho Dniester siny,
Jakby się wstydził, że dźwigał poganów.
Szum, Dniestrze! morze twe nie bez kajdanów!
Pamiętne niegdyś Xerxesowej chłosty
Dźwigało w skrusze dzikim Persom mosty!

Tam jasne słońce wzbiło się na wschodzie:
Pierwsze promienie złocą się na wodzie,
A nad brzegami bieleją namioty
I błyska w słońcu buńczuk szczerozłoty,
Nad nim pół-księżyc; a dalej w taborze
Tłuszcza rumaki zapuściła w zboże:
Ha! giaur niewierny! po co stawia krzyże?
Niech ginie z głodu, lub jęczy w jasyrze!
Niech w zgliszczach chaty własnej się zagrzebie!
Prorok im za to raj naznaczy w niebie.
Śniade ich lica, w oczach zaś się świeci,
Chciwi jak wilcy, w trwodze małe dzieci,
Srodzy zwycięzcy; a gdy bój przebyli,
Gotowi podnieść rokosz każdej chwili,
Gdyby nie buńczuk, co z namiotu Baszy
Błyszcząc, i ptactwo i janczarów straszy,
Bo dłoń groźnego Baszy Nurydana
Ma firman, stryczek i szablę Sułtana.

Na adamaszkach, pod cieniem poddasza,
Siadł przy namiocie siwobrody Basza.
U stóp mu Arab tęskne dumy śpiewa,
I kadzielnica fjołków woń rozlewa;
Z boków służalce i horda siepaczy
Patrzą, czy Basza skinąć im nie raczy.
Opodal obóz, dalej Dniestr i góry,
A Basza siedzi smutny i ponury:
Ani poglądnie na służalców grono,
Ani posłucha dumę ulubioną...

W namiętnej duszy tli straszne żarzewie,
Niewolnik blednie, bo dziś Basza w gniewie:
Uciekły branki w nocy, kazał tropić,
A stróżów w Dniestrze za karę potopić.
Krew dziś popłynie, ale gdzie? i czyja?
A Basza często spojrzeniem zabija.

Klasnął w dłoń Basza, pochylili czoła:
Spieszą, on Murzę tatarskiego woła;
Murzę dziś rano wyprawił na zwiady:
Ile tam jeszcze giaurów do zagłady?
On radby wszystkich zniszczył w jednej chwili!
Murza przystąpił, pokornie się chyli,
W duszy przeklina nieszczęścia godziny,
Stoi przed panem jak zbrodniarz bez winy.

Basza go pyta: »Czy daleko wrogi?
»Hej! czy do Lwowa już nam wolne drogi?«
Murza mu do stóp pada jak trup blady.
»Władco! twym sługom Ałłah dziś nie rady,
Azrael stępił ostrze twojej broni,
Ledwieśmy uszli niewiernych pogoni!«
Wściekłością Baszy zakipiało oko...
»O! jakże Ałłach rani mię głęboko!
»Mów! aleć biada, jeśli twoja wina!«
Usiadł, a Tatar znów mówić zaczyna:
»Władco! czy widzisz, jak te bory blisko,
Jest tam Budzanów, miasto i zamczysko.

Rano'm je ujrzał, pośpieszyłem rano;
Władco! w tym zamku nas się spodziewano.
Buńczuk zatknąłem pod bramy samemi,
W imieniu twojem zażądałem ziemi!
Oni odrzekli: Basza sam przyjść raczy,
I powitali nas gradem kartaczy.
Chciałem ich spalić, przystąpić nie dali,
Wypadli z murów i aż tu nas gnali.
Wódz ich, na świadka wzywam niebios Pana,
Jeśli nie szatan, to krewny szatana!«
Porwał się z miejsca, zaciął zęby Basza,
Oczyma duszę ze spahów wypłasza:
»Hej! głupca Murzę z przed ócz moich weźcie
I tam na wierzbie za szyję powieście!«

Wnet postrach szepta po całym obozie:
»Waleczny Murza wisi na powrozie!«
. . . . . .
W koło namiotu w trwodze stoją tłumy;
Z węzgłowia powstał Basza pełen dumy,
Zakrzyczał dziko: »Dziś ta podła tłuszcza
Złość mojej piersi drażni i poduszcza!
Sznur was nauczy, jaka ma powaga!
Precz, niewolniki! niech tu stanie Aga!«
A kiedy stanął, rzekł mu: »Weź janczarów
Tysiąc, i Turków tysiąc, i Tatarów,
Idź na Budzanów z słowami rozkazu,
Niech ci tam bramy otworzą do razu.
Kornym przebaczysz, a w razie oporu

Staniesz się dla nich aniołem pomoru!
Rzuć mord i ogień w to siedlisko sowy,
Roztrzaskaj mury, mnie przywieź ich głowy!
A kiedy mówił, to tak ogniem spłonął,
Jak gdyby wulkan w piersi swe pochłonął.

. . . . . .

Krwawo za góry chowało się słońce;
Patrzy się Basza, pędzą jacyś gońce...
»Ha! to zdobywcy zamku Budzanowa!«
Pobladł, na ustach zamarły mu słowa,
Przybyli stoją z smutnemi oczyma:
»Gdzie Aga?« Milczą, Agi śród nich niema.
»Gdzie Aga?« Aga był dzielny i młody.
»Mówcie!« Wystąpił janczar siwobrody,
Rzecze: »U chrześcian szalona odwaga!
Nasi pobici, w szturmie zginął Aga!«
Zachwiał się Basza... »Ałłahu! to srogo.
»Mów:«
»Baszo! ludzi straciliśmy mnogo,
»Słabe tam baszty, nieliczne oręże,
Ale wódz stanie za mury i męże!
Zwą go Łużeckim; to postać olbrzyma
A miecz jak gałąź w twardej dłoni trzyma!«
Porwał się Basza, zębami zazgrzyta...
»Łużecki!« krzyknął i za handżar chwyta.
Ja Pan, dziś moją cała Ukraina,
Zkąd że mi znowu staje ta gadzina?«...
»To inny, Baszo!« janczar mu odpowie,
»Tego zesłali śmierci aniołowie.«
I opowiadał; Basza zapieniony

Rwał brodę, oczy zwracał na wsze strony;
On już w tej chwili zapragnął ofiary,
Krwi pragnął, szukał powodu do kary;
Nie znalazł; w serce zapisał ją swoje;
Słucha a janczar opowiada boje.
Przy każdym zwrocie janczara powieści
Basza to brodę, to rękojeść pieści;
Każda krwi kropla, co Turcy przelali,
Zda się, że łono na wskróś mu przepali.
A gdy rzekł janczar, że miasto zgorzało,
Basza z radości krzyknął piersią całą...
. . . . . .
»Wyszliśmy z miasta, drzemy się na mury,
Jużeśmy drabin zarzucili sznury...
Aga szedł pierwszy, patrzym, oba wodze
Mieczami na się ugodzili srodze:
Śród wrzawy, strzałów, pośród kłębu dymów
Nam się wydało że to bój olbrzymów...
Padł Aga... leży krwią oblany w fosie!...
Przy gromie armat i przy trąb odgłosie
Wypadli z murów... Ałłah darz cię zdrowiem,
Baszo! co było dalej, już nie powiem!
Patrz! oto hufiec cały krwią zbroczony...
Błyskały szable, z wieżyc bito w dzwony;
Lecim, tu Sered i śmierć w bystrej wodzie!
Gród zdobyć trudno, tam czarci w tym grodzie!»

A Basza w kotły rozkazał uderzyć...
»Ha! oni, widzę, chcą się ze mną zmierzyć!

Nocne niebiosa łóna oczerwienia,
Nad Budzanowem krąży duch zniszczenia.
Tam ciemne lasy widać, a tam pole...
Tu dogorywa już miasto na dole.
Po nad płomienie i lecące zręby
Czarne się dymów przesuwały kłęby
Jak wojsko duchów; a ich ciemne twarze
W napół gasnącym kąpią się pożarze;
Wiatr zimny powiał, a wojsko front zmienia
I w płomień głodne obraca spojrzenia;
Skry się rzuciły w niebo jasnym słupem,
Dymy za niemi jak kruki za łupem.

Zamek na górze iskrzącej się w rosie
Stoi jak olbrzym na olbrzymim stosie:
Już pierścień murów w pół zwalony leży,
Co go opasał w krąg nakształt pancerzy.
Niby hełm świeci się blacha wieżycy,
A nad nią sztandar jak skrzydło przyłbicy.
Pierś wolna, stopą płomieni dosięga,

A w krąg Seredu migoce się wstęga,
Błyszczącej fali haftowana skazem,
Zamek i ognie opasała razem...
Na tle szafirów od wschodowej strony
Zwolna się księżyc podnosił czerwony.

Na gruzach murów, co przez pół opadły,
Stoi tłum ludzi od trwogi wybladły:
To patrzą w płomień od boleści niemi
I wzrok zakryją łzami gorącemi;
To się popatrzą z modlitwą w niebiosy
A łzy z ócz padną niby krople rosy...
Pożar ich mienie niszczy do ostatka:
Tam dom się zachwiał, tu upada chatka,
Z życiem do zamku uciekli mieszkańcy,
Dzisiaj żebracy — jutro może brańcy!...
Dwa szturmy przeszło po zamkowej górze...
Mur słaby, trzecią czy wytrzyma burzę?
Pomiędzy nimi pomieszane stoją
Drżące niewiasty i dziatwy płacz koją...
Tam błyszczą lonty oparte o spiże...
Matki pomyśleć nie śmią o jasyrze:
Uklękły, dzwonek wezwał je do Boga...
A po nad niemi skrzy się mleczna droga.

I ucichł dzwonek, ucichł jęk kobiécy,
Dziewczęta same zostały w kaplicy,

Tam pod ołtarzem uplatają w wianek
Nadbrzeżne lilje i z boru równianek.
A u ołtarza Przenajświętsza Panna,
Nad nią skrzy lampa jak zorza poranna,
Dwaj aniołowie trzymają zasłonę...
Przez okno widać niebo oświecone,
Dalej krzyż czarny oparty o zbroję,
A w kratach dzikie bluszcze i powoje.

I plotą wianek i nócą chórami:
— »Matko Przeczysta, zmiłuj się nad nami!«
Umilkły piękne, modlitwą natchnione,
Matkę zbawienia ubrały w koronę...
Potem aniołków i świętych i krzyże,
Bo straszne wieści krążą o jasyrze.
A dziś poganie tak straszno strzelali,
Krwi było tyle, miasto się tak pali,
Aż serce stygnie, oko w łzach się nurza;
Cyt! znów się modlą; w wianku woni róża.

A tam, gdzie jasno stos łuczywa płonie,
Usiadła szlachta, gwarzy o Koronie.
Co raz to nowe snują się powieści...
»Hej! a czy znacie z pod Gołębia wieści?«
Spytał ktoś z boku. »To rzecz wcale nowa!
Konfederacja stanęła gotowa!
No, niech-że teraz zamilkną magnaty,
Bo król jegomość w oręż dziś bogaty;

A sto tysięcy toć przecie nie mało...
I nam tam trzeba, byle ztąd ujść cało!
Ho! ho! ksiądz prymas mataczyny stroi...
Pod miecz z zdrajcami! niech się król uzbroi!...«
A ogień strzela, a łuczywo płonie,
A szlachta grozi, radzi o Koronie.

Obok rycerstwo w pancerzach i burkach
Gwarzy o hordzie, Kozaczyznie, Turkach;
Jeden się ozwał o jakiejś nowinie,
O jakimś mnichu, co był w Ukrainie...
Lecz wieściom mnicha ktoś z grona zaprzecza...
Ten liczy blizny, tamten szczerby miecza,
Gwaru i krzyku już w kole bez miary.
Wtem jakiś wojak Czarnieckiego stary
Rzecze: »To furda, nie przez taką biédę
Wodził nas Stefan; a przecięż zdrów idę,
Toż i ztąd Tomasz wywiedzie nas cało
Po karkach hordy,a da Bóg i z chwałą!«
Śmiech powstał huczny, towarzyskie grono
Poszło, gdzie szlachta radzi nad Koroną.

Zostali chłopki; posępne ich twarze
I jakiś smutek głęboki w ich gwarze...
Im przyjdzie jesień i nawalna zima,
A tu ni zboża ni obejścia niema,
Jeno gdzieś zgliszcze, gdzie składano kłosy,
I szumi smutno jawor ciemnowłosy.

A dziad pośrodku tej cichej gromadki
Rozgłasza straszne z Ukrainy gadki.
Słuchali smutni, łzy nikt nie uronił,
Tylko podumał i Bogu się skłonił.

Wtem drzwi kaplicy zwolna otworzono;
Z świątyni wyszło krasnych dziewic grono,
Na pół posępne, jak róże w pomroku,
Na pół z uśmiechem, z czystą łezką w oku,
Wbiegły w podwórze, spojrzały: tam pany,
Tutaj rycerstwo, a tu lud zebrany;
Minęły wszystkich, otoczyły dziada,
Proszą, niech śpiewa, lub niech bajkę gada.

Ucichła szlachta, ucichli rycerze,
Zrobili koło, a dziad lirę bierze.
I stroił długo, szukał słów w pamięci,
I patrzał w niebo, w oczach łza się kręci,
Rzekł: »Stańcie w koło, moje piękne panie,
Dziad wam zaśpiewa o Wychowskim Janie!«
I stał jak jawor pochylony laty,
W około niego dziewczęta jak kwiaty.

A dziad już zagrał i śpiewa żałośnie;
Że tam na stepie mogiła urośnie,
A w niej się skryje Ukraina cała,
Dawne jej szczęście i jej dawna chwała,

Bo już Wychowski orężem nie włada,
A w Ukrainie dzisiaj czarna zdrada...
Nócił i płakał, wszyscy go słuchali
I w zadumaniu do okoła stali.

A każdy swego coś nadybał w dumie...
Miłość i sławę, bój przy wichrów szumie,
I zapomniane już na stepach jazdy...
Dziad śpiewał... w górze przyświecały gwiazdy.

. . . . . .

A w starej baszcie gdzie pieśń nie zalata,
Błyszczy od światła ponura komnata;
Przy świetle lampy widać dwie postacie:
Jeden orężny, drugi w mnicha szacie.
Skład starej zbroi obudwóch rozdziela,
A na kominku żywo ogień strzela.
I ni tu widać jaki sprzęt bogaty:
Na szarej ścianie dwie ciemne makaty,
Kilka pancerzów, nad hełmem krzyż długi,
A pod nim kopje, miecze i kolczugi,
I herb i klęcznik nakryty rogożą
A łby niedźwiedzie nad drzwiami się srożą;
Gałązka brzozy zaglądała w okno,
Ubrana w srebrne księżycowe włókno.

Obok komina na gzemsie oparty
Czytał Gaudenty brewjarzowe karty;
A ten we zbroi, troskę miał na czole,
Siedział oparty przy dębowym stole,

Czasem westchnienie wymknie mu się z łona.
Czarny wąs, oko, czarna brew zmarszczona,
Szlachetne lico, wzrok do ziemi wbity;
Znać, smutek w sercu tem niepospolity;
Bo na Tomasza Łużeckiego zbroi
Nielada jaka boleść się ostoi.

I czegoż smutny? w ręku szablę dzierży;
Nią bronił zamku, Aga trupem leży...
I Seret wartko falami szermierzy.
Że mur zwalony? Tylu mężnych w zbroi
Silniejszym murem w obec wroga stoi.

Mnich z Ukrainy przyniósł srogie wieści;
Pan Tomasz myśli utopił w boleści,
A przy nim księgi, pergaminy szare,
To »*Silva rerum*« ojców dzieje stare.
Święte w rodzinie takie pamiętniki:
Tam zapisano sejmy i sejmiki,
Jak kto posłował, jak się w boju sprawił,
Co wnukom, a co Koronie zostawił.
Gdzie ojciec przestał, syn prowadził dalej,
A twarde słowa kładła dłoń ze stali.

Powstał pan Tomasz, przystąpił do mnicha,
Co po litanji szeptał »*ave*« z cicha:

»To jakoż, ojcze! mówisz: pierzchnął z bitwy?
»Umykaj!« wołał śród mszy i modlitwy?!
Nie, dobry ojcze! nie zwij tego szałem;
Bojaźń go niosła przed Turków nawałem.
Wszak tylko cudem wasz ołtarz ocalał,
Inaczej kozak byłby świętość skalał!
O! czemuż w drodze karku gdzie nie skręcił!
Czemu nie zginął, gdy tylu poświęcił!
Mnichu! w tej księdze nie nazwę go bratem
Za nasze imię skalane przed światem.
Patrz, moich ojców świetny poczet cały,
To sami dzielni, sami męże chwały...
On tu nie będzie mieć swego ołtarza!...«
A mnich, czytając modlitwę z brewjarza,
Rzecze: »Pan temu dawa wielkie miano,
Kto w Nim jest cały i wieczór i rano,
By między ludem jak anioł widomy
Do chat i świątyń nie dopuszczał gromy...
Biada mu, biada, gdy się zlęknie w bitwie!«
Umilkł, i ducha utopił w modlitwie.

»Biada!« zawołał Tomasz rozżalony,
»Lepiej w tatarskie dostać mu się szpony,
Lepiej mu jęczeć w pragnieniu i głodzie,
Ganki zamiatać baszom w Carogrodzie,
Niż uciec z boju; grzechu odpuść, Panie.
Tyś mi się z serca wydarł, kasztelanie!«
Umilkł, a czoło wyniosłe i harde
Zmarszczyła boleść, na ustach miał wzgardę!

I oniemiała rycerska świetlica,
W pół oświetlona promieniem księżyca,
Co w koło tarczy tworzył aureolę...
Lampa gorzała na dębowym stole,
Przez okno patrząc gałązka, brzeziny
Znaczyła cieniem boleści godziny.

»Gdyby był zginął pod czerni żelazem,
Spałby na stepie z hetmanami razem,
I w pokolenia szedł by odgłos wieczny:
Kopcem od wroga poległ tu waleczny!...
Z tej księgi, mnichu, takich ci wyliczę...
Ojcze! ja śmierci nikomu nie życzę;
Są chwile, że nas tako Bóg postawi,
Że lub zwyciężą, albo zginą prawi.
Oh! on już świętym u mnie byłby ninie,
Bo to świętością szło w naszej rodzinie!
A dzisiaj, ojce, syn wasz tem się wsławił,
Że tylu dzielnych Koronie pozbawił,
Ziemię i sławę pozostawił dziczy
I umknął z boju, a na sejmach krzyczy,
I swojem »*veto!*« w radach przypomina,
Że jego gniazdem szlachecka rodzina.

A mnich odpowie: »Mamona i blaski
Z rąk mu wydarły owoc bożej łaski...«
I czytał dalej... »czuwajcie, bo zdrada!...«
Tomasz przy stole zadumany siada

Wziął pamiętniki, o dłoń oparł głowę...
»Ojcze! posłuchaj tej księgi osnowę:
To krótkie dzieje są naszej rodziny...«

. . . . . .

»»Miecze po ojcach dziedziczyły syny!««
»Godło nad tekstem mój rodzic położył...«
»»Bóg na wojaczkę plemię nasze stworzył!««
»Niebo marsowa oświecała gwiazda,
Kiedy ptak pierwszy leciał z tego gniazda.
To też nikt z naszych, wierny znakom nieba,
Lekką się służbą nie dorobił chleba.
Ani nam znane są królewskie dwory,
Ni pokojowców ponęty i spory,
Ni zwady panow wzbudzone przez pychę.
Dziatwę poddasze okrywało ciche,
Matki nam w słodycz kołysały dusze,
Ojce pierś kuli w pancerz na katusze;
A kiedy młodzian dorastał już konia,
To brał go ojciec na rycerskie błonia;
Tam w obec wroga i wojennej wrzawy
Uczył kraj kochać, dobijać się sławy,
Uczył...«

»O mnichu! kiedy on tam stanie,
Jakież od ojców weźmie powitanie?
Jak ich powita?...«

A mnich mu odpowie:
»Kroku ich strzegli pańscy aniołowie;
Żelaźni w cnotach, wiarą równi skale,
Kochali ziemię, teraz w bożej chwale...«

Pochylił głowę i szepta pacierze.
»Panie, świeć duszom!...«
Tomasz księgę bierze,
Czyta... »Ród sięga jeszcze w czasy Piasta;
Już za Łokietka walczył protoplasta...«
»Patrz, co tu lauru! co skroń — to wieńczona!
Co wielkich śmierci! patrzaj, jakie łona!
Jakie tam życie gorzało olbrzymie!...
Oto w tej księdze tylko martwe imię,
A każda karta, błyskająca sławą,
Pisana miecza rękojeścią krwawą:
Ile słów! tyle ran rodzina liczy!«

. . . . . .

»»Na polach Warny, od orężów dziczy
Poległ pan Janusz ze sześciu synami,
Król ginął... bronić chcieli go piersiami...««

A mnich odpowie: »i pamięć ich złota:
Oto wnuk złożył na Wawelu wota...
Siedm serc pękło od pocisku wroga,
A siedem błyszczy ofiarą dla Boga«.
I znów się modli.
Tomasz czytał dalej;
Co raz to żywiej lico mu się pali,
Błyskają oczy, jak gdyby witały
Te widma uczuć, potęgi i chwały:
»Pójdź, ojcze, w poprzek, wzdłuż po Ukrainie,
Zapytaj starych o naszej rodzinie:
Mieliśmy ufność, tam nas wielce czcili;

Patrz! on to wszystko zniszczył w jednej chwili!
Przepomniał, że tam u Dniepru wybrzeży
Spoczywa dzielny nasz pradziad, pan Jerzy.
Mnichu! to istny był piorun bojowy!...
Mój dziad miecznika skreślił temi słowy«:
»»Zna go Ruś, Litwa i Dniepr i Limany,
Znają go basze, znają atamany;
Krymskiego hana w Oczakowie spalił
I tysiąc jeńców z jasyru ocalił.
W domu ostatniej doczekał się pory;
A Polsce wtedy panował Batory...««
Umilkł, już inne roztacza obrazy,
Tu inna mowa, ognistsze wyrazy,
Sam je tu kreślił; zwrócił jedną kartę;
Mnich patrzył oknem na niebo otwarte,
Zawoła: »Panie! czas leci tak skoro!...
Wszak to dziad waści zginął pod Cecerą —
Znałem go...«

Tomasz obudzony słowem,
Zda się, opłonął nagle życiem nowem,
Rzecze: »patrz, zbroja mojego rodzica!
W tym hełmie cudne były jego lica!...
Nie wiem, czy znałeś? wyniosłą miał postać,
Wzniesioną ręką mógł powały dostać.
Pełen powagi, włosy już miał siwe,
Pogodnej myśli, oczy jasne, żywe,
A serca dziwnym napawał urokiem;
Wysokie czoło, dwie blizny nad okiem
Ze szwedzkich bojów, i do dziś w pamięci,

Jak mię zostawił dzieckiem, tak się święci:
Nieraz nas obu brał on na kolana,
To mnie popieścił, to znów kasztelana,
Potem tę księgę wziął i opowiadał,
Jak z antenatów który szablą władał.
Gdzie błysła gwiazda naszego powstania,
Mnie na tej księdze nauczył czytania;
Potem odpasał szablę, dał się bawić
I napominał, aby nią się wsławić.
Oh! a oczyma zdał się błogosławić.
Myślę, że kochał zarówno nas obu,
Bo o różnicy nie wspomniał do grobu.
Ja byłem dzikszy, Karol roztrzepany,
Lecz pomnę, ojciec gdy stał zadumany,
Gdy na mnie spojrzał; mnichu, drżałem cały!
Tak do mnie oczy jego przemawiały
Niby rozkazem, niby prośbą duszy.
O! tej pamięci w sercu nic nie zgłuszy.
Karol na lice marsa mu nasuwał.
Ha! może ojciec tę klęskę przeczuwał!
Idąc na wojnę, mnie dał pamiętniki,
Karol był starszy, ja młody i dziki.
Mnichu! ja siebie wywyższać nie myślę,
Z pamięci dziecka tobie obraz kreślę,
Tego nikt nawet nie postrzegał w domu,
Nie wspominałem ja o tem nikomu,
Ni matce, bratu, ani drogiej żonie,
Za której duszę w piątki lampa płonie.
Z księciem Jeremim byli sobie druhy:
Bóg zaprzyjaźnił pałające duchy,

Co sobie wzajem przysiągł umysł młody,
Chował mój ojciec i dla wojewody
A wojewoda dla mego rodzica;
Obom już dzisiaj w niebie Bóg przyświéca.

Kiedy Chmielnicki powstał w Ukrainie,
Zerwał się ojciec, pomnę, jakby ninie
Przywdział zbroicę, my na boku stali,
Karol się bawił, my z matką płakali.
Żegnał nas ojciec, trąbiono na dworze,
Pleban w kaplicy msze odprawiał boże,
Przed bramą hufiec szykował się zbrojny...
Ileż to nieszczęść poszło od tej wojny?!
Można ją było zakończyć inaczéj,
Cóż kiedy wszystko nasza duma spaczy...
Pamiętam wszystko, nieraz o tem marzę:
Matka podała ojcu relikwiarze;
Żegnał nas ojciec, ale bardzo smutny,
W boju mu życie wydarł strzał okrutny,
Zginął pod Zwiahlem, broniąc przyjaciela.

»Byliśmy sami, a za dni niewiela
Powrócił do nas orszak pogrzebowy
I list od księcia do sierot i wdowy.
Tu patrz, w tej księdze wszystko zapisano.
Ciało w kaplicy z paradą chowano;
Ileż łez, mnichu, płynęło w tej dobie?!
Ja chciałem umrzeć na ojcowskim grobie,

Tak duszę dziecka owładnęła żałość.
Pomnę, jak karcił celebrant mą śmiałość!
Nazajutrz matka zapłakana obu
Do ojcowskiego powiodła nas grobu;
Co czułem wtedy, już ci nie opiszę.
Lecz kiedy marzę, do dziś jeszcze słyszę,
Jak: już go nie ma! ozwały się mury
A ja sierota klęczałem ponury.

Na trumnie ojca my jej przysięgali,
Że tak jak ojciec będziem kraj kochali,
Że będziem tacy waleczni i śmiali!
Matka nas w czarne przepasała wstęgi...
Patrz! jak on dzisiaj dochował przysięgi!«

Pan Tomasz umilkł, myślom zwiesił głowę,
Piersi mu dreszcze przebiegły grobowe;
I zdało mu się, że chrzęści komnata,
Że idą zbrojni gdzieś z tamtego świata,
Że świecą pióra, migocą puklerze...

W komnacie cisza, mnich szepta pacierze,
Hasło na murach zamieniały czaty,
Promień księżyca zagląda przez kraty,
W dali gdzieś jęczy słowik wśród krzewiny,
I zaszemrała gałązka brzeziny
Migocącemi listeczkami w złocie...

Może ją duchy potrąciły w locie?
Tomasz się zatrząsł, za piersi się ima,
Na mnicha patrzy strasznemi oczyma.
»Mnichu! czy wiesz ty, co grozi tej ziemi?
Spojrzyj, gad stronnictw bezecnie się plemi,
Rozcina żądłem najświętsze łańcuchy,
Dumą i złością oczarował duchy.
Patrz, nam nie trzeba dzisiaj nic prócz zgody,
A z całym światem pójdziemy w zawody.
Idź, spojrzyj w serca: od końca do końca
Z pozoru myśleć będziesz, że to słońca...
O! one świecą, ale tylko sobie,
Na klęskę ziemi jak głazy na grobie!
Pod piedestałem niech próchnieje wnętrze,
Byle ich grzały promienie gorętsze,
Byle się każdy ozłocił w tem słońcu...
Mnichu! z tą czernią co się stanie w końcu?
Pojmujesz, milczysz?...«

»Ciężko grzeszym, Panie!
Stańmy się lepsi, Bóg zdejmie karanie«.
Mnich jęknął głucho; »Litość jego wielka«.

»Gdybyż pociechy choć jedna kropelka,
Gdyby nas niebo wyrwało z tej toni,
Gdyby tych pianych zbudził grzmot: »do broni!«
Mnichu! zwiastunie najsroższej boleści,
O! gdyby kłamstwem były twoje wieści,
Gdyby te członki w boży strój oblekła

Na ułudzenie czarna furja piekła,
I miast świętości coć w oczach się żarzy,
Tlał wyraz podłej złości i potwarzy,
Stokrotne życie poświęciłbym za to!
Jam nie Leonid ani rzymski Kato,
Wiem, że Budzanów nie są Termopile,
Lecz ja im, mnichu, nie ustąpię w sile.
Znasz moją duszę, znasz serce gorące:
Daj ludzi, mnichu, a zwalczym tysiące.
Ja jeszczem młody, bez sławy, bez miana,
Nikt nie uwierzy mi dla kasztelana,
Czczy pozór tylko panuje nad gminem.
Gdybym mu błysnął w oczy jakim czynem,
Chwycił za serca, powiódł i ocalił,
To potem mniejsza, czy by mię pochwalił,
Czy by mię przeklął, ja byłbym spokojny
Jak ów bohater wracający z wojny.
Dziś, ja przeklinam: bracie! klątwa tobie!
Gniewne pradziady spać nie mogą w grobie.
O pomstę woła groźna ojca ręka,
Niebo nas gnębi; o! tu serce pęka!«
A mnich odwrócił oczy od brewjarzy:
»Także to nędzny proch Bogu się skarży?
Serce swe pychą napełnił szatańską
I wywoływać śmie prawicę pańską?
Do ziemi czołem! skryte sądy boże:
Co dziś odebrał, to jutro dać może!«

Pan Tomasz chwycił puhar kryształowy,
Na którym jaśniał w złocie herb rodowy,

Śród armatury, chorągwi i kwiatów,
A w tej rodzinie już od antenatów;
Cisnął o głazy, że skry i czerepy
Aż o powały odbiły się sklepy,
I tam się w drzazgi rozpryskując mnogie,
Iskrzącym deszczem spadły na podłogę.

»Zbierz te czerepy, ty przemądra głowo,
Rzuć w ogień, w ogniu ulej czarę nową.
Z najsroższych ogni nie wyjdzie ta sama;

Rozbitej cześci zamknięta już brama!«
»Lecz nie czerepem jest żywot człowieka!«
Mnich rzecze: »wielką jest boża opieka!
Weź księgi Joba!«

»Dobra, starcze, rada!
Ale za późna; dziś to nic nie nada.
Dzisiaj już ludy inaczej Bóg trzyma;
Nas Polska rodzi, nie Jerozolima!«

Mnich pełen zgrozy ku niebu wzniósł oczy:
»Panie! Twa łaska niech się ku nam stoczy!
Przebacz! on w szale...«

»Nie! jam nie szalony!
Patrz! ja pamiętam, że mój brat zhańbiony,

I dzisiaj widzę, co było przed laty,
Czuję, jak palą poniesione straty,
Jam nie szalony!«

»Czuję boleść twoją:
Panie Tomaszu, Bóg wszemu ostoją,
Módlmy się, bo czart sidła na nas wkłada!«

Wtem do komnaty straż basztowa wpada,
Przynosi wieści, że od wschodniej strony,
Od boru słychać jakiś gwar stłumiony:
»Ludzi nie widać, czasem szczęk doleci,
Lub nocny ogień cały bór oświeci,
A polem tłumy przeciągają w cieniu«.
Mnich skinął, a straż odeszła w milczeniu.

Gdy byli sami, mnich się doń przybliża.
»Oto cię, synu, wzywam w imię krzyża,
Zapomnij wszystko, choć jaki ból srogi;
Cios nowy grozi, zbliżają się wrogi,
Czyń! być na bożym sądzie nie pytano,
Gdzieżeś tych podział, co ci w ręce dano?«

Tomasz stał, nagle na kolana pada
I ogniem twarz mu opłonęła blada;
W ponurym wzroku jasny płomień błyska,
Krzyż chwycił, do ust, do piersi przyciska,
Woła na mnicha:

»Ojcze, przebacz winę!
Zachowaj księgę, jeżeli ja zginę...
Błogosław, ojcze, bo nam czas na bitwę!
Gdzie straż? niech w zamku otrąbią modlitwę!«

Zagrzmiały trąby; Tomasz skroń ukorzył,
Mnich mu na czole znamię krzyża złożył;
»Powstań!« Wstał Tomasz, wziął miecz i przyłbicę.
Poszli.

Już cisza zaległa świetlicę,
Tylko jęk głuchy odbił się o zbroję,
Gdy zapadały okute podwoje,
Brzęknęły tarcze, włócznie i puklerze,
Hełmowe kity szemrały pacierze,
Lampa zagasła, przez okno się toczy
Blask po gałązce księżyca uroczy.
I cicho; już nic nie przerywa ciszę,
Tylko się jeszcze gałązka kołysze,
Zaglądnie w kratę, i cień jej urośnie;
Cofa się, znika i szemrze żałośnie.

Poranna zorza rzuciła brzask szary
Po nad dalekie podolskie obszary,
Cisza w powietrzu, tylko ze zgliszcz miasta
Z trzaskiem czasami czarny kłąb wyrasta,
I księżyc pobladł na ciemnym szafirze,
Na gruzach wału błyszczą armat spiże.

W zamku szmer słychać, coraz więcej gwarno,
Ze wszech stron ludzie do baszty się garną,
Pytają straży, gdzie wroga widziała?
Ci front szykują, ci skręcają działa,
Biegną kobiety, tulą dzieci drżące,
I znowu stają i patrzą milczące;
Na wschodzie mała rumieni się chmurka;
Wtem zajęczała w wieży sygnaturka.

I wszystko pędem do kaplicy bieży,
Gdzie Bogu kornym pokłonem uderzy,
Serca orzeźwi czystą wonią wiary,
Pobiegli wszyscy; został lirnik stary.

On patrzył długo na bój i na zorze
I myślał w duszy... »Pokarałeś, Boże!...
»Tam w lesie cała armja Nurydana
»Czeka na słońce — przemoc u pogana!
»Ptak, co przeleci po tym nieba sklepie,
»Wieczór już skrzydła na gruzach otrzepie«.
Dumał i oczy odwrócił od wału,
I do kaplicy zbliżał się pomału.

Błysnęły światła z podwojów kaplicy,
Zagrzmiały trąby...

»Hej! Boga Rodzicy
Spiewajmy hejnał przy wstającej zorzy!
Niech żadna dusza śmiercią się nie trwoży,
Bo odkupieni my od wiecznej śmierci,
A mocy piekła rozdarte na ćwierci!«

Nucąc z kaplicy szła zamku załoga
Modlić się w obec pogana i wroga.
Skrawe pochodnie poprzedzały chóry;
Mnich kroczył z krzyżem wzniesionym do góry,
Pokój wybranych jaśniał mu na czole,
Włos biały w świetle lśnił jak aureole;
Przy nim Łużecki idzie pewnym krokiem
Z pogodną twarzą, rozjaśnionem okiem,
Modli się Bogu, ciemny brzask przenika,
Ognistym wzrokiem szuka przeciwnika.

A za nim zbrojni, chór szlachty i kmieci,
Matkom się z ramion uśmiechają dzieci;
Dalej dziewczęta z juczkami podróży,
Stary im lirnik jakąś drogę wróży.
Pośrodku biała chorągiew powiewa,
A wszystko Bogu modli się i śpiewa:

»Odkupiciela powiła nam Panna.
Ziemio, hosanna! niebiosa, hosanna!
W proch się chylajcie, gwiazdy i księżyce,
Gdy Dawidową chwalimy Dziewicę.

»Pan swego ludu sam nawiedził ściany,
Miło mu gościć pomiędzy ziemiany;
Stał się nam zbroją, stał się tarczą złotą,
Słodką nadzieją i boju ochotą.

»A w przedniej straży są anieli możni,
Więc uciekajcie, poganie bezbożni!
Bóg idzie z ludem a lud idzie z Bogiem;
Tam czarne niebo i piorun nad wrogiem«.

A gdy ostatni wzleciał odgłos chóru,
Do zwalonego zbliżyli się muru,
Stoją i patrzą: przez las się przeciska
Gdzieniegdzie płomyk nocnego ogniska,

I szumi Seret i pomyka dalej;
Znów chór podnieśli, głos płynie po fali.

Pod lasem błysło, ogień drugi, trzeci,
Strzeli w łuczywach i Seret oświeci.
Wnet jakby las się gromami nasrożył,
Lub w około zamku wulkan się otworzył,
Żar tysiącznemi płomieniami strzela,
Jak łańcuch smolnic do uczt lub wesela.
Oświecił Seret i zamek i bory,
A w ogniu Turcy stoją jak upiory,
Broń jasna szkli się od ogni czerwona,
Wieją buńczuki śród zbrojnego grona.
Zwrócili działa, stanęli w szeregi,
Biada zamkowi, gdy zdobędą brzegi.

Nurydan-Basza podszedł nocnym chłodem:
Przy dniu działami rozmówi się z grodem.
Śmierć Murzy, Agi przysiągł pomścić święcie,
A Nurydana straszne przedsięwzięcie.
Patrzają z zamku, straszą się obozem,
Niewiastom serca ścięła trwoga mrozem,
Piękne ich lica okryły się śniegiem,
I stoją białe jak lilja nad brzegiem;
Łzawemi oczy patrzą w szare nieba,
Jęk rozdarł piersi: »tu nam umrzeć trzeba!«
Zbledli i męże, widząc liczbę wroga,
A głos muezina woła imię Boga:

*

»Ałła-il-Ałła!« Lecz nieustraszenie
Mnich i wódz patrzą w wroga i w płomienie.

Upadli na twarz w przestrachu i skrusze,
Upadli wszyscy, lecz nie wszystkie dusze!
W niebiosa kapłan poglądał natchniony,
Nad skruszonymi trzyma krzyż wzniesiony:
»Wołamy z głębin, bądź nam pochwalony!«
Pan Tomasz utkwił groźny wzrok w ogniska,
Pała mu lico, oko żywo błyska:
»Zwycięzca brata, w duszy myślał sobie,
Zatknie buńczuki chyba na mym grobie!«
»Powstańcie, trwożni! Gaudenty zawoła,
Podnieście z prochu wasze blade czoła!«
Wstali i jękli do głębi skruszeni:
»Prośmy o łaskę, albośmy zgubieni:
Zwalone mury, tu ratunku nie ma!
Któż napad tylu tysięcy wytrzyma?!
Tomaszu! ratuj poddaniem załogę;
Już tylko łaska otworzy nam drogę!«

A Tomasz milczy; jego silnej duszy
Ni głos rozpaczy, ni liczba przygłuszy,
Męztwo daremne! on pojął do razu:
Może załoga nie przyjmie rozkazu?
Dumał, spojrzawszy na wybladłe mary;
»Może mię wyda?...« On pragnął ofiary!
Serce miłością i wiarą ogrzane

Czuło głęboko swojej ziemi ranę,
Może w tej chwili iskrami z płomienia
Pisało sobie wyrok poświęcenia.
Toż na niewczesne przelęknionych mowy
Milczał upornie i wzrok miał surowy.
Umilkli; groźny wódz zaklął ich w ciszę,
Tylko się sztandar z wiatrami kołysze
I cichym szmerem owiewając czoła,
Zda się być skrzydłem białego anioła,
Co się unosi nad męże i woje,
Gdy wszyscy milczą, sam wzywa na boje.

»Komuż to w łasce ocalenia droga?
Krzyknął Łużecki, a gdzie wiara w Boga!
»Przed tym się chrześcian trwożna skroń uniża,
Który zapragnął poniżenia krzyża?!
Łakniecie życia, to ja was ocalę,
Lecz nie poddaniem, z hańbą i w niechwale.
Myślę, że cześci w was tyle zostało,
Że podołacie jeszcze umrzeć z chwałą;
Bezżenna młodzi, wy, bracia pancerni,
Ty, ojcze! wodza nie rzucicie wierni?!

Wnet towarzystwo i młodzież wesoło
Pana Tomasza obstąpili w koło...

»Panowie szlachta, i chłopków gromada,
Ozwie się Tomasz, dla was taka rada:

»Niewiasty waszej poruczam opiece,
Oto las blisko i przesmyk na rzece,
Na hufiec baszy z tą garstką się rzucę,
Na siebie baczność bisurmana zwrócę.
Was niech Bóg wiedzie! korzystajcie z czasu,
Wolnym przesmykiem pierzchajcie do lasu«.

Mnich sztandar chwycił, zagrały armaty,
W szeregach Turków syknęły granaty,
Grzmi »hurra!« biją raz, drugi i trzeci;
»Cześć Bogu!« Tomasz z mieczem naprzód leci,
Mnich ze sztandarem i garstka wybrana
Wpada jak piorun na szyk Nurydana.
Dzielnem natarciem pohaniec się mięsza;
Tam rzekę przeszła ocalona rzesza...
Chwila — już w lesie.

Nad Seretu brzegiem
Walczy rycerstwo ściśniętym szeregiem.
Co raz to widniej; miasto bladej zorzy
Pada świt ranny, kędy bój się sroży;
Coraz to widniej; złocąc las i góry,
Wybłysło słońce jak ptak złotopióry:
A powitały go boju okrzyki
I krwią zbryzgane wojowników szyki,
Kobierce trawy uperlone w rosę,
Zielona łąka, łany złotokłose.
Wzgardzili śmiercią polscy wojownicy;
Mnich grzmiącą śpiewa pieśń Bogarodzicy;

Łużecki, krwawym zwijając brzeszczotem,
Turków i hordy ogrodził się płotem.
Pękają szable, misiurki, puklerze,
Krew barwi brzegi, Turczyn górę bierze.
Ci poprzysięgli niebiosom i chwale,
Wiedzą, że zginą, ale walczą śmiale,
I już poganów trzykroć więcej leży,
Niż było w zamku starców i młodzieży.

Sztandar śród boju z wiatrami furkoce,
Na nim się orzeł i Marja migoce
W promieniach słońca, co zda się weselić,
I z walecznymi chce sławę podzielić;
A na poległych z poza chmury złotej
Rzuca ostatnie spojrzenie tęsknoty.
Próżno wziąć chciano sztandar śród przechwałek,
Z Tomasza ręki trupem padał śmiałek.
Jakby rycerskiej opatrzności oko
Mnich go nad nimi podnosi wysoko.
Toż pokąd jeszcze sztandar im powiewa,
Nie słabnie serce, ręka nie omdlewa,
Giną rycerze; ale nim kto padnie,
Stosem się trupów do koła okładnie.

Już tylko kilku; i ci padli razem
Z skrwawioną piersią i z krwawem żelazem.
Jeszcze mnich stoi z wzniesionym sztandarem,
Walczy Łużecki, owian męztwa żarem,

A wicher szumi, pieśń niesforną śpiewa,
Że jakby kłosy kłaniają się drzewa.
Zachwiał się sztandar, zachwiał się Gaudenty;
Nawałą Turków na brzegi ciśnięty,
Chwytają drzewiec, ale Tomasz razem
Sztandar od drzewca odcina żelazem.
Odskoczył Turek, krew trysła na zbroję,
U stóp Tomasza rąk leżało dwoje.
Zawyła horda; dziki śmiech Tomasza
Dziwi zaciekłych, lękliwych przestrasza;
Spojrzeli w górę, a tam coraz wyżej
Odcięty sztandar wiatr unosi chyży,
To go sfałduje, to w górze roztoczy,
I barw tysiącem zamigoce w oczy
Od krasnych wstążek, co w obojà stronę
Wieją jak skrzydła ptaka rozpuszczone,
A potem leci jak postać anioła
Z złotą przepaską u jasnego czoła,
Zwinął się w chmurkę, faluje i gnie się,
A wiatr go dalej, coraz wyżej niesie;
Znowu rozwinął, a w słońcu jaśniały
To Święta Panna, to znów orzeł biały,
Potem go skręcił i nad bojowisko,
Uniósł na skałę, na orłów siedlisko,
Pomiędzy zioła i wonne biesiory,
A zaszumiały powitaniem bory.

Patrzają Turcy, stają jak zaklęci,
Trwogą i zgrozą do głębi przejęci,

Tyle już w życiu swojem krwi przeleli,
Jeszcze takiego cudu nie widzieli.
Gdzie bój wrzał, cisza nastała głęboka.
Nikt od sztandaru nie śmiał zwrócić oka;
Krótką modlitwę odmówili w skrusze,
I polecili Bogu grzeszne dusze.
Gdzie mnich? nie leży między poległymi.
Przed chwilą drzewiec podniósł, patrzył z nimi,
Krzyż zrobił święty; wszyscy go widzieli,
Mnich zniknął.... Seret srebrna piana bieli...
Tomasz oparty o głowicę miecza
Patrzył, jak sztandar wicher ubezpiecza.

Stał dumny basza na pagórku gniewny,
Patrzył na zamek, zwycięztwa już pewny,
Potem spoglądał, kędy bój się toczy,
I jakiż widok razi jego oczy?

Brew zmarszczył, ubodł rumaka ostrogą,
Na bojowisko wprost pośpieszył drogą,
Lejc puścił, krzywą szablę wzniósł do góry,
A leciał straszny w kształt gradowej chmury.
Wpadł między tłumy: »Hej cóż to! zawoła,
Mąż jeden tylu orężnym podoła?
Czegoż patrzycie, wszak to nie czarownik;
Żywcem go weźcie! to prosty wojownik!
Ocknął się Tomasz, mieczem w koło błysnął,
Godzi na baszę, przez tłum się przecisnął,

Przerąbał drogę, wtem janczarów siła
Miecz mu złamała i o ziem zwaliła.
Okrzyk radości przeleciał przez tłumy,
A basza na to patrzył pełen dumy;
Sprawił poganów oddział za oddziałem,
»Na zamek!« krzyknął i pogonił czwałem.

Na starym zamku dzikie bisurmany
Szukają skarbów, rozwalają ściany,
A skarbów nie ma: sygnaturka mała,
Padając z wieży, smutnie zajęczała;
Horda mur wali, drzwi łamie i krzyczy:
»Hej, branki piękne, łupu, hej, zdobyczy!«
A zamek pusty, tylko nagie mury
I nad zwaliskiem ciemne dymu chmury.
W zamkowym dworcu śród jańczarów koła
Stał dumny basza i gniew miał u czoła.
Przed nim stał Tomasz skrępowany sznurem,
Patrzył na baszę wejrzeniem ponurem,
Patrzył spokojny; on wie, co go czeka:
Kat topor trzyma, droga niedaleka.
Zanadto hardy o życie nie prosi,
Czeka, aż basza wyrok mu wygłosi;
I milczą oba, oczyma się mierzą
Jak dwa lwy puszczy, nim na się uderzą.

»Nędzny ty prochu! krzyknął stary basza,
Aż tu cię zemsta doścignęła nasza.

Wyznaj, gdzie skarby, gdzie brańce i łupy?«
Tomasz odpowie: »Idź, policz twe trupy,
Na bojowisku leży ich nie mało;
I to Bóg zniszczy, coć jeszcze zostało.
Z zamku masz gruzy, miasto Tatar spalił,
Dziewice, matki, starce jam ocalił.«
Umilkł, a basza drżał od złości cały;
W oczy mu hardo patrzył Tomasz śmiały.
»Czy ty wiesz, giaurze, żeś obraził Boga
I padyszacha; kara twoja sroga!
Klęknij przedemną! karę ci przebaczę.
Klęknij! do stóp mych skłoń czoło żebracze;
Proś mię o życie...«

»Nie klęknę przed wrogiem!
Jam tylko klęczał przed Marją i Bogiem«.

»Giaurze! ty zemsty mojej jesteś łupem.
Padnij! przebaczę, słyszysz!?«

»Tylko trupem!«

»Precz z moich oczu! precz, weźcie tę żmiję!
Gdzie kat?! niech utnie niewiernemu szyję!«

Tomasz oblicze ku niebu obrócił:
Niebiosa czyste; wyrok go nie smucił,
Myśl mu pogodna zwierciedli się w oku —
Tam występuje słońce z za obłoku,

Tu szumi Seret; on klęka na ziemi,
Patrzy po wrogach oczyma jasnemi.
Całuje ziemię... »ziemio ma, żyj w chwale!«
A gdy się podniósł, spojrzał: tam na skale
Stał mnich i trzymał sztandar podniesiony.
Pod jego stopy słał się bór zielony,
Słońce nad głową błyskało wspaniale,
Mnich zdał się błyszczeć cały w bożej chwale.
Znów patrzą wszyscy, stoją jak zaklęci,
Trwogą i zgrozą do głębi przejęci;
Mnich zniknął, sztandar uniósł w ciemne lasy
Na przyszłe boje i na przyszłe czasy.
Tomasz uklęka, kończy psalmów słowa,
Zabłysnął topór, w proch upadła głowa.

Stał zadumany długo basza stary,
Potem się ukrył w namiotu kotary.

Zbiegły jak woda lata za latami:
Zielona trawa wzrosła nad gruzami,
Sciemniały lasy, Seret wartko płynie,
Szmerem o bojach wspomina ruinie.
A kędy stała basztowa komnata,
Na mur się wspięła brzoza rosochata,
Patrzy do zamku i szemrze żałośnie,
W sen dawnym latom, jak po zbiegłej wiośnie.

Krwią zakipiały Chocima równiny,
Hetman Sobieski ubrał się w wawrzyny,
Na polach boju pozostały sępy;
On do dom powiódł waleczne zastępy,
A Polska królem okrzyknęła Jana,
By gromił Turka, by niszczył pogana.

Słońce na zachód zatoczyło głowę,
Poza węzgłowie — chmury koralowe;
A zawędrował wieczorem w te strony
Jakiś dziad z lirą, wiekiem pochylony;
Patrzył na zamek, spłonęło mu lico,
Oczy mu błysły wspomnień błyskawicą,

I krętą ścieżką, co dziś bokiem skały
Wieśniacze trzody skacząc wydeptały;
Aż na wał zamku, na zwalone mury
Pośpieszał z lirą ów starzec ponury.
A stopy jego szczyt nie trwoży stromy;
Tam go powitał kamień jak znajomy,
Odłam pałasza zardzewiały w trawie
I zagaszony granat na murawie;
Starzec na wszystko poglądał ciekawie,
A w każdym końcu i przy każdym kroku
Łzy jak brylanty świeciły mu w oku.
To witał smętnie, to powitał mile,
Znać on tu przeżył wielką życia chwilę!

. . . . . .

A potem ukląkł w zwalonej kaplicy
I zmówił pacierz do Bogarodzicy.
Nie ruszył liry, ale poszedł dalej
Krętą drożyną, wzdłuż Seretu fali.

Na wieczornicę pośpieszył do sioła
A tam go dziatwa obstąpi do koła;
On weźmie lirę, po strunach uderzy,
Wyśpiewa dzieje, a dziatwa uwierzy.
Na niebie pierwsze wybłysnęły zorze,
Zmierzch padł na bory, Seret brzegi porze,
I nuci słowik w krzewinie urwiska,
A gwiazd na niebie co raz więcej błyska.

1856.

Stara bajka.

»Es ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie ewig neu,
Und wenn sie just passiert,
Dem bricht das Herz entzwei«.
H. Heine.

Raz gdzieś nad Wisłą zamek stał,
A pan w nim możny zamek miał.
Wieżyce zamku w niebo sięgały,
U stóp mu fale spienione grały.
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . »Ej! wojewodo!
Piękną jak anioł masz córę młodą,
I pełen zamek wesołych gości,
W krąg żyzne pola i setne włości;
Złotem, to cały zasiałbyś łan —
Tyś z panów pan!«

A drugi panu kolana ściska...
»Z twojego muru sto dział wybłyska,

Czy uczta, pogrzeb, czy krwawy bój,
Setnym wystrzałem grzmi rozkaz twój,
A sztandar domu z herbem wyszytym
Sprasza ci wiernych, grozi pobitym«.

Trzeci się skłonił, rzecze z pokorą:
»Hej! tu i chleba i łaski sporo:
Kto wspierał hojniej? kto z przyjacioły
Rad gościnniejsze zasiadał stoły?
Gdzie zawodzono weselej tan?!
Tyś z panów pan«.

Mądrością czwarty lica nastroi:...
»W kraju — kto wyżej od ciebie stoi?
Obywatelskich kto więcej cnót
Wywiódł szczęśliwie z rodzinnych wrót?
A jeśli mądrość wspomnieć się godzi,
Wieluż się tobie równych nachodzi?
Toż pomne cnót twych i twoich słów,
Kłania się tobie tysiące głów.
Tysiące zwraca ciekawy wzrok,
Kędy twój możny skierujesz krok:
Ty skiń, a my ci bratniemi siły
Zrobim tron z mogił, z tronów mogiły;
Jenoż twą córę poswataj godnie,
By szczep twój rządził swobodnie«.

Tak panu w sali prawią pochlebce,
A wojewoda makaty depce,

Co haftowane w wzorów tysiące
Wabiły oko jak kwiat na łące;
Tylko że kwiatom zbroje z sufitu
Świeciły zamiast niebios błękitu.

I znać, że mowa sercem kołysze,
Bo pierś się pańska podnosi w pysze.
Nie odpowiada, ani przerywa
Kłamanych pochwał kruche ogniwa;
Jeno się czasem uśmiechnie mile
I na mówiących popatrzy chwilę.
I stąpa dalej i dalej słucha,
A szatan w serce już dmucha.
I wojewoda spojrzał na ściany,
Kędy praojców rząd malowany
Przy Częstochowskiej Matki opiece
Na tajemnicze zebrał sią wiece.
A wtedy anioł, domowy stróż,
Skrzydła tęczowe rozpostarł wzdłuż,
Wiejąc nań tchnienia swojego wonią,
Serca się dotknął liljową dłonią
I szeptał w ucho: »widzi cię Bóg!
Miej się na pieczy!... w domu twym wróg!«

Lecz tam i szatan u odrzwi stał,
Pańskie zaś serce przez pół już miał.
Więc raźnie z służbą k' panu poskoczy
I blaskiem koron drażni mu oczy.

A potem z cicha pochlebcy mowę
Przystraja w słodkie słowa perłowe,
I rzecze: »Patrzaj, u drzwi przy tarczy
Na trzy obrazy miejsca wystarczy.
Między przodkami na jednem ty,
Drugie twej córze, — a trzecie komu?
Pomnij, kto wejdzie do twego domu...«
Tak zażegł szatan pychy złe sny
W płomień, jak pęki suchego łomu.
Pan myślał w duszy: Wybiorę zięcia
Dla mojej córy!...

Szatan rzekł »Księcia!«

I precz uleciał anioł z komnaty,
Gdzie na podłogach kwitły makaty,
Gdzie się pieniły złociste czary:
I gdzie palono dumie ofiary.

A sam przeczysty domowy stróż
Ponad krainę uleciał róż,
I tam z obłoków, tam z pod błękitu
Na ogród patrzył pełen zachwytu.
Tam, co aniołom rzadko się zdarzy:
Szczęście obaczył na ludzkiej twarzy,
Miłość, ten cudny posłyszał spiew,
Co śród słonecznych rodzi się stref,
I tylko czasem zabłądzi tu

W kształt czarownego o niebach snu.
Tam było dwoje;
Młodzi oboje,
Sobie oddani,
Ach! zakochani!
Ona — jak siostra tego z błękitu,
On — hardy orzeł Bieszczadów szczytu,
Bo na świecącą, stalową zbroję,
Złocistych skrzydeł zawiesił dwoje.

. . . . . .

. . . . . .

»Długoż mam rzucać, żegnać cię tak,
Jakby ten z gniazda wygnany ptak?!
Wiecznież ta miłość czysta jak łza
Przed okiem słońca chować się ma?!
Kocham cię!... precz z tą maską ukrycia!
W lęku nam marnie każdy dzień schodzi,
Tęsknotą niszczym połowę życia;
Któż nam stracone chwile nagrodzi?
Nikt! bo i niebo nawet nie zdoła
Piętna tych cierpień wygładzić z czoła.
Jutro więc ojca przestąpię próg,
Schylę się kornie do jego nóg,
Na oścież serce otworzę moje
I błagać będę za nas oboje...
Ale ty, jasny aniele mój,
Ty blisko przy mnie na straży stój.
Gdyby mię dumą surową zbił,
Ty duszy mojej dodawaj sił
I powiedz ojcu, że zginiem wraz,

Jeśli w nim serce twarde jak głaz«.
Potem w uścisku niemym, serdecznym
Spletli ramiona tym węzłem wiecznym,
Który dusz dwojga utwierdza ślub
Przez świat, do grobu i po-za grób.
A przy pancerzu dziewicze łono
Drżało radością niewysłowioną;
Drżało uczuciem, że póki on,
Póty i życia, — bez niego zgon!
Serca im wzrosły,
Dusze się wzniosły
Aż w błękit tam,
Gdzie u niebieskich świetlanych bram
Przeczysty anioł, domowy stróż,
Wianki im z rajskich uwijał róż,
Bo czuł: miłości, co tak się wzniesie,
Że na swem łonie ziemia nie zniesie.

W sali zaś uczta... i z panów pan
Pochwycił czarę i wina dzban,
Nalał, już do ust przytulał czarę...
Wtem wiatr od okna odgiął kotarę,
Pan spojrzał... z rąk mu czara wypadła,
Trysnęło wino, panu twarz zbladła;
A potem zsiniał i powstał z krzesła,
I brew się groźnie nad okiem wzniesła,
W oczach był piorun, żylasta dłoń
Porwała szklącą przy boku broń;

W piersi gniew srogi nie znalazł mowy,
Jeno gniótł serce jak głaz grobowy.

Znać, coś strasznego w sercu swem miał,
Kiedy go taki owładnął szał.
Bo na kraj cały z tego był znan,
Że w każdej chwili był siebie pan,
I tylko czasem niezwykłe oko
Ujrzało, co tam na dnie głęboko.
Lecz jakby ze snu nagle się zbudził,
Pogodą wyraz lica ostudził,
Usiadł, i w głośny wybuchnął śmiech,
Że w sali sto się odbiło ech,
A goście z trwogą siebie pytali:
Co to się stało? — co będzie dalej?

»O nic — nic!« gościom odpowie pan,
I znów wziął puhar i wina dzban:
»Ot czasem widmo jakby z obłoku
Zjawi się nagle staremu oku,
I takie w duszy wzbudzi wspomnienie,
Że krew się w żyłach zajmie w płomienie.
Tak i mnie teraz;... lecz bawcież się!
Młodość wspomniałem — śmiech bierze mię«.
I znowu huczno i gwarno w sali:
Wino się w głowach płomieniem pali;
Tylko pan czasem o czemś zamarzy,
A śmiech, ten jemu przymarzł do twarzy.

A kiedy błysły nocne zorzyce,
Duszne się panu stały świetlice;
Wdział płaszcz, na wolne wyszedł powietrze
Ochłodzić myśli przy wonnym wietrze.
Tam topolową ulicą wzdłuż,
W blasku księżyca, przy woni róż,
Szedł młody rycerz samotny w dal,
Na nim pancerna błyskała stal.
O! i w nim myśli usnąć nie mogą,
Lecz jakże inną wzlatują drogą?
Twarz miał prześlicznem marzeniem senną,
A taką jasną, taką promienną,
Tak uśmiechniętą całemu światu,
Że był podobny do tego kwiatu,
Co w blasku słońca, w jednej godzinie
Całą potęgę krasy rozwinie.
O! znać, że młodzian uczucia zmierzył
I w swoje własne szczęście uwierzył:
Kochał — kochany... Na takim szczycie
Raz tylko stawia człowieka życie;
Potem w grób jedni— drudzy zaś w świat —
Z piętnem na licu szczęścia lub strat.

. . . . . A z drugiej strony
Szedł wojewoda w płaszcz otulony,
I dwoje oczu, jak iskier dwie,
Przez ciemność nocy na zwiady śle;
Obaczył wreszcie blask jasnej zbroi,
Powstrzymał kroku i jak głaz stoi.

Na jego dumą rażące lica
Padało jasne światło księżyca.

I nadszedł rycerz, stanął, powitał,
Chciał mówić, z ócz już wyrok wyczytał:
Starzec głos podniósł, głos straszny, grzmiący,
Jak grzmot kaskady o głaz bijący,
A w ciszy nocnej tak się wydało,
Że tam sto piersi groźbami grzmiało.
I rozmawiali ze sobą długo
Nie jak brat z bratem, jak pan ze sługą.
Wyrazów starca nawał gorący
Przerywał czasem głos błagający,
Co młodzianowi z piersi się rwał,
Jako grający strumyk śród skał.
Lecz wojewoda prośby nie słucha,
Coraz groźniejszym gniewem wybucha,
Aż wreście głosem jako strzał gromu
Kazał opuścić próg swego domu.

A młodzian słucha, struchlał i zbladł
I wojewodzie aż do nóg padł.
Objął mu stopy, przedstawia, prosi,
Od łez gorących w płacz się zanosi,
Lecz wojewoda zawołał: »Precz!
Słowa mojego nie cofnę wstecz.
Precz! — albo śmiałość przypłacisz drogo!«
I w pierś rycerza uderzył nogą.

Porwał się z ziemi młodzian jak lew,
W ręku mu błyska miecz, w oczach krew.
»Do szabli, starcze! ha! za tę wzgardę
Ja ci rozszarpię serce twe harde.
Do szabli!« krzyknął, i podniósł miecz,
A wojewoda cofnął się wstecz
I karabelę chwycił u boku,
Ale niespokój był w jego wzroku.

Stoją; oręże podnieśli wraz,
Młodzian już spuszczał śmiertelny raz;
I byłby starzec w krwi się potoczył,
Ale w tej chwili młodzian odskoczył
W bok, bo mu raczej samemu skonać,
Niż na jej ojcu zemsty dokonać!
Lecz hańba, — hańby pancerny ptak
Bez krwi lub śmierci nie zniesie tak.
Raz spojrzał w niebo, potem zmieniony
Odszedł; tam koń go czekał u brony;
A wojewoda na miejscu stał
I straszny uśmiech na licu miał.

Ona tam w oknie basztowem stała,
Widziała wszystko, wszystko słyszała.
Ach! ileż cierpień! — jakie katusze
Szarpały wtenczas młodą jej duszę?!
Potem widziała, jak dosiadł konia,
Jako go pędem puścił przez błonia,

Jak go ku rzece skierował w czwał,
Tam na sterczące odłamy skał.
A potem jasny księżyc w pogodzie
Oświecił srebrne koło na wodzie...
Krzyk jeden zatrząsł jej piersią białą
I potem wszystko w ciszy skonało.

A biały anioł, domowy stróż,
Co dla nich wianki uwijał z róż,
Ostatnią róży zerwał gałązkę,
Skończył i przypiął godową wstążkę.

Za kilka dni
Dworzec zamkowy od kopyt grzmi.
Do wojewody przybyli swaty:
O córkę pan go prosi bogaty...
Więc wojewoda wszedł do komnaty.

Stanął jak wryty; tam na pościeli
Leżała córka w śmiertelnej bieli,
Na licu miała uśmiech rozlany,
W ręku pęk kwiatów świeżo zerwany.

I wojewoda zadrżał na ciele...
Ten kwiat, to dzikie trujące ziele!

Oczy mu w zgrozie stanęły w słup,
Kwiat jeszcze nie zwiądł, a córka — trup!
Ostatni listek zatruty, siny
Drżał w zaciśniętych ustach dziewczyny.
Kwiat więcej serca od ojca miał:
Ojciec wziął szczęście, kwiat spokój dał...
Ach! spokój wieczny, sen nieprzespany,
Co goi wszystkie bole i rany.

I odtąd pośród głuchych ścian
Samotnie żył już zamku pan.
Ci gdzieś się potem kłaniali innym,
Których za stołem sadzał gościnnym.
Lecz mniejsza o ten niecny gad.
Ach! po nim w sercu został jad,
Została zimna rozpacz u czoła,
A tej nie zedrze i dłoń anioła! —
I pan nie wyszedł nigdy za próg.
Jeno gdy napadł Koronę wróg,
Wonczas z nad łoża brał karabelę,
Zbierał chorągiew i szedł na czele.

Korniów w czerwcu 1857.

DZIEWCZĘ Z SĄCZA.

WIECZOREM.

W bielonej izbie, za cisowym stołem,
Pod wieczór, czworo siedziało ich społem.
Bliżej kominka dziadek Janusz, dalej,
Kędy się lampa przed Chrystusem pali,
Babka; pod oknem siedziała dziewczyna,
Basia, kwiat Sącza, wnuczka ich jedyna.
Naprzeciw Bartek, cieśla z cieślów sławnych;
W Sączu, ród jego należał do dawnych,
On sam już sławą cieszył się, choć młody,
A Bóg mu przytem nie skąpił urody.

Słońce, za góry zachodząc czerwono,
Zajrzało oknem w izbę ubieloną.
A że dziś była niedziela adwentu,
Więc spoczywali wszyscy gwoli świętu.
Janusz służebnym polecił gospodę,
Garniec i wino; z księgi dziewczę młode
Czytało świętych spisane żywoty.
Cieśla w nią patrzył, poprawiał kapoty,
Ilekroć Basia czytanie przerwała.

Babce u czoła drzemka się wieszała;
Pod ścianą z nićmi stał jej kołowrotek,
Z kłębuszkiem teraz igrał Basi kotek.
Właśnie skończyła Basia u rozdziału,
Gdy Janusz z krzesła podniósł się pomału,
I słowem księgi do głębi przejęty,
Rzekł: »Wielkiś w twoich cudach, Panie święty!
Wielkiś! bo wznosisz, gdzie zrozpaczy głowa;
O! cudem dotąd stoi Częstochowa,
I wierzę, że w niej Luter nie zagości.
A nas tu gnębią, skórę drą od kości
Szósty już tydzień. Ha! skacz do muzyki,
Jak ci zagrają Szwedy najezdniki...
Niema sił...« Chmurny przeszedł przez świetlicę,
A potem utkwił wzrok w Bogarodzicę,
Co złote ramy nakształt wieńca miała,
I stał w zadumie, — łza po łzie spadała
Na wąs, włos biały zsunął się na czoło;
On włos odgarnął, westchnął, otarł połą
Łzy i wnet mowę obrócił do cieśli:
»Rzeczcież! nowego coście też przynieśli?
Ja trzeci tydzień nie chodzę do miasta,
Ni ja, ni Basia, ni moja niewiasta;
Jak zwierz człek w norę przed Szwedem się czai,
Bo jak staremu chodzić śród tej zgrai?

Bartłomiej odrzekł: »Marne powiadanie!
Nową złość ważą ze Szwedem Arjanie.
Szlichtyng i Florek Siemichowski, zbójca,
I ten żyd Finkiel, komendanta trójca,

Bawią na zamku; oni rada tajna
Tego łupieżcy, pułkownika Sztajna.
Potem Barycki, podatków poborca,
Był dziś dwukrotnie ciągany do dworca,
I pan Szydłowski, patron kolegjaty.
A coś dwu poszło do wieży za kraty;
Zaś Stare-miasto opuściły panny — [1])
I tak się mnoży ucisk nieustanny!«

»O! dalej kory nie stanie na drzewie!«
Wnet stary Janusz podchwycił mu w gniewie.
»Straszne to Boga próby, — raczej kary,
Tak marnie idą, i takie ofiary!
Tu był król z nami — dziś kędyś w Głogowie...
A nasz Bylina, rotmistrz, padł w Krakowie...[2])
I Czarneckiego, żelazne to ramię,
Zgina Bóg, choć go jeszcze nam nie łamie...
Hetmany bez wojsk, Starosta na Spiżu,
A my w ucisku jak przy nowym krzyżu
Korzym się«... I stał chwilę zamyślony.
Nie długo potem zwrócił się do żony
I rzekł: »Musimy pomodlić się razem;
Zapalcież lampę przed Kingi obrazem,
Bo czcią jej ziemia nasza się zastawia
I od niewoli święta Kinga zbawia;
Za jej wstawieniem niech was Bóg pociesza.«
Posłuszna żona wnet lampę zawiesza;
I klękli, jako było we zwyczaju:
Starzy na przodzie, młoda para z kraju.
A po modlitwie Janusz wstał rzeźwiejszy,

I rzekł: »To zamysł Szweda nie dzisiejszy,
Trzykrotnie już nas zarwał po szatańsku;
Pomnę, gdy byłem za wódkami w Gdańsku, —
(A byłem jeszcze za Adolfa króla,
Co to go w Niemczech ugodziła kula)
Pod wieczór jakoś, w kupieckiej gospodzie
Z jednym tam Szwedem zszedłem się na miodzie.
Ten, że miał z nami stosunki handlowe,
A zmyślny, więc znał dobrze polską mowę.
I siedzim; — szklanka mijała po szklance,
I żywo jakoś było w pogadance.
Aż w końcu — patrzcie! co rzekł djabeł kusy, —
Wstał, na głos w izbie wrzasnął: — Nasze Prusy!
Nasze Inflanty, — Bałtyk, bo tak chcemy,
A gdy nie dacie sami, — odbierzemy, —
I wymusimy na waszym narodzie! —
Nie skończył. — Resztę słów utopił w miodzie.
Bo pełny kufel pochwyciłem w rękę
I tak Szwedowi ciąłem nim w paszczękę,
Że na podłogę stoczył się jak długi;
Za drzwi go potem wyrzucili sługi.« —

Usiadł i ręką podparł siwą głowę,
Myślą rozwinął przeszłych dni osnowę;
I ujrzał siebie w dragońskim szyszaku,
Konno z Rewerą na stepowym szlaku.
Wojował z młodu, gdyż bywał burzliwy,
I wspomniał sobie tatarskie cieciwy,
I jako z wojny wrócił do rzemiosła,
Jak go znów wojna aż za Boh zaniosła,

Potem na Szweda, — Chocim, — Kozaczyzna...
I spokój, — powrót, — na głowie siwizna,
Praca — śmierć dzieci, — dalej już nie szuka,
Spojrzał: z nich jedna została mu wnuka...
I westchnął: »Wszystko dzieci w bożej woli!
Aleć on naszej pofolguje doli;
Jak pomnę, różnie bywało już z nami —
Toż koniec będzie i z tymi Szwedami.«

Lecz babka przerwie: »Na Chrystusa rany
Milczcie! na górze Szwed kwaterowany.
Strach jak mróz ostry idzie mi wskróś duszy —
Bójcież się Boga! ściany mają uszy;
Podsłucha! i cóż? jakiż wtedy opór?
Wezmą was, głowy podacie pod topór,
I w grób; a my co? my z Basią sieroty
Musiałybyśmy iść pod ludzkie płoty.
Bodajbym tego nigdy nie dożyła!«
Umilkła i krzyż na piersiach złożyła.

Dziewczę spokojnie słuchało rozmowy,
Lecz, zda się, babki urażona słowy,
Wstała; — rumieniec wykwitł na jej licach,
Skier dwoje żywo spłonęło w źrenicach,
I rzekła: »Babko, nie miejcie obawy,
Pan Oskar dzisiaj na zamku ma sprawy.
Widziałam, jako tu przyszedł z rozkazem,
Trębacz, — a potem do Sztajna szli razem
W miasto. On, — choćby słyszał dziadka mowy,
Pewnam, — nikomu włos nie spadłby z głowy.

A przytem zważcie, to nie żołdak prosty;
Oficer i syn szwedzkiego starosty.
A jaki dobry! — Wszak mówią sąsiedzi,
Co to się z innym Szwedem człek nabiedzi.
On zaś czy spojrzał kiedy na nas krzywo?
Gdzie tam, za wszystko dziękuje tak żywo,
O! bo też dusza w poczciwości rzadka!
A jak on lubi i babkę i dziadka,
Was, Bartku, i... mnie...« Tu przestała
Zmięszana, jednak pokryć to umiała,
I rzekła dalej: »Gdy siądę w gospodzie,
By was wyręczyć przy winie i miodzie,
To ledwie przyjdzie Oskar i powita,
Zaraz się grzecznie o was wszystkich pyta, —
Rozmawia, życie opowiada swoje...
Oskar ma także w domu dziadków dwoje
I siostrę jak ja; a mówił osobno,
Że siostra do mnie całkiem jest podobną.
Na wojnę poszedł, bo mu dziad poradził, —
O! nie, on zacny, on by nas nie zdradził«.

Lecz Bartek na to: »Luter i poczciwy?
Tego pod słońcem niema, jakom żywy!
Wierzcie mu, Basiu, kiedy słodko gada,
Wąż to! a w śpiące serce się zakrada,
Czy słówko jakie od was nie wyłudzi;
Strzeżcie się, bo on żądłem was obudzi«.
I powstał, z czoła uciekła mu smętność,
Z ócz mu gorąca błyskała namiętność,
Dłoń ścisnął, jakby w dłoni toporzysko

Czuł i rzekł: »Wiecie? ratunek nasz blisko!
Dobrze, że niema Lichtenawa w domu ...
Powiem, że jest nas poratować komu.
Pokąd gór naszych dzikich i wyniosłych,
Pokąd górali jak smereki rosłych
A na toporach dopokąd stal czysta,
Potąd nam nie paść u stóp antychrysta.
Dziś tydzień jako przebiegałem góry,
Widziałem ludu nieprzebrane chmury.
Słyszałem, wszyscy Szweda nienawidzą:
Królewscy, ci się Lutrem jak psem brzydzą —
Co który wspomni, że jego gurmana [3])
Z koroną, zaklnie w Szweda jak w szatana.
Nawet zbójnicy: Litmanowski Nędza [4])
U Obidzkiego spowiadał się księdza
I nóż pociąga na tych heretyków;
Strzelcy zaś leją kule nie na dzików,
A Wąsowicze lud zbierają w pułki [5]),
A ciągną ku nim ludzie jak jaskółki.
Znacie ich, — raźni, nie lękliwi znoju,
A będą jako wilk w owczarni w boju.
Ha! potańcujeż Szwed, da Bog! niebawem; —
Na rzece ze krwi ztąd poślem go spławem;
Flisacy Wisłą, bo w tem ich ochota;
Ja ostrzę bardę — oj! będzie robota
Dla naszych pięści pewnie za trzy jutra,
A ujrzym, czy Bóg nie starszy od Lutra!«
Wielce Janusza cieszyły te słowa
I wnet się dłuższa poczęła rozmowa.
Babka usiadła, Basia cicho wstała,

*

Długo się w obu mówiących patrzała;
I znać na straszną zbierało się burzę,
Bo z lica Basi zeszły kraśne róże:
W oczach, co głębi serca kryć nie zwykły,
Promienie gasły i pod łzami nikły.
»Wytniem ich!« krzyknął Bartek, — Basia zbladła
I z płaczem drżąca na krzesło usiadła.

Babka to widząc pośpieszyła do niej;
»Co tobie?« pyta, »a niechże Bóg broni,
Chora?« — Więc obaj zmilkli w jednej chwili
I zatrwożeni w Basię się wpatrzyli.
»Mnie nic«, — wtem dziewczę odrzekło powoli —
»Tylko mnie jakoś dziwnie serce boli,
I w głowie szumi i w oczach mi ciemno:
Ja sama nie wiem, co się dzieje ze mną —
Strasznie mi jakoś teraz na tym świecie«.

»Pieszczotka moja, biedne moje dziecię;
Zlękłaś się!« — tuląc ją babka odpowie —
»Bo też wam, Bartku, zawsze strachy w głowie,
Odkąd was znam. Ot ręką ledwie może władać,
Tak drży; i trzebaż było opowiadać
To, czego niema, nie było, nie będzie?
Ale wam pilno, więc krew, wojna wszędzie
I na języku. Ptaszko, bądź spokojna!
My, cóż my znaczym, nas ominie wojna....
Ej! bo już rzućcie to gadanie zdrożne;
Święto, — ot książki czytajcie nabożne.«

Cieśla stał, zdał się nie słyszeć tej mowy.
Milczał, w dziewczynę utkwił wzrok surowy,
Co biegł aż w duszę; — ona się spłoniła,
Wsparła się ręką o stół, oczy skryła;
On westchnął, smutek rozlał mu się w twarzy,
Zapalił świecznik, usiadł, siedli starzy,
Wziął księgę; czytał z żywotu kapłanów,
Jak święty Jacek odpędził poganów.

SAM NA SAM.

Przeszła godzina — starzy się zdrzemali,
Basia siedziała, Bartek czytał dalej —
Lecz coraz ciszej i często się mięszał,
Stawał i wzrok swój na dziewczynie wieszał;
A potem wiersze pomylone chwytał,
Opuszczał, czasem jedno dwakroć czytał,
A nawet inne wypowiadał słowa.
Czuł to, lecz ogniem płonęła mu głowa,
Serce mu biło gwałtownie, gdy zmylił.
Chciał się poprawić, wzrok ku księdze chylił,
Lecz z księgi biegły nieposłuszne oczy
Do Basi, bo tam był ich świat uroczy.
Toż widząc, że tych czarów nie odgoni,
Zbliżył się, westchnął i jął szeptać do niej:
»Przeląkłem ciebie? Basiu! nie chciej winić,
Jeden Bóg tylko wie, co z sercem czynić, —
Jako je w piersi trzymać — gdy rozboli?
Jeśli cię zląkłem, dziewczę, — to bez woli
Zgrzeszyło słowo; — dusza o tem nie wie;
Toż oczął, Basiu, nie odwracaj w gniewie,

Przebacz!...« i dłoń swą na sercu położył,
Spłonił się, drżące usta w pół otworzył, —
Schylony nad nią, w pierś chwyta jej tchnienie,
Wzrokiem ją chłonie, i karmi płomienie
Serca, rosnące w szale i zachwycie,
Jakby nią całe wypełnić chciał życie.

Ale snać mało Basia go słyszała;
Śniła, twarz jeszcze zadumaną miała,
Gdy oczy, w których odblask marzeń kona,
Na Bartłomieja zwróciła zdumiona,
I cichym głosem, myśli swych nie pewna,
Rzekła: »Cóż chcecie? ja wam nic nie gniewna«.

»Nie?!« odparł Bartek i radością skraśniał,
A wzrok jak słońce wiosenne mu jaśniał:
»Oj ty dziewczyno! ty gołąbko biała,
Patrzaj — rzekł czule — coś ze mnie zdziałała!
Ja, śmiałek pierwszy, jak nieżywy stoję,
Kiedy zachmurzysz jasne oczka twoje.
Basiu! ej kiedyż Basia mi nagrodzi
To, że rok trzeci tak marnie mi schodzi?
Kiedyż wędrówki, czekanie, tęsknotę?...
Basiu! jedyna! — ptaszę moje złote!
Raz ty mi ulżyj ciężkiej serca spieki;
Życie i pracę oddam ci na wieki!«
I silne ku niej wyciągnął ramiona,
Basia się przed nim cofnęła zlękniona, —
Ale Bartłomiej w uczucia natłoku
Nie pojął, zda się, jej chłodnego wzroku,

I rzecze: »Cieśla'm, dziewczę, jak mój rodzic,
Lecz niech mi sercem sprosta wojewodzic!
Nikt Basiu jak ja nie pokocha ciebie:
Dla mnie tyś jedna, jak jeden Bóg w niebie!
Przy tobie to już chyba ta garść ziemi,
Co kiedyś z kośćmi zmięsza się mojemi...
Pójdź!« Lecz nim słowo to z ust mu wypadło,
Dziewczę się znowu cofnęło i zbladło;
Milcząc usiadła na krzesło dębowe
I o dłoń białą smutna wsparła głowę.

A on w nią patrząc żałośnie wstrząsł głową:
»Widzę ja, dla mnie zimnaś jednakowo, —
I miłość moja ciebie nie poruszy...
O! Basiu! — Basiu moja! — nie masz duszy!«
Lecz już boleści nie mógł wstrzymać w łonie;
Zmierzył ją wzrokiem, twarde ścisnął dłonie
I jęknął: »Kiedyś porwę mą siekierę,
W pół nią rozpłatam moje piersi szczere
I wydrę serce; a ty patrz do woli,
Jak ono kocha ciebie, a jak boli,
Co krwi spalonej z niego już wyciekło,
I umrę... Basiu! — Basiu! pójdę w piekło!«

I przestał mówić i w głos się rozszlochał,
I łzami tylko skarżył, że tak kochał;
Ona zaś z rączki skroń podniosła białą,
Spojrzała, w oczach miała duszę całą, —
Miała żal szczerej, siostrzanej litości,
I siebie całą, — — jeno nic miłości.

Lecz wnet się ozwie z litośnym uśmiechem:
»Ej, Bartłomieju, tak wyrzekać, grzechem.
Cóż wam? to wojny, to znów żony chcecie,
Od żony znów was na wojnę pomiecie;
I tak bez końca będzie tej swawoli, —
Ot zaprzestańcie, bo aż słuchać boli«.

»Boli?!« Bartłomiej pochwycił z zapałem,
»Ha! pomyśl, dziewczę, czem to ja się stałem!
Gdzie moja młodość? na tęsknocie znika!
I już sąsiedzi mają mnie za dzika —
A to przez ciebie wszystko — och!...« i zakrył [oczy,
Uczuł, że widmo znów mu ducha mroczy,
Wabi go... On raz z bardą stał na skale
I sosny spuszczał w Dunajcowe fale,
Wtem spojrzał; strach! strach! z fali jasnolice
W pląsach skoczyły na brzeg topielice[6]).
W złociste z tęczy przyodziane rąbki,
Jęły ku niemu latać jak gołąbki,
A tak patrzyły, tak nęciły zdradnie:
Skocz! skocz do fali, u nas cicho na dnie!
A dźwięk ich głosu był tak czuły, tkliwy,
A on był wtedy, ach! tak nieszczęśliwy,
Że już pochwycił jednej rękę białą,
Skłonił się, i z nią zawisnął nad skałą...
Lecz wnet wzburzoną pierś krzyżem przeżegnał,
Padł i zapłakał i widmo odegnał
Teraz to wszystko budzi się w pamięci,
Upaja, łechce i tam w góry nęci.

Przemógł się; mówić wnet począł spokojnie:
»Nie dziś, — to, Basiu moja, choć po wojnie.
Każesz rok czekać? będę jako żywo,
Choć Bóg wie, z jaką duszą niecierpliwą,
Chcesz dłużej? niech się wola twoja dzieje;
Jeno mi zostaw, dziewczyno, nadzieję«.
Rzekł i do oczu szorstką dłoń przycisnął,
Ale z pod palców strumień łez mu trysnął.

A ona wstała, pobladła jak chusta,
Drżały jej ręce, drżała pierś i usta,
Łzy w oczach; oczu nie śmie nań podnosić.
Chciałaby tylko przemówić — coś prosić...
Milczała, potem na wpół bezprzytomnie
Rzuciła z jękiem: »Zapomnijcie o mnie!«
I zmilkła.

A w nim serce bić ustało,
Zachwiał się, zsiniał, potem twarz miał białą
Jak trup, i czuć w nim było ciszę śmierci.
Tak dąb, gdy piorun wnętrze mu przewierci,
Stoi spokojny, nim o ziemię gruchnie.
Wstrząsł się, snać poczuł życie, ogień w próchnie;
Zgrzytnął, pierś ścisnął, pijany z rozpaczy
Wpadł w drzwi i jęknął: »Niech ci Bóg przebaczy!«

I cisza; — dziewczę samotne zostało...
Stoi, na sercu trzyma rączkę białą,
Łzy się jej do ócz cisną mimo woli,
Smutno jej; serce ścisnęło się, boli.

Bartek ją w takiej opuścił rozpaczy...
»Niech Bóg przebaczy!...« »Bartek — czy
[przebaczy?...«
Spojrzała... starców dwoje w śnie coś marzy;
Uśmiech im lata od twarzy do twarzy.
Zlękła się, w piersi czuła dreszcz zimniejszą
I cisza w izbie stała się straszniejszą.

Lekko więc krzesłem stukając usiada.
Już nawet starców obudzić by rada,
By jeno zbyć się z izby strasznej ciszy,
Gdzie, oprócz serca swego, nic nie słyszy,
I kędy Bartek stoi czarną zmorą,
A lampy u ścian tak posępnie gorą...
Lecz dziadkowie śpią.

Niespokojna wstała:
»Gdybym ja była nigdy go nie znała:
»»Niech Bóg przebaczy!«« rzekł, — »a cóż ja
[winna?...
Gdyby on wiedział!...« ale wtem myśl inna
Tknęła ją; bieży do okna i słucha,
I usteczkami na biały mróz chucha,
Myśli, pogląda w okno niecierpliwa;
Kogoś snać jeszcze dzisiaj się spodziéwa,
I kędyś w dali jej spojrzenia toną.
Ale tam cicho, noc i gwiazdy płoną.

Smutniejsza, może patrzeniem znużona,
Odeszła, ręce krzyżując u łona,

I szepce idąc: »Jak on strasznie szlochał!
Mój Boże! poco Bartek mnie pokochał?
Gdybyż to tylko minęło szaleństwo!...
Czemu my sobie z Bartkiem nie rodzeństwo!...
Rośliśmy, prawie chowali się razem,
Pacierz pod jednym mówili obrazem...
Duszę bym całą dziś mu wygadała...
Ale on straszny taki!...« I zadrżała: —
Jakiś strach nagle przeszył ją do głębi
Jak stal, co serce, rozdzierając, ziębi.
Więc się zwróciła i z różańcem w ręku
Świętej się Pannie ukorzyła w lęku.
Modląc się, w Świętą wzrok zatapia cały
A z ócz jej patrzy dusza, gołąb biały.

Tak anioł, kiedy pióry śrebrzystemi
Zleci z błękitu i dotknie się ziemi,
Stawa i chwilę ogląda zdziwiony
Swiat, co dla niego mgłami otulony; —
Głębiej się potem zanurzywszy w cienie,
Uczuje przestrach i wraca w promienie.

PRZY STUDNI.

Od modłów wstała uśmiechnięta, jasna,
Spokojna w duszy i rumieńcem krasna.
Różaniec jeszcze trzyma w białej dłoni,
A uczuć pełna jako lilja woni,
I tak usiadła cicha i świat boży
Myślą ubiera w blaski rannej zorzy.

Ale po chwili do okna pobiegła,
Pogląda: w cieniu znać kogoś postrzegła,
Przeczuła raczej, i cała spłoniona
Stojąc, rąk dwoje cisnęła do łona:
»On!...« rzekła z cicha... a tam z ciemnej dali,
Już słychać było kroki i szczęk stali.
»On!« i zmięszana waha się, czy czekać,
Czy wyjść na przeciw, czy z wstydu uciekać.
Ku drzwiom co chwila zwraca jasne oczy,
Serce jej z piersi ledwie nie wyskoczy:
»Co robić?« myśli — »on może tu wstąpi...
Może nie wstąpi! — ach! on tak się skąpi!
Zdybać go trudno; — rano mi się skłonił,

Potem nie przyszedł, tak jakby mię stronił...
Nie dobry! — tylem o nim dziś myślała«...
Tak myśląc, śpiesznie kubraczek zawdziała
I poskoczyła ku drzwiom; lecz znów stoi
I myśli: »Może obudzą się moi!
I on sam może pomyśli, żem płocha!...
Nie! ach! on nie wie, jak Basia go kocha!...
Oj biedna ja! oj zginie serce marnie,
Jeśli kochaniem on go nie ogarnie!«...
Marzy, łez dwoje spadło na jagody,
I wzięła dzbanek... »Tak, przyniosę wody.«

Wybiegła, patrzy: noc cicha bez chmury,
Księżyc i gwiazdy; dalej śnieżne góry,
Kościoły, których krzyże w niebo wrosły,
Rynek, za rynkiem Sącza gród wyniosły
Groźnie powiewa chorągwiami z wieży.
Miasto w śnie jak ul, gdy rój go odbieży;
Po basztach tylko migocą się blachy,
Gdzie w zbrojach szwedzkie stanęły szyldwachy,
I światła w oknach.

Już przy studni stoi,
Widzi go, jednak sroma się i boi,
By jej Lichtenaw tak nie zastał w mieście,
I skryć za studnię już chciała się wreście.
Lecz właśnie z góry jasny blask księżyca
Stoczył się na jej uśmiechnięte lica
I Oskarowi w cieniu ją odsłonił;
Ten stanął, wpatrzył się — potem się skłonił...

I piękni z duszą odbitą w spojrzeniach,
Stali tak w złotych księżyca promieniach.

Ale wnet Oskar pochwycił jej rękę
I rzekł: »Bóg z wami! przepraszam panienkę.
Waszych ócz jasnych nie miałem z zarania
Dzień cały... sercu za wiele czekania!«
Lecz nagle tkliwość z jego ócz uciekła,
Twarz uśmiechniętą zgroza mu oblekła;
Pochylił czoło, do siebie rzekł smutnie:
»Za tajemnicę Sztajn głowę mi utnie,
Jeśli tem zniszczę jego czyn piekielny;
Krew... o! mój Boże!... ha! i Sztajn śmiertelny!«...
I lewą ścisnął srebrną miecza głownię,
Prawą zaś Basi dłoń ujął gwałtownie
I tak na dziewczę poglądał ponuro.
Czoło mu taką zasuło się chmurą,
Że się wyrazu tych ócz Basia zlękła,
I patrząc, ledwie z przestrachu nie jękła.
On ją oczyma nieustannie mierzył
Szepcąc: »A możem ja pozorom wierzył? —
Przekleństwo! ona musi wszystko wiedzieć.
Zdradzę? nie! pierwej musi mi powiedzieć,
Czy kocha... choć nie, to ją wyrwać muszę,
Choćby mi przyszło zgubić własną duszę...
O! Basiu — jęknął, poglądając łzawo —
Ty nie wiesz, dziewczę, jak mi w duszy krwawo,
Ty nie wiesz, jakich okrutnych mam panów;
Lecz ja cię wyrwę z ręki tych szatanów!«

»Cóż to jest?« Basia trwożnie zapytała —
»Tak smutnym nigdym pana nie widziała«...
On stał, poglądał, wahał się i myślił,
I niespokojny mieczem w śniegu kréślił; —
Krom uczuć jeszcze chciał rzecz wielkiej wagi
Wyznać — i nie miał ni słów ni odwagi...
Lecz »Dość! — zawoła — Basiu! życie moje!
Dość, w twoich oczach płonie serce twoje!...
Ty kochasz?... Oczek nie kryj rączką białą!
Bo w nich tę miłość niebo napisało
Dla mnie; — o Basiu! o nich ja słyszałem
Pierwej, niż ciebie, niż te strony znałem —
Chłopięciem jeszcze. -- Biegłem ku jezioru
Raz w letni ranek, wtem nadeszła z boru
Wróżka znajoma u nas do okoła,
Że znała leki i zbierała zioła.
Jam stał, a ona wpatrzyła się we mnie,
Jakby mą duszę chciała dobyć ze mnie,
I rzekła:... »»Dziewczę serce ci rozpali...
Krwi będą ludzie od ciebie żądali —
Ty chwycisz serce! — Taka twoja droga,
A każda droga wytknięta od Boga.««
Dziś, Basiu moja, rozumiem tę wróżbę:
Ta dłoń, nie serce u króla ma służbę. —
Sztajn krwi chce waszej, więc się dłoni zbędę,
Utnę, a w waszej krwi kalać nie będę,
I wyratuję cię ztąd, choć bez dłoni,
Z krwi i z płomieni!«

»A niech Bóg was broni!

Krzyknęła Basia — mówcież! co się stało?«
I miecz mu rączką zasłoniła białą.

»Przebacz! — rzekł Oskar rzewnie, — przebacz,
[miła!
Basia mię kocha?!« ona się spłoniła
I milczy, ale słowom jego rada
Oczkami stokroć »kocham« odpowiada.
On dłoń jej chwycił i ścisnął gwałtownie:
»O! ja cię, Basiu, kocham niewymownie!
Tyś moją; cóż król? jam jak król bogaty,
I możny jako król mój, a te szaty
I barwy, choć są służalca znamieniem,
Wiem, droga, żem je tem wdziewał ramieniem
I tem ramieniem znów je zedrzeć mogę.
Milczysz? — Dla ciebie, dziewczę moje drogie,
Wszystko! — Ty dla mnie nie masz ani
[słowa?«

Basia to spłonie, to oczęta chowa
W cieniu rzęs; dłoń mu ścisnęła nieznacznie
I pochyliła twarz i mówić zacznie
Zmięszana: »Wiecie, ja dziadków mam dwoje,
Im Bóg poruczył przeznaczenie moje:
Jeśli na naszą zechcecie przejść wiarę,
Pobłogosławią was ich dłonie stare,
I dadzą wam mnie; przyślijcie więc w swaty
Kogoś do dziadków, do naszej tam chaty.
A gdy zastawią biały chleb i wino,
Gdy się dziadkowie ucieszą nowiną...

Gdy każą, powiem; inaczej rzecz zdrożna —
I nie odpowie dziewczę ni wielmożna«.

Lecz Oskar przerwał: »Basiu! nie czas zwlekać.
Bóg tam wie, komu jutra się doczekać;
Dziś nasze, żyjmyż! — Ja dziś muszę wiedzieć!
Zginiem, gdy dziś mi nie zechcesz powiedzieć.
Jutro, pojutrze o takiej godzinie
Może się tylko dym tędy rozwinie...
Basiu!« I drżącą pochwycił w ramiona
I z namiętnością przycisnął do łona,
Tulił, a Basia już mu się nie broni:
Uściskiem uścisk odpowiada dłoni
I rumieńcami pocałunek płaci...
Księżyc promieniem cienie ich postaci
Skreślił na śniegu, jakby chciał zostawić
Ślad szczęścia, które nie umie tu bawić.

W uściskach stali oboje; a w mroku
Stał Bartek, widział ich i grom miał w oku.
Zgrzytnął i nagle w drzwi domu się rzucił.
Wnet wyszedł, lecz już z gwintówką powrócił,
Patrzył i raz się obejrzał w około;
Wzniósł broń i zmierzył Oskarowi w czoło.
Lecz odjął, szepcąc: »W szyję palnąć wolę,
Bo hełm stalowy siedzi mu na czole!«
Wymierzył, lecz znów zadrżała mu ręka...
»Przeklęty Luter! — ha! mnie serce pęka,
On szczęśliw — a ja! — ja pierś mu przebiję...
Ona rękami objęła mu szyję,

W szyję nie mogę wypalić!« — Broń trzyma,
Piersi Oskara przeszywa oczyma,
I śmierć tam widzi pierwej, niż dłoń mściwa
Strzał pośle. Wściekłość duszę mu porywa...
Wymierzył, lecz znów odjął i spozierał,
I znów to serce, to głowę wybierał —
Wszystkiego jednak było mu za mało:
On radby zniszczyć jego postać całą,
W pył rozbić; i znów rusznicę przyłożył.
Lecz wtem czeladnik jego drzwi otworzył
I ledwie Bartka mierzącego zoczył,
Zgrozą przejęty ku niemu poskoczył,
Broń wyrwał: — »Cóż wam? a macież wy Boga
W sercu? — Co, majstrze? przez jednego wroga
Chcecie nas wszystkich pogrążyć w nieszczęście?«
A Bartek na to: »Ty! — silne masz pięście
Jak niedźwiedź — tylko ha! krwi w tobie braknie,
A moja dusza krwi, oj krwi tak łaknie!
Daj broń, ja krwi chcę!«

»Będzie ona, będzie!
Odrzekł czeladnik, — niechno po kolędzie —
Wytniem...«

Bartkowi ogień w oczach błysnął,
Cofnął się, rękę do czoła przycisnął,
Myślał i lico miał już spokojniejsze,
Choć myśli były krwawsze i straszniejsze:
»Ich wszystkich! — rzecze, — chodź pomiędzy
[ludzi!

*

Kogo nie zbudzę ja, to Bóg przebudzi —
Wszystkich do trzech dni — ha! do tej roboty
Nie braknie u nas nikomu ochoty.«
— »To chodźmyż, majstrze! w Janusza gospodzie,
I młódź i cechy zastaniem przy miodzie«.

Odeszli. — Ci zaś — ani śnili o tem,
Jakim ich Bartek przywitać chciał grzmotem.
Oddani sobie stoją śród rozmowy.
Przerywanemi Oskar mówił słowy...
I znać, że miłość mięszał z tajemnicą,
Bo u niej bladło, to kraśniało lico;
Składała ręce, czasem przerażona
Drgnęła, i jęk się wydzierał z jej łona;
Ale z czułością wtedy Oskar śpieszył,
Wieść zrywał krwawą, i przelękłą cieszył,
I opowiadał — i tak zbył się wieści...
Mówi już czulej i gołąbkę pieści,
A tak miłością znać olśnił ją całą,
Że tylko dla niej Basi duszy stało,
Że tym dniem pierwszym szczęścia wniebowzięta
Jak anioł stoi, topiąc w nim oczęta
Pełne promieni... Myśli w niej nim wstaną,
Czuje, jak kocha i jak jest kochaną.

GOSPODA.

W domu Janusza, w obszernej gospodzie,
Mieszczańskie koło zasiadło przy miodzie.
Wprost drzwi Marcowicz burmistrz, sądu głowa,
Siadł jako pierwsza *dignitas* miejscowa.
Przy nim po prawej rajcy, po lewicy
Kupcy, cechowi starsi i ławnicy,
Patrycjat miejski. — Dalej stół dębowy,
Który w krąg izby szedł kształtem podkowy,
Obsiedli mistrze różnego rzemiosła;
Każdy tam, kędy ochota go niosła,
A młódź po izbie rozpierzchła się całej.
Troje lamp światłem błyska u powały
Z za bań czerwonych, i stroi w purpurę
Ściany i gości oblicza ponure.
U drzwi zaś szynkfas.

Lepsze dnie i święta
Gospodnia izba Janusza pamięta!
Dziesiąte ledwie w aktach zapisano,
Co tu zapito, wygrano, przegrano.

Każdy kąt, stoły, szklanki, szynkfas, ławy,
Znały dokładnie wszystkie miejskie sprawy.
Ależ gospoda wielce bo już dawna,
Czysta, i samym gospodarzem sławna.
Więc rad mieszczanin sandecki wyrusza
Nawiedzić izbę siwego Janusza,
Bo to bywalec, co znał wszystkie strony
Mazowsza, Rusi, Litwy i Korony;
A przytem w radzie nie pośledni głową,
Czy zgodzić spornych, czy dać za kim słowo;
Gdy stary począł, cichnął gwar okrzyków,
I obierano rajców i ławników;
Ztąd też najbliżej było do ratusza,
Gdzie był sąd, akta, słowem miasta dusza.
Dziś tam strażnica.

Brakło dziś Janusza.
U niejednego zakrwawiona dusza
Smutkiem lub gniewem; młódź piosnek nie śpiewa,
Szynkarka tylko biega i nalewa,
Mieszczanie piją, między sobą gwarzą,
I klną Lutrowi i na biedę skarżą
Jak na kość w gardle.

Za osobnym stołem
Siedział Bartłomiej z czeladnikiem społem.
Pili miód; czasem, pochyliwszy głowy,
Szeptali słowa zarwane z rozmowy
I milkli, baczność dając pogadance, —
A obaj byli już przy drugiej szklance.

Ale Bartkowi, zda się, lat przybyło.
Pobladł, dwa zmarszczki w czoło mu się wryło;
Zmężniał, spoważniał wielce. Przed godziną
Widział się z dzielną czeladników gminą,
Potem u młodszych majstrów chwilkę bawił:
Miał wieści, kilku swych po wsiach wyprawił,
I wyspokojniał... Ale widać było,
Że mu chwilami serce strasznie biło,
I myśl mu duszą miotała gorąca,
Jasna jak piorun, jak piorun niszcząca.
A wzrok miał hardy, ostry, czasem smętny;
Czasem mu oczy roztlił żar namiętny,
Wtedy brał szklankę, pił, jakby chciał zapić
Ból, co mu serca nie przestawał trapić.
Pił; a gwar w izbie rośnie, Bartek słucha:
Skargi! — balsamem to dla jego ucha;
Pije — lecz ognia nie zdradza w postaci,
A widać, że miał cześć u młodszej braci,
Bo szli go witać, ów szklanką, ten słowy,
Ale on baczył na starszych rozmowy.

A właśnie począł Cyrus cechmistrz szewski:
»Przepadnie, bracia, nasz Sącz, gród królewski!
Bóg wie, czy tydzień podołamy nędzy! —
Znizkąd zarobku, a tu daj pieniędzy,
I kwaterunek, i żyw jeszcze biesa!
Nie wiem jak u was, ale moja kiesa
Już próżna... czart bierz! wnet porzucę miasto
I w Tatry z moją ucieknę niewiastą«.

Światłowicz kramarz odrzekł: »Ja tak samo!
Odkąd ich djabeł przyniósł młyńską bramą,
Szeląga jeszcze nie wziąłem za towar«.

»Mnie sól zabrali i wypili browar!«
Rzekł Gil.

Gadowicz, co młyn miał i żarno,
Rzekł: »Mnie zabrali i mąkę i ziarno,
Lecz da Bóg! kiedyś ja tych Lutrów kości
Przez moje pytle puszczę bez litości«.

»U mnie, ozwał się Olexowicz z rynku,
Pięć postaw sukna wzięli w upominku,
I falendyszu dwa; za mój dobytek
Dali mi wczoraj w zamku jakiś kwitek,
A Florek jeszcze ze mnie naigrawał,
Niepomny, żem ja ojcu na borg dawał«.

Szafarz Borycki odezwał się z cicha:
»Gdybyż choć Forgwell był został, pół licha!
Szwed, jednak ludzki; a Sztajn to syn smoczy!
Ot! znów mi kazał wydzierać wam oczy;
Tak! dać musicie, co kto ma gotówki.
Dać, — lub gwałt będzie, żadnej tu wymówki.
A jeśli Szwedom kwota nie doważy,
Srebro i złoto zabiorą z ołtarzy«.
Gdy skończył, wszyscy zamilkli do koła,
Zgroza sędziwe pomarszczyła czoła;
Młódź, co po izbie rozpierzchnięta stała,
Na Bartłomieja spojrzenia zwracała.

Ten milczał, ale wszystkich mierzył wzrokiem.
Czasem brwi ściągał na czole szerokiem;
W oczach mu iskry tlały tajemnicze,
Uśmiech mu zgasły wracał na oblicze;
Patrzy w nich; patrząc, zda mu się, że słyszy
Tętna ich serc. Tak przeszła chwila ciszy.

Ale Marcowicz burmistrz, człek poważny,
Wstał, bo choć sercem wielce był odważny
I akta nawet raz podarł sędziemu,
Kiedy w nie wyrok wpisał przeciw niemu —
Musiał tu jednak tę rzecz mieć na względzie,
Iż niebezpiecznie na jego urzędzie
Słuchać spraw takich i rozmowy toku,
Zwłaszcza — gdy Sztajn go ciągle ma na oku
I radby pewnie zrzucić go za karę,
By na ten urząd posadzić niezdarę;
Więc *cauta mente* lękając się gromu,
Pożegnał braci i poszedł do domu.

Miejsce to zajął Bogdajłowicz stary,
Prarajca, bogacz, mąż gorącej wiary,
I rzekł siadając: »Nędza nie ustanie!...
Szwed Luter, na nas judzą go Arjanie,
Szlichting i Florek: oba z biesem w spółce,
Infamy! — niegdyś już już na szypułce, —
Kryli się jeno po djabelskich norach;
Dzisiaj w ogromnych u Sztajna faworach,
Jak kruki wciąż mu krakają nad głową:
»Drzyj mieszczan! ten ma to — a tamten owo!«

A Wielogłowski, co u Gadowicza
Mieszka, ten także pyska im użycza.
I znać nie lekce Sztajn go sobie waży,
Kiedy broń miejską oddał jego straży.
Znam ja ich! — co dnia widzę, jak z Dąbrowej
Przyjeżdża Szlichting do bramy zamkowej.
Otóż, sławetna braci! moja rada:
Trzeba nam zbyć się tych dwu i sąsiada.
Gdyby ktoś... gdyby w ziemię wgryźli zęby...
Lutra usłużnej pozbawimy gęby«.
Rzekł i rękami wskazał ku podłodze,
I siadł na stołku zagniewany srodze.

»Tak!« krzykną wszyscy, — »wszystkim to rzecz
[znana!«
Cyrus zaś dodał: »Tak, był dzisiaj z rana
»I czart wie, co on Sztajnowi poradził,
Rzekł Bogdajłowicz, — bo Szwed zaprowadził
Podwójne straże u baszt i ratusza«.

Stach Krawczyk krzyknął: »Patrz! niewierna
[dusza,
Patrz! ale myśl mi przychodzi wesoła...«
Rzekł ciszej, patrząc z uśmiechem do koła:
»Chłopcy! ja gotów, — dwu albo trzech jeszcze,
A tak się z tymi Arjany popieszczę,
Że Sztajn im będzie musiał *requiem* sprawić...
No cóż? gdy zgoda — to by nam nie bawić,
Lecz do Dąbrowej...«

»Oto człek bez strachu,
Rzekł Bogdajłowicz, — dzielniście mi, Stachu!
Chwat organista!« ... Tak Krawczyk był zwany
Przeto, iż celnie podpalał organy [7]),
Te zaś w strzelnicach wisiały na pasach
Dla gęstych strzałów w szturmowych zapasach
U baszt.

Stanisław wielce się napuszył,
Ale z młodzieży nikt ani się ruszył;
Czekali, co im Bartek na to powie.
Lecz on znać wtedy inną myśl miał w głowie,
Zmarszczył brwi, o dłoń oparł się niedbale,
Dumał i wzrokiem błądził po powale.

Stanisław był tem urażon widocznie,
Więc wstał: »Cóż, chłopcy, — znów do młodych
[pocznie, —
Ze mną nikt? — A cóż Bartłomiej tak milczy
I wzrok ma dzisiaj jakoś taki wilczy?
Bartku! co w górze szukasz tam oczyma?«

Bartek wstał: »Duszy, krwi — bo w was jej
[niéma!
Że też wy zawsze jedni i ci sami!
Gdy bieda, przyczyn szukacie za drzwiami,
A ani przez myśl nie przeszło nikomu,
Że tu przyczyna, w mieście, w własnym domu.
Szlichting i tamci? — tfu! — trzy ząbki żmii,
Która łbów tysiąc ma u głodnej szyi,

A cała tak się rozległa w tym grodzie,
Że nas i bez nich z żywota wybodzie.
A gdybyśmy też, jakeśmy tu razem,
Podali sobie dłoń, potem żelazem
Jutro w noc szwedzką sprawili załogę, —
Lecz tak, by z miasta nie puścić i nogę?
Cóż ojce? bracia! — pomyślcie no szczerze!
Ja — jako w Boga w dobry koniec wierzę.
Wszak oni ludzie! a choćby szatany,
To djabeł straszny tylko malowany,
Lecz gdy ma serce w piersi a krew w żyłach,
I w stu pancerzach równy mi na siłach.
Spójrzcie no! — z młodych każdy już gotowy
Pójść i rznąć. Ojce! skińcie jeno głowy
Na znak, że zgoda i po waszej woli,
A w trzy dnie koniec Lutrom i niewoli«.

Stał, w krąg oczyma ognistemi wodził,
Czuł, że tu wszystkich w samą pierś ugodził.
Piorun słów jego padł tak niespodzianie,
Że osłupieli z podziwu mieszczanie,
I między chęcią, nadzieją i trwogą
Chwiejni, nic jeszcze orzekać nie mogą.
Więc milcząc, wszyscy topią się w zadumie,
Coby rzec na to. — W młodzieży zaś tłumie
Był szmer... tak w borach naszych szemrzą
[drzewa,
Gdy się na burzę niebo przyodziewa
W chmury, a ponad sine gór załomy
Skrawo dalekie wybłyskują gromy.

Lecz w tem Suszycki: »Jezus! on oszalał!«
A Krawczyk gniewny: »Nie! on pałkę zalał
Miodem, i miód go owiał taką jędzą...«
A ten im odparł: »Pijany'm — lecz nędzą,
Hańbą, niedolą, wszystkiem, co tak boli,
Że człowiek raczej zginąć niż żyć woli«.

I huczne wstały krzyki i poswarki,
I możeby się chwycono za barki,
Bo młódź, przejęta Bartłomieja sprawą,
Groźna pięściami, stanęła przed ławą,
Ale Szydłowski, patron kollegjaty,
Wstał i zawołał: »*Silentium*, warjaty!
Wściekli! z rozumu obrani do nitki.
Tfu! Krawczyk stary a pierwszy do bitki —
Wstyd!« — Wszyscy go też chętnie usłuchali,
Więc pan Szydłowski sprawę ciągnął dalej,
I rzecze: »Stachu! siądź, daj pokój zwadzie!
Każdemu wolno podnieść głos w poradzie:
Młody on, ale widzisz, pierś ma zacną,
Pierś, jakiej w świecie nie nadybiesz łacno.
A ty znasz, Bartku, koniec twojej chęci?
Oj! staniesz ludziom w przeklętej pamięci
Za myśl, co w sercu gorącem się rodzi,
Że Sącz od Szweda sam się oswobodzi.
Młodziście, cześni, lecz niesforne głowy,
Każdy z was lecieć na oślep gotowy;
Cóż z tego? garstka, zginiecie jak muchy, —
Za to nas potem Szwed rozbije w puchy,
Wyrznie i miasto zatopi w płomieniu,

Że nie zostanie kamień na kamieniu.
Baczcie wy, — jaki koniec tu być może:
Gród i kościoły w popiół — a nam noże!
Jam stary, i żyć jeszcze mi niewiele,
Śmierć mi nie straszna, lecz mam duszę w ciele,
I lękałbym się stać przyczyną jatek,
Sieroctwa dzieci, płaczu żon i matek;
Potem ich klątwą obciążon jak trądem
Nie śmiałbym stanąć tam — przed bożym sądem«.

Na to Suszycki Jędrzej, pisarz miasta,
Referent, skrybów wzór i protoplasta,
Rad, że nakoniec do słowa przyjść może,
Rzekł: »Tu rzecz miejska, — w niebie sądy [boże.
Otóż gdy taki obrót wzięła rada,
To ja do zdania mojego sąsiada,
Minąwszy już grzech, który zgubi duszę,
To jeszcze dodać z konieczności muszę,
Że od wojaczki wolni są mieszczanie, —
Tak w konstytucjach powiada pisanie.
Znam Saxon, bracia! rzeczcież mi, gdzie stoi:
»»Za sprawę kraju niech się mieszczan zbroi?...««
Szlachcie należy wojowania sława;
Za to ma większe przywileje, prawa
I rząd. Toż gdy jej niepilno do boju,
Nam naszych rzeczy doglądać w pokoju,
Jak przykazuje konstytucja nasza —
Zresztą mieszczanin nie jest do pałasza«.

Lecz Bartek przerwał: »Zostaw waść to pole!
Wy znacie prawo, a ja znam niedolę;
U różnych majstrów braliśmy nauki:
Mnie łzy uczyły, was ławnicze sztuki.
Toż nieuczciwie sztucznych słów przecherą
W sumieniach braci gmatwać prawdę szczerą;
Mędrkuj ty sobie w sądach i na ławie,
Tu milcz! bo krzywd tych nie pisano w prawie!
To zaś, co grzechem wy mienicie u mnie,
Szydłowski! z tem ja śmiało legnę w trumnie,
Bo wiem, że za ten grzech Święta Królowa
Najlepsze miejsce u Boga mi chowa«.

»Hejże na Lutra! hejże na załogę!«
Śród młodzi głosy podniosły się mnogie.
Ale wtem dzwonnik Nikburowicz wpada,
I grabarz Trela Dzwonnik wrzasnął: »Biada!
Szwedzi rabują kościół Małgorzaty! [9])
Gdzie jest Szydłowski, patron kollegjaty?«

»Jakto? — śmieliby?« Szydłowski zawoła.
A dzwonnik rzecze: »Wpadli do kościoła
Z Florkiem; dwóch starszych przywiodło tę rotę
I nuż poczynać djabelską robotę.
Najpierw świętego Jakóba kaplicę
Przetrzęśli. Florek z ołtarza zdjął świéce
I wszedł w grób, (który Trela mu otworzył),
Mówiąc, że tu ksiądz Kustosz skarby złożył
Pani Stannowej i podstarościego. [10])
Skarbów nie było. Szli więc do drugiego...

Ten Florek, bogdaj zdechł ten szatan dumny!
Kopał nogami naszych ojców trumny,
A z sarkofagu księdza Fuzorjusza [11])
Zdarł epitafia łotr, — piekielna dusza!
A co nas jeszcze nalżył, naprzeklinał!...
Jam go upomniał, — ksiądz go upominał —
Aż jeden z starszych gniewem się rozpalił
I za kark Florka z kościoła wydalił.«

»O! Jezus, Marja i pańscy anieli!
Krzyknął Szydłowski, i to przy niedzieli!
Ha! iście już Bóg swego gniewu skąpił,
Gdy pod tym łotrem grób się nie rozstąpił.«

»Tak! odparł Bartek tak, mości patronie!
O miasto wam lęk, że pożarem spłonie?
O kościół pański strach wam, że zaginie?!
Jeszcze nic, — Szwed go znieważył już ninie,
A co? nie wyrznąć? — Stójcie! krótkie słowo;
Nie idźcież! jeszcze mam ja piosnkę nową:
Jużeśmy zbici, zdarci i żebracy,
Nic nam z modlitwy, nic nam z naszej pracy!
Jeszcze nam żołdak zbestwiony i srogi
Pohańbi wkrótce zacne domów progi,
Cześć żon i córek pod swe nogi rzuci!
Miasto zostanie... kto wam cześć powróci?!«
Umilkł i usta wykrzywił do śmiechu,
Resztę słów w krótkim pochłonął oddechu,
Ale wtem stary Szydłowski zawoła:
»Trela, — hej! dzwonnik, chodźmy do kościoła!«

»Co tam pomożesz?« — Bartek mu odrzecze, —
»Czy psem u proga legniesz tam, człowiecze,
By warczyć i gryść gdy się wróg przybliży?
Zostań! Szwed pańskich nie lękał się krzyży,
Kopnie cię nogą jak psa bez litości!...
Ha! Szwed u ciebie na wilję zagości,
W oczy ci zadrwi, gdy świętym opłatkiem
Będziesz mu szczęścia życzył z przyszłem lat-
[kiem...
O! święta Panno z aniołami Twymi,
O! Kingo, święta patronko tej ziemi,
Rzeczcie wy starcom, co nożami straszą,
Że chcecie boju — bo ta ziemia waszą!«

Pośród tej wrzawy wszedł niepostrzeżony
Jacek, staruszek biały i skulony.
Słysząc to, u drzwi stał o laskę wsparty
I w Bartłomieja utkwił wzrok otwarty,
Jasny, — a gdy ten ostatnie rzekł słowo,
Zawołał Jacek: »W bój z Świętą Królową!...
O! dzieci, wielkie oglądałem cuda.
Toć wierzę, że dziś wszystko nam się uda!«

»Przebóg! to Jacek!« wszyscy zawołali,
»Wy tu?! my prawie już was opłakali« —
»Tu, dziatwo, z wami, — jak widzicie, zdrowy«
I dodał potem: »Wracam z Częstochowy!...
Idźcież, Szydłowski, gdy was kościół woła,
A wy zaś chmurne rozpogodźcie czoła
Jak ja«. — A gdy go obstąpili swoi,

Zawołał Jacek: »Częstochowa stoi!«
Poszedł Szydłowski, ci Jacka prowadzą
I na burmistrza miejscu za stół sadzą.
Jacek, tu niegdyś kupiec najcelniejszy,
Był już najstarszym i włos miał najbielszy,
I cześć za prawość. Teraz, — to cud nowy!
Przez szwedzki oboz przyszedł z Częstochowy.

I cisza, — ale Jacek wstał za chwilę,
I uścisnąwszy Bartłomieja mile,
Rzecze mu: — »Synu! niech ci Bóg pomaga,
Słyszałem! — piękna w twem sercu odwaga!...
Mnie trzeci tydzień od mego wychodu,
Wiele zaznałem i głodu i chłodu,
Bo kraj nasz pusty jakby cmentarz wielki,
Tak w nim poniszczył Szwed dobytek wszelki.
Co miast i włości pustką w gruzach leży,
Kto nie oglądał sam, — to nie uwierzy!
Bóg chciał, bezpieczne porzuciłem mury,
Szedłem przez obóz i przez Lutrów chmury;
Jestem tu. — Wieczór działa grzmieć przestały,
Zgliszcza się jeszcze z Częstochówki tlały,
Noc przeszła w modłach, a nazajutrz rano
Od Kordeckiego poddania żądano.
O! nie zapomnę nigdy jego twarzy,
Gdy z odpowiedzią wyszedł z refektarzy
I rzekł ją posłom i wstąpił na wały
Z krzyżem... wnet potem wszystkie działa
[grzmiały. —
Gdy się to działo, — na wieży kościelnej

Grała muzyka, jakby w dzień weselny
Lub święto, cudnie wdzięczne symfonije,
A tu latały kule jakby żmije...
Zgroza! co szturm on pożarł Szwedom ludu!
My stali ufni w moc bożego cudu:
Kule widziałem, co nam szkodzić miały,
O mur odbite na Szwedów wracały,
Niszcząc ich. Jedna przy niewieście padła,
Kiedy dziecinę do kolebki kładła,
I zgasła. Tako wrzał bój przez dzień cały,
A wieczór znowu działa grzmieć przestały!...

Lecz Bogdajłowicz końca niecierpliwy
Rzekł: »Tam was bronił sam Bóg — jakom [żywy!
Ależ nam rzeczcie, jak was łaska Boga
Przewiodła zdrowo przez szeregi wroga,
I jakoście się aż do nas dostali?«

A stary Jacek tak powiadał dalej:
»Kilku nas starych obsiadło armatę,
Kiedy ksiądz przeor rewidował czatę.
Był z nim Zamojski miecznik, Piotr Czarniecki,
Ksiądz Piotr Lassota i jeszcze ktoś świecki.
Przystąpił do nas i z uśmiechem w twarzy
Rzekł: »»Cóż? wy zdrowo wyszliście dziś, starzy?««
»»Zdrowo!«« odrzeklim. On stał, myślał chwilę
I rzecze do nas: »»Nie po waszej sile,
Ojcowie, ten bój, a radbym was zbawić.
Do prowincjała mam z listem wyprawić

*

Księdza, toż i wy idźcie z nim, ojcowie,
Bo wam do szturmów niedomaga zdrowie««.
I serca nam się jęły bardzo smucić;
Jużeśmy do nóg chcieli mu się rzucić,
By nam dał zginąć tu, a on nam powie:
»»Są u was dary tak cenne jak zdrowie.
Rąk silnych brak wam — macie serca, dusze,
Usta, — tych użyć na dobre ja muszę!
Idźcie wy, ojce, każdy w swoje strony,
Idźcie! — wzywajcie ludzi do obrony;
Idźcie i mówcie, coście tu widzieli,
Mówcie, że z nami Marja i anieli!...««
To rzekłszy, dał nam święcone szkaplerze
I błogosławił w drogę wszystkim szczerze;
A kiedy na dół spuszczono nas sznurem,
Staruszka, co tam mieszkała pod murem,
Konstancja, nogi owiła nam w szmaty
I po za szwedzkie w noc przewiodła czaty...
Tyle'm ja doznał Boga łask i cudu! —
Szedłem i w drodze mówiłem do ludu...
Słuchali i szli w bój...«

»A toż nie cudem
Bóg się niedawno objawił przed ludem?«
Zawołał Bartek. — »Kilka niedziel temu,
Siedm kulek piersi przeszyło jednemu
Z pancernych. Długo leży w krwi i kona,
Wtem szwedzkiej jazdy nadbiegła szkadrona;
Patrzą i zgroza zdjęła ich do kości,
A więc doń wszyscy strzelili z litości

I polecieli. — Zachód już był blisko,
Wracają Szwedzi na to stanowisko;
Stanęli, dziwo! patrzy się szkadrona:
On jeszcze we krwi tarza się i kona!
Zwrócili; — strach ich począł gonić...
O! bo z nas ducha szablą nie wygonić
Ni kulą! I nam też Bóg przepaść nie da!...
Hej ojce! bracia! jutro w noc na Szweda!«

Stał i nalegał, przy nim młodzież cała
Sciskała pięści i »na bój!« krzyczała;
Jacek zachęcał i ręką i głową,
I wielka wrzawa wszczęła się na nowo.
Nawet Stach Krawczyk, choć pierwej się puszył,
Stanął przy Bartku, tak go Jacek skruszył.
Już się Barycki o miasto nie trwożył
I Bogdajłowicz za tem się przyłożył,
Kiedy wtem pośród zgiełku i okrzyków
Podniósł się jeden z miejskich korzenników,
Fryderyk, — tego dziad był Niemcem z rodu!
Lecz on już całkiem przylgnął do narodu
Polaków. — Ten dłoń teraz w górę wznosił
I panów mieszczan posłuchania prosił.
A gdy ucichli, skłonił się i rzecze:
»Prawda! iż wielką mamy Boga pieczę!
Lecz gdzie bój z siłą nierówną zachodzi,
Bracia! i Boga kusić się nie godzi!
Prawda! że taką rzecz nie miło zwlekać,
Lecz zawsze radzę do wiosny zaczekać;
Tak, gdy nas Szwedzi, nie daj, Boże! zbiją,

Dziatwa i żony w lasy się ukryją;
A teraz szwedzkie co nie dotną noże,
To mróz wytraci, albo głód przemoże«.

»Ot! rzekł Suszycki, — ot Fryc! mądra głowa!«
Ale Fryc ciągnął: »Panowie, dwa słowa!
Widzicie! trzeba, nim się w czyn co ziści,
Mieć tego czynu pewność i korzyści.
Na cóż nam przeto wszczynać gwałt szalony,
Kiedy Sącz będzie i tak uwolniony.
A wiecie wy też, co się w Krośnie stało?
Tam Wojniłowicz wziął załogę całą [13]),
Zabił Prackiego i tu się już zbliża.
A czy wy wiecie o wieściach ze Spiża?
Tam nasz Starosta formuje piechotę,
A pan Kochowski będzie wieść tę rotę.
A Wąsowicze, a chłopów drużyna?
Wszystkie te wieści mam od Arjanina:
Tak! — lecz ja zwykłem chować wieści zawsze,
Aż chwile dla nich zdarzą się łaskawsze.
Teraz, gdy rzecz ma taki słuszny powód,
Podaję jako rady mojej dowód.

»Słusznie Fryc mówi! zawołali starzy.
A Bartek cały spłonął ogniem w twarzy,
Zgrzytnął, a potem pierś zacisnął silną:
»Oj Boże? jęknął, toż to im nie pilno!«
I na ramiona gniewny rzucił odzież,
Wyszedł, a za nim wyszła wszystka młodzież,
Gniewna i chmurna i pełna płomieni.

Wyszedłszy z Bartkiem, szeptali coś w sieni,
I wnet cechowi ani się spostrzegli,
Jako się młodzi po mieście rozbiegli.

A tam za stołem jeszcze Gil z ławnikiem
I Jacek spory toczył z korzennikiem
O bój; Stanisław nie długo już bawił,
Poszedł za Bartkiem i resztę zostawił.

ODKRYCIE.

Już północ, — ogień w kominku się żarzy;
Basia usiadła, pogląda i marzy.
Kiedy stawiała dzban na lawatorze,
Dziadkowie dawno już spali w komorze.
Lecz znać do Marji Panny się modlili,
Bo jeszcze dla niej klęcznik zostawili,
I zostawili koroneczkę dla niej,
By ją zmówiła do aniołów Pani,
I lampę. Więc też Basia cicho wstała,
Wzięła koronkę i modlić się chciała;
Lecz się zwróciła do okna powoli,
Pogląda, szuka gwiazdki swojej doli,
Dumając; — i tak długo modre oczy
Bezwiedna w sinej topiła przeźroczy.
Odeszła; — dziwno! ta sama świetlica,
I lampa sprzęty te same oświéca,
I wszystko stoi tak, jak dawniej stało,
A jej się wszystko piękniejszem wydało:
I rzeźby gładsze, i powały bielsze,
I twarze świętych w obrazach weselsze;

I nawet Chrystus klęczący w ogrojcu
Mniej się na kielich skarży Bogu Ojcu,
I święta Panna uśmiecha się do niej,
I Kindze nie strach, choć Tatar ją goni;
Czar jakiś dziwny rozlał tu się w koło,
Toż jej tak błogo, tak jej tu wesoło!
Z jej ócz pół nieba wyziera od razu,
Tyle w nich światła i szczęścia wyrazu.

Wtem znać po czole przebiegła myśl pusta,
Bo się prześlicznie uśmiechnęły usta,
I wnet radosna z dziwnem czuciem w łonie
Mirt i rozmaryn rwała w białe dłonie
Z doniczek; potem lekko u zwierciadła
We włosy to mirt, to rozmaryn kładła.
A gdy się lubo uśmiecha, gdy stroi,
Cudny sen dusza z cicha sobie roi
O nim, — o lubym, — ach! a co pomarzy,
Jak twarz w zwierciedle odbite w jej twarzy.
Upięła kwiatki, teraz składa dłonie,
Kłania się myśląc: »Tak dziadkom się skłonię,
Tak drużkom...!« Słucha, słyszy jakieś tony,
Niby muzyka, — niby mszalne dzwony.
On z nią; — już idą, a przodem kapela,
Skrzypki, bas, kobza i cymbał i żela.
W koło znajomi we świątecznych szatach...
Znowu stanęła i przebiera w kwiatach;
Po chwili rzuca wszystko, — bo już nudzi...
Takie to dziwne szczęście, gdy się zbudzi.

Usiadła, głowę oparła na dłoni,
W oczach myśl, myślą gdzieś daleko goni...
I posmutniała: W obcym kędyś kraju,
Gdzie nie zna ludzi, mowy i zwyczaju,
Kędy dzień chmurny, w noc księżyc nad skały
Wschodzi, jak lampa z alabastru, biały,
A nad borami gęsta wisi para...
Jezioro — brzegi... tam domek Oskara!
I widzi wszystko, jak on opowiadał,
Zna dom, jezioro, jodłę, kędy siadał,
Dolinę kwieciem ubarwioną świeżem,
I bór, którędy błąkał się za zwierzem,
I jar, gdzie czysta jako łza — krynica —
A w niej obojgu ich odbite lica.

Lecz zadumana rzekła wnet: »Mój Boże!
Gdy mnie nie będzie, kto babce pomoże?
Kto dziadka głośnem zabawi czytaniem?
Biedna ja! — biedni! jak my się rozstaniem?!«
Żalem i płaczem wezbrało jej łono;
Już przed nią stoi rówienniczek grono,
Krewni, znajomi z miasta i po siołach;
Wszystko, gdzie była, ołtarze w kościołach,
Obrazy świętych, gdzie składała modły,
Miasto i drogi, co na pola wiodły,
I brzeg Dunajca, i błękit gór siny,
I te od jodeł ciemne rozpadliny;
To wszystko teraz niby płaczek rzesza
Chwyta się serca i na pierś się wiesza,
Trzyma ją dziwnie i z nią razem szlocha:

Jak ona wszystko, jak ją wszystko kocha!
W dali — podobny do gradowej chmury —
Mignął się Bartek smutny i ponury.

W łzach, ale już się marzeniem promieni:
»Może mnie kiedyś Bóg w jaskółkę zmieni;
Nieraz mi stara cyganka mówiła,
Że się ptaszyną dusza urodziła,
I gdy zatęskni, skrzydełek dostaje,
I może lecieć, w jakie zechce, kraje,
I nie ma dla niej ni gór ani morza,
Jeno niebiosa! O! ja ptaszka boża!
Rzucę go... siędę sobie w ogródeczku,
Zaśpiewam dziadkom, gdy będą w ganeczku,
I wszystkim naszym od serca zanucę
Ptaszyna! — i znów do Oskara wrócę...
Śni..: lecz jej serce w sen mięsza pytanie:
»Kogo ze swoich ptaszyna zastanie?...«

I smutna głowę do stołu pochyla:
Gdyby spoczynku — gdyby drzemki chwila!
Przymknęła oczy i już snem oddycha.
Spiąc, jakieś słowa wymawiała z cicha:
»Rzną...!...« nie wyraźnie z ust się jej wyrwało,
»Rzną!... Oskar...« rękę zacisnęła białą.
Budzi się; budząc, w przerywanej mowie
Głośniej już słowo rzucała po słowie...
Przetarła czoło...

»Mówił... że ma panów

Srogich... tak!... mówił—gorszych od szatanów...
Smutnym był; mówił, że się bardzo smuci;
Mówił, że wojsko i króla porzuci
Dla mnie«... I myśli znów: »On takim panem;
Kocha i dla mnie chce zostać mieszczanem.
Mówił mi«... Strasznie błyszczały jej oczy;
Wstrzęsła się, wstążka spadła z jej warkoczy
Na pierś; lecz dalej przypomina, snuje:
»Ha! on mnie mówił, że mnie wyratuje
Z krwi!« I stanęła dzika, odmieniona,
I patrząc szepce: »Ulica czerwona,
Krew... uciekają ludzie... w dzwony walą...
Ach!... nasze miasto Szwedzi rzną i palą!«
I tchu jej brakło i osłabła całkiem;
Chciała iść, oczy migły strasznem białkiem.
Chwiejąc się, rękę do Marji obrazu
Podniosła; ręka opadła jak z głazu:
»Ratunku, Matko!« Nagle trupio sina
Krzyknęła: O! o! Marja mię przeklina!«
I padła; lecz wnet z rękami u czoła
Zrywa się i w głos: »Mord!—rzeź w mieście!« woła.

»Mord!« głos jej dziki rozległ się po domu.
Porwał się ze snu Janusz jak od gromu,
Zarzucił odzież, w pół Basię porywa,
Za nim drżąc wbiegła staruszka sędziwa;
Lecz Basia z rąk się wydziera szalona,
I »mord! rzeź w mieście!« krzyczy z głębi łona,
Lata po izbie, Janusz znów ją chwyta,
Tuli i wstrząsa, i pieści i pyta.

Ona nic, jeno jęczy nieustannie:
»Mord! — rzeź!« i patrzy ku Najświętszej Pannie
I pokazuje obraz ręką siną,
I drży a z ócz jej gorące łzy płyną.

Zmarszczył brwi Janusz, stał, nie myślał długo;
Nóż porwał w jednę, strzelbę w rękę drugą,
Otarł pył i proch obejrzał w panewce,
I rzekł do babki: »Zostań ty przy dziewce,
Ja wyjdę«. Wyszedł, staruszka została
I tuląc Basię razem z nią jęczała.

Lecz wrócił Janusz: »Czy weszło w nią licho?
W mieście śpią wszyscy i jak w grobie cicho;
Ni psa na rynku, jeno tam w gospodzie
Coś kilku naszych zasiadło przy miodzie,
A ta »mord« wrzeszczy. Weź z wodą kropidło,
Poświęć jej czoło, bo to snu mamidło«.

Lecz Basia nagle zasłoniła oczy
I jękła: »Dziadku! wam krew szyję broczy,
Wy trup! Mnie Matka boża duszę wzięła
Z piersi; tę moją duszyczkę przeklęła;
Lampą mi ogień zapaliła w głowie
Na rzeź. Idźcie wy, to wam Oskar powie
Jak mnie. No chodźmyż — ach! jacy wy trudni!
Chodźmy, on na nas czeka tam przy studni«.
Chce iść; — ci zgrozą struchleli oboje,
A stary Janusz załamał rąk dwoje,
Spłakał i jęknął głucho: »Moje dziecię!

Tyle mojego było na tym świecie!
Strasznoś mi, Panie, dotknął głowę starą!«
Lecz wnet za rękę wziął ją: »Chodź, ofiaro!«
Chodź, nawiedzona czartem, chodź, ty sowo!
Chodź! ludziom w karczmie krzycz: ogień nad [głową!«
Daremnie babka, by został, błagała,
Daremnie Basia z rąk się wydzierała;
Janusz ją silnem opasał ramieniem
I do gospody przeniósł ją podsieniem
Stanął w drzwiach: »Bracia, hej! tu widzę rada?
Milczcie no! teraz niech ta odpowiada!«

Wnet go mieszczaństwo obstąpiło kołem.
On między nimi stał najwyższy czołem
I bolem. Krótko powiedział rzecz całą,
Jako usnęli, co się z Basią stało.
Słuchali; mowy nie przerwał nikt z cześci
Dla Basi i dla Janusza boleści.
»Teraz mów!« kończąc, wstrząsł nią, że aż jękła,
Z rąk się wyrwała starca i uklękła.

»Stójcie no!« — Jacek Janusza łagodzi —
Niech z Bogiem duch się w dziewczynie odrodzi!«
I robiąc nad nią prawicą znak krzyża,
Sam do klęczącej Basi się przybliża.
A gdy się wpatrzył, rzecze: »W jej źrenicy
Czuć strach okropnej jakiejś tajemnicy;
Coś wie; tu zgroza w duszy! to nie mary,
Nie sny; tej głowy dotknął anioł kary.

Tu jakieś wielkie nieszczęścia nam grożą;
Ona wie, lecz my dojdziem z wolą bożą«.
I zwolna Basię podniósł; ona wstała
Cicha, i ręką szkaplerz pokazała,
Który z Najświętszą Panną z Częstochowy
Spadał u Jacka na żupan perłowy.
Jacek zaś na to z cicha: »Czy widzicie?
Mego szkaplerza nie lęka się dziécię,
Ciągle spokojna na świętość spogląda;
Czystą jest, ale znać posiłku żąda«.
Ręką więc dał znak tym, co przy nim stali,
By się do Basi teraz nie zbliżali,
Zdjął szkaplerz, na głos począł mówić »*Ave*«
I świętość zbliżał przed jej oczy łzawe;
Nagle »O Marjo! ocuć ją!« zawoła,
I szkaplerz Basi przycisnął do czoła.

Drgnęła; — a gdy tak Jacek szkaplerz trzyma,
W krąg zdziwionemi spojrzała oczyma.
Znać, że już duch w niej cudownie się budzi,
Bo patrząc wszystkich poznawała ludzi.
Po chwili senna i jak posąg biała,
Sama u czoła ten szkaplerz trzymała
Lewą, a piersi ujęła w dłoń prawą,
Jakby z nich chciała wydrzeć tę wieść krwawą.
I przemówiła, lecz tak sucho — zgrożno,
Że się mieszczanom w duszy stało mroźno:
»Oskar mnie kocha!... sam to mówił do mnie.
Ja rzekłam, niechaj dziadków prosi o mnie.
Tuląc mnie, dziwa powiadał mi srogie,

Tylko ja sobie przypomnieć nie mogę,
Choć dzwonią we mnie jak pszczoły te słowa;
Ach! bo też dziwnie słodka jego mowa...«
I uśmiechnięta stała jak dziecina;
Lecz znać już sobie wszystko przypomina,
Bo pokraśniała; wnet z dzikszym ócz blaskiem,
Rzekła: »Pojutrze, z pierwszym zorzy brzaskiem,
Mówił, że trąbka na zamku uderzy,
Podpalą miasto, i każdy z żołnierzy
Ma was rznąć; — ale ja się nic nie boję!
Bo on ocali mnie i dziadków dwoje...
A do mnie ciągle mówił: »»Życie moje!««
Mówił tak dziwnie słodko, żem słuchała,
I to, co o was mówił, przepomniała...
Za to mi Matka boża duszę wzięła
Z piersi i moją duszyczkę przeklęła!«
To rzekłszy; jękła gwałtownie i zbladła,
I w ręce Jacka zemdlona upadła.

Śmierć była w izbie. Basi dzikie słowa
Pękły nad nimi jak wieść piorunowa,
Którą w dzień sądu struchlałemu światu
Zagrzmią anioły na chmurach z szkarłatu.
Bez myśli, bez dusz stoją skamienieli,
I topią oczy w jej oblicza bieli,
Niemi, jak z grobów wyrzucone mary, —
A najokropniej bolał Janusz stary!
Ale się pierwszy ocknął: »Rzeź! słyszycie?
Ha! to kark za kark, a za życie życie!
Zbudźcie się! nie czas teraz do frasunku,

Bóg dał rąk dwoje, — myślcież o ratunku!
Tu śmierć tak stoi, że jej nie ominąć,
Jeno nam wyrznąć Lutrów albo zginąć!...
Ha! ciężko mnie Bóg zgnębił tą ofiarą,
Lecz mi we dwakroć umocnił dłoń starą!«

Jacek zaś, Basię trzymając, rzekł na to:
»I wyrzniem Lutrów, ja wam ręczę za to!«
Więc Janusz znowu: »O! jeszcze nadzieja!
Niech kilku śpieszy szukać Bartłomieja,
Do Marcowicza niech się kilku ruszy,
Bo i to człowiek w ogniu kutej duszy.
Wy reszta w ciszy wracajcie do domu,
Ale sza! słowa nie pisnąć nikomu.
Bogiem niech każdy serce uspokoi
I czem na jutro niechaj pięść uzbroi.
Lecz, bracia! milczeć — milczeć przy niewieście,
Bo by nam krzyku narobiły w mieście.
Ja moją Basię wezmę do kościoła«.
Szli więc do domów, nasrożywszy czoła,
Chmurni, a Janusz Basię w płaszcz owinął,
Wyszedł i we drzwiach kollegjaty zginął.

RZEŹ.

Wieczór się zbliżał; niebo jasne, czyste.
Na Tatrach słońce stanęło ogniste
I ogniem spłonął Tatrów łańcuch biały.
W ogniu Dunajca ścięte w lód krzyształy,
Baszty i wieże i obronne mury
Świeciły blaskiem wieczornej purpury;
W borach mrok siadał. Tak się z dniem żegnało
Słońce... malując okolicę całą...
I zaszło. Tatrów królewna, Łomnica,
Sama słoneczne zachowała lica,
Ale wnet senna zsiniała i zbladła,
I noc na miasto i na góry padła.

Ledwie promienie zgasły na Łomnicy,
Dzwon z kollegjackiej ozwał się wieżycy
I jękły wszystkie dzwony po klasztorach;
Smętne ich głosy płynęły po borach,
Turniach i skałach wzdłuż Dunajca brzegu,
I aż ku Wiśle w dal łanami śniegu.

Właśnie szedł z Jackiem Janusz od kościoła.
Stanęli, kornie pochylili czoła
Przy »*Ave*«; potem, krzyż zrobiwszy dłonią,
Rzekł Janusz: »Hej — hej! w całej Polsce [dzwonią!...
Zda mi się, że w niej wszystkie dzwony słyszę,
Taką przecudną Bóg dał na noc ciszę«.
I tak ze sobą rozmawiając dalej,
Do węgierskiego muru się zbliżali,
Gdzie z baszt broń straszna błyskała: organki.
Otwarte stały kutej bramy szranki;
Tędy straż czeladź puszczała po siano,
Które w stodołach za miastem składano
Od ognia. Tłumnie szły po siano dziewki,
Śmiejąc się, albo w głos zawodząc śpiewki.
Szwedzi zaś, którzy mieli w bramie straże,
Przejść im wzbraniali, groźnie srożąc twarze.
Lecz dziewki pewne, że to tylko żarty,
Chórem się z szwedzkiej naśmiewały warty,
Prosiły; ale wnet wolnym przesmykiem
Wszystkie do stodół poleciały z krzykiem.

Jacek to widząc zauważał z cicha:
»Baczcie no! Szwed się nie spodziewa licha.
A czy widzicie? tam konne patrole
Sam Sztajn na objazd wyprowadził w pole«.
Ale wtem Janusz Jackowi dłoń ścisnął:
»Jacku, patrz! płomień na Morgani błysnął«.
Ogień rósł, góry, doliny i lasy
Groźnej w płomieniach nabierały krasy.

*

Wszystkie obłazy wzdłuż Dunajca brzegu
Do pół czerwone wyrastały z śniegu:
»Ha! to znak Bartka! rzekł Jacek, ja śpieszę
Do Marcowicza; — on już zebrał rzeszę«.

Odszedł, a Janusz, patrząc na płomienie,
Wszedł między Szwedów na bramne podsienie
I rzekł: »Panowie Szwedzi, aj! figlarze,
Straszą dziewczęta; figlarze Bóg karze!«
Śmiejąc się dodał. Szwedzi radzi temu,
Odpowiadali żartami staremu.
Lecz wtem od strony ogniowych sygnałów
Gruchnęło kilka oddalonych strzałów.
Gdy straż broń chwyta, bacząc co to znaczy,
Janusz pośrodku stanął i tłumaczy:
»To nic! — widzicie, — w naszym górskim kraju
Wypalać płonie mamy we zwyczaju,
Bo w popielisku po deszczu we wiośnie
Trawa i pasza we dwójnasób rośnie.
A ten huk, który strzałem się wydawa,
To djabła z wichrem po skałach zabawa;
Jodły on z takim wywala łomotem.
Wierzcie mi, ja z tym obeznany grzmotem«.
Broń więc złożyli, ufni starca słowu,
I rzekli, że chcą dziewki straszyć znowu,
A Janusz rady, że baczność rozegnał,
Grzecznie się w bramie ze strażą pożegnał
I szedł do domu.

Na skręcie przesmyka
Nikburowicza przydybał, dzwonnika.

Ten stanął i chciał znów, pełen frasunku,
Mówić o Florka wczorajszym rabunku,
Ale mu Janusz nie dał przyjść do słowa,
Mówiąc: »Dzwonniku! o tem później mowa.
Teraz niech wasze idzie na dzwonnicę,
I czekać!« — Rzekłszy, zwrócił się w ulicę
Do dom. I cisza powróciła w mury;
W dali gorzały niebiosa i góry.

A tam przed kruchtą kollegjackiej fary
Siedział skulony Piotr, zakrystjan stary.
Siedział i marsem u nagiego czoła
Zabraniał ludziom wstępu do kościoła.
Lecz przez otwarte na oścież podwoje
W głębi przy świetle widać ludzi dwoje.
Ksiądz przed ołtarzem stał, przed nim klęczała
Dziewczyna, w modłach zatopiona cała.

To Basia! — Głuchy spokój u jej czoła...
Smętna jak nocna ponurość kościoła;
Przed nią w komeszce kapłan białowłosy
Stał z wzniesionemi oczyma w niebiosy,
Modląc się. W koło ołtarze i groby,
Blask lamp i cisza, noc i duch żałoby
Oblatujący kościelne sklepienie,
Ciemne, jak Basi łzawych ócz spojrzenie.
Jej twarz wybladłą lampy blask ozłaca,
Gdy klęcząc oczy do kapłana zwraca.
Przytomna, lecz tak zniszczona w tej burzy,
Że każde tchnienie, każdy szmer ją nuży,

A kiedy westchnie, to widać z jej twarzy,
Że o głębokiej jakiejś ciszy marzy.
Babka ją Kindze poleciła świętej,
Gdy ten czar straszny z jej duszy był zdjęty.
Janusz miał przywieźć z Krakowa dwa wota:
Głowę ze srebra i serce ze złota.

Ksiądz Kustosz nad nią uczynił znak krzyża,
A ona wstała, drżąca się przybliża
Do starca i dłoń jego z cześcią ima, —
Tak stali chwilę z łzawemi oczyma.
Ale ksiądz począł: »Basiu! biedne dziecię,
Dwie was jak córki kochałem na świecie:
Jaśnie wielmożną Stannównę, ta Bogu
Ślub uczyniła na klasztornym progu;
I ciebie, Basiu! Uczyłem was obie;
A ty... inaczej myślałem o tobie.
Lecz nie drżyj! — dodał z łagodnym uśmie-
[chem, —
Tyś nie wiedziała, jakoś żyła grzechem,
I niespodzianie padł na cię dzień kary;
Wstałaś, — wróć że mi w życie pełna wiary!«
A Basia na to: »Całą'm piersią żyła.
We mnie nic, ojcze! — przedemną mogiła;
Serce Bóg rozdarł, ogień spalił głowę,
I jak mi teraz począć życie nowe?
Wszystko'm straciła, prócz kilku pamiątek;
Nie mam nic, cobym wniosła na początek,
Na dzień, na pół dnia, na godzinę jedną.
Nie mam gdzie oprzeć moją duszę biedną,

Jak ziemia wielka!«... Tu mowę przerwała,
Patrzy na księdza cicha, smutna, biała;
Wzrokiem go pyta. Ksiądz nie odpowiada,
Tylko jej smutku głębię w oczach bada.
Więc znów poczęła sama: »Przeszłam tyle!
Wiek innym nie dał, ojcze! co mnie chwile.
Ja już nie zdołam na świecie się nużyć,
Lecz mogę i chcę, ojcze — Bogu służyć!...
Znam pannę Zofję. Starościanka Stanno
W klasztorze, — da Bóg! będzie starszą
[panną, —
Ale i ona smutną dolę miała!...
Może i dla mnie jest tam celka biała,
Może mnie przyjmą za twojem wstawieniem;
Dziadkowie moi nie pośledni mieniem,
Me wiano chętnie ofiarują Bogu,
Gdy ja ślub złożę na klasztornym progu.
A zresztą, — sam mnie ćwiczyłeś w nauce:
Nieuctwem, ojcze, ja ich nie zasmucę;
Są tam panienki i z mojego stanu,
Mój ojcze, zrób to! — daj mi służyć Panu!«

Ksiądz Kustosz smutny pogładził jej lica:
»O! niepoprawna z ciebie żałobnica!
Klasztor? obaczym, co ci Bóg przeznaczy:
Może to, — może zarządzi inaczej.
Obaczym; lecz ty nie waż się wyrzekać,
Bo wielkiej łaski dał ci Bóg doczekać!
Ocuć się, dziecię! tyś od niebios Pana
Na ocalenie miasta jest wybrana.

Zbudź się! i radość niech w twem sercu gości,
A wyrzecz się tej dla Lutra miłości!«

Wstrząsła się Basia, oczy w górę wzniosła,
Patrzy w krzyż, w oczach jej dusza urosła;
Blask miała w twarzy, i tak odmieniona
Wzięła krzyż, potem z całej głębi łona
Rzekła: »Ja, ojcze, Lutra się wyrzekam!«
Klękła i ciszej: »Ojcze! rady czekam!«
A kapłan na nią położył rąk dwoje:
»Córko, ja życie błogosławię twoje!
Bądź mocną! ludzie, co śmierci uciekli,
Błogosławieństwo przezemnie ci rzekli.
A tak gdy szczerze żałujesz za grzechy,
To wiedz, że we łzach jest źródło pociechy.
Płacz, módl się, córko, Bóg wszystko przebaczy...«
Wtem dzwon uderzył — raz — dwa —

»Co to znaczy?«
Powstała, słucha, już grzmią wszystkie dzwony.
Spojrzała; — w okna bije blask czerwony:
»Gore?!...« Ksiądz milczy... »Ojcze! czego
[dzwonią?«
Blask rośnie; ona wzrok zakryła dłonią,
Słucha, — jęk każdy serce jej rozdziera,
Chwieje się: »Ojcze, ach! ktoś umiera,
A dusza z ciała wylecieć nie może!«
Wtem kapłan ukląkł przed ołtarz w pokorze
I podniósł ręce w górę. Na oblicze
Biło mu z okien światło tajemnicze:

»Dzień sądu! — szeptał — i lud mój zbawiony!«
Dziewczę się w starca patrzy, jęczą dzwony,
A coraz mocniej blask uderza w oczy;
Za ścianą słychać tłumnie lud się tłoczy,
Szczęk broni, potem jakiś krzyk od wałów,
Potem zagrzmiała nagle salwa strzałów.

Zrywa się Basia, próżno ksiądz ją woła:
Bez tchu stanęła już we drzwiach kościoła,
Jękła boleśnie i na miasto goni,
Kędy blask łuny i szczęk słychać broni.

W mieście bój. Z straszną halebardą w dłoni
Pisarz Suszycki wprost na Basię goni.
Wzrok jego dziki, przerażone lica,
Przez plecy wiszą szabla i rusznica.
Spiesząc tak, Basi białą postać zoczył
I jak od widma wstecz dwa kroki skoczył;
Aż ochłonąwszy zawołał: »Tam w bramie
Bartek z czeladzią Szwedom karki łamie.
Od stodół — siano moje tam podpalił! —
Za dziewczętami wpadł i straże zwalił...
Zginą tam! — lecz ja, — niech ich biorą czarty!
Nie pójdę. — Basiu! kościół czy otwarty?«
Lecz na pytanie pisarzowe głucha
Basia ucieka dalej i nie słucha.

A tu w ulicę kobiety i dzieci
Cisną się; wszystko do kościoła leci.
Gędowiczowa na głos opowiada,

Że już Wąsowicz z góralami wpada.
Ich krzyk o mury dziko się rozbija,
Ale ich Basia niepoznaje, mija
I leci. Przed nią kilkunastu z bronią
Z doboszem miejskim ku rynkowi gonią.
Basia za nimi; — już ujrzała rynek,
Ratusz, gdzie stają mieszczanie w ordynek,
Zbrojni. Marcowicz, burmistrz, stał na przodzie,
Dał znak i cały oddział już w pochodzie.
Tylko Stach Krawczyk nie stanął do frontu,
Jeno pod połą coś krył nakształt lontu,
A gdy Marcowicz wiódł w zamkową stronę,
Stach się na niebo obejrzał czerwone
I zniknął. Basia chwilkę się wstrzymała,
Blada, płomieniem ozłocona cała.
Na śniegu widać krew, szwedzkie tułowy
Leżą: — tym piersi strzaskano, tym głowy.
Znać, jako z domów na alarm wybiegli,
Tak pod ciosami mieszczan pierwsi legli.
Ale ta śmierci zgroza dla niej niczem.
Ona z zwróconem w płomienie obliczem
Stoi, i zda się, że czeka skinienia
Od bijącego w niebiosa płomienia.

Nagle ją z tego zapatrzenia budzi
Krzyk i przy domu narożnym tłum ludzi.
Wielogłowskiego arjana mieszkanie
Z Januszem starsi napadli mieszczanie
I wynosili szable, strzelby, piki.
Basia raz na nich rzuciła wzrok dziki,

I jak spłoszona gołębica biała
Ku Młyńskiej bramie z rynku poleciała.

Jeszcze daleko od niej Młyńska brama.
Ulica długa, noc, a ona sama
Leci. Na prawo słychać bój się wzmaga,
Ale w niej jakaś nadludzka odwaga:
Padają strzały, kule ryją w śniegu,
Słychać szczęk; lecz nic nie wstrzyma
[jej w biegu.
A wtem przy stodół czerwonych płomieniach
W prawo tłum zbrojnych obaczyła w cieniach
Kościoła. Kościół był świętego Ducha.
Dwoje dział ogniem na czarny tłum bucha
Z muru; — ale ci, zbrojni siekierami,
Rąbią mur; w środku husarz ze skrzydłami
Jak anioł ognia połyskuje w stali:
Był to Wąsowicz z oddziałem górali.
I właśnie Basia w tej chwili nadbiegła,
Gdy się od siekier rozprysnęła cegła
I tłum z ognistym aniołem na czele
Wpadł na zamkniętych Szwedów przy kościele,
Na cmentarz. Ale Basia nic nie zważa
Na jęki za nią lecące z cmentarza.
Biegnie i oczu o nic już nie pyta,
Sercem przeczuwa, sercem wieści chwyta.
Wie, gdzie jest Oskar i wie, że on żyje —
Żyć musi, bo jej serce dotąd bije:
Zmilkłoby, gdyby on padł... »Paść nie może,
Pokąd ja przy nim głowy nie położę!«

W to jeszcze jedno teraz dziewczę wierzy,
O reszcie nie wie nic i dalej bieży.

Łuna szeroka, ponad łuną dymy.
Mur, bramne baszty, dwa czarne olbrzymy,
Znakami, jakby podwójnem ramieniem,
Wieją nad bitwą w dole i płomieniem.
A pod murami na iskrzącym śniegu
Ujrzała Basia w ściśniętym szeregu
Szwedów. Tam Oskar mignął się w przyłbicy
Z mieczem świecącym nakształt błyskawicy,
Owiany dymem rotowych wystrzałów.
Wtem widzi... z Bartkiem młódź wpada od wałów
Jak lwy, a w górze nad młodzią przyświéca
Bartkowa barda nakształt półksiężyca.
Krawczyk zaś jak czart po murach się zwija,
W ręku mu syka lont jak kręta żmija,
I grzmią co chwila Szwedowi organki,
A mur w ogniste ubiera się wianki.
Widzi to Basia i blednie jak mara,
Leci i krzyczy, gdy ujrzy Oskara!
Milknie, gdy Oskar pośród tłumu znika.
Na strzał już tylko od niej bitwa dzika,
Lecz wtem z Furmańskiej ulicy wypada
Marcowicz, a z nim mieszczanów gromada.

Złamało Szwedów burmistrza natarcie:
Złamani, w kupach biją się zażarcie.
Przez tłumy Basia przecisnąć się stara
Tam, gdzie obaczy miecz lub hełm Oskara.

Raz jeszcze trąbka wezwała w ordynek,
Lecz darmo: musiał Szwed zwieść pojedynek
O śmierć. I każdy swego tam znachodził:
Burmistrz trębacza szablą w kark ugodził,
Szydłowski strzelca w łeb uderzył młotem,
Gilowi sierżant piersi skłuł brzeszczotem;
Tego szewc Cyrus przebił halebardą,
Bartek rajtara szwedzkiego ściął bardą,
A Olexowicz zranił muszkietiera;
Pijanowskiego, gdy muszkiet odbiera,
Trącił Jameński, wziął broń i wypalił.
Bartłomiej znowu chorążego zwalił,
Gadowicz szweda zadławił kułakiem,
Browarnik walczył zaś ogniowym hakiem —
A śród nich Basia jak widmo rozpaczy
Rwie się, gdzie tylko Oskara zobaczy.

•

Już Bartek krwią się po ramiona zbroczył,
Gdy wtem Oskara blisko siebie zoczył.
»Miejsca! — zawołał — precz! ten smukły [gaszek
Dla mnie! odstąpcie wy, ha! to mój ptaszek!«
Oskar to słysząc przez tłum się przeciska,
I mieczem kręcąc nad głowami błyska;
Ten hełmem, Bartek czapką pokrył czoło,
Reszta zaś dla nich uczyniła koło.
Trzykroć w tym boju darmo się szukali,
Ale już teraz w obec siebie stali,
Gniewni obadwaj, odważni i mściwi,
I tej z pod serca krwi jednako chciwi.

Oskar miecz, Bartek silniej bardę ima,
A powitali się najpierw oczyma.

Pierwszy ciął Bartek, ciął jako w świerk smukły
I Oskarowi zagiął hełm wypukły.
Oskar się zachwiał, ciął i gniew go pali,
Bo miecz spadł tylko na bardę ze stali.
I tak śród widzów co chwila cios nowy
Szukał u obu to serca, to głowy.
Oskar zręczniejszy, ten silniejszy dłonią,
Zwijał okrutnie swą ciesielską bronią.
Szczęk tylko głuche przerywał milczenie,
A oświecały ich stodół płomienie.

Już Bartek Szweda w głowę ciąć zamierzył,
Lecz przeraźliwy krzyk wtem go uderzył.
Wstrzymał cios: Basia przelękniona, zbladła,
Z krzykiem na piersi Oskarowi padła,
I topiąc w Bartku dzikie oczy swoje,
Na hełm Oskara rąk złożyła dwoje.
Wzdrygnął się Bartek; — ona mu oczyma
Zaklęła rękę i w górze ją trzyma;
Pobladł i na bok cofnął się z siekierą,
Lecz wtem się inni do Oskara bierą.
Natarli, on stał, lecz słabo się bronił;
Więc Bartek własną bardą go zasłonił
I do mieszczanów obrócił się krzykiem:
»Stójcie! on jutro będzie katolikiem,
Dla niej; — ja ręczę!«...

Lecz Krawczyk ponury
Z rusznicą w ręku patrzył na to z góry:
»Bredzisz! Szwed żmija!« zawołał i zmierzył:
Padł strzał, — strzał w serce Oskara uderzył...
On padł.

W krew Basia wpatrzyła się blada,
Sama przy piersiach trupa cicha siada,
Padła... Tak kosą ścięta lilja pada.

Porwał ją Bartek w ramiona; »Nie żywa!«
Twarz senna, — w splotach włos na pierś mu spływa.
Patrzy w nią; jeszcze kraśne usta miała,
Kędy skrzydlata dusza uleciała
W skonaniu... U nóg jego barda leży —
W koło bój — lecz on do boju nie bieży.
Zapomniał, gdzie jest: szczęk oręży, kule,
Jęk rannych, wszystko przyjmuje nieczule.
Nie wie nic, tylko że ją w rękach trzyma,
Że mu umarła już, i że już jej niéma
Nigdzie dla niego! — i nic jak szeroki
Świat! taki w sercu poczuł ból głęboki.
Wtem Janusz stary nadszedł niespodzianie,
A z nim Wąsowicz, górale, mieszczanie.
Janusz skamieniał bolem, widząc Basię;
Zatopił oczy w jej śmiertelnej krasie,
Z ręki mu szabla wyleciała krzywa,
Od zgrozy twarz mu zdziczała sędziwa
I jęknął: »Boże! to ostatnie moje!«

A Bartek odrzekł: »Ha! twoje i moje!«
Nagle, jak by się obudził od grzmotu,
Spojrzał: — Szwed w chłopa mierzył z ban-
[delotu,
Więc Januszowi Basię zdał pomału,
Odtrącił chłopa, stał i czekał strzału.

Szwed chybił. Bartek porwał bardę z ziemi,
»Czekaj, psie!« wrzasnął piersiami całemi,
I gdy Szwed sięgał po nabój w kartuszę,
Wleciał nań cieśla jakby czart na duszę
I ciął, że z karku odskoczyła głowa.
Krwi go oblała struga purpurowa,
Lecz on nie syty tej krwi w dzikim szale,
Wpadł między Szwedów, a za nim górale
Z kosami, ale barda tam rej wodzi:
Co chwila krwawym półksiężycem wschodzi;
Tak śród kós i śród góralskich toporów
Sunie z nią jak świerk, wyniosły król borów,
A kędy ramię niby gałęź przegnie,
Słychać jęk, potem ktoś w ciemności legnie,
I głuchym szczękiem chrzęśnie zbroja cała
Nad piersią, która żyć i czuć przestała.

Szeroko Szwedzi zalegli śnieg biały,
Organki Stacha jeszcze raz zagrzmiały,
Dym buchnął i Stach zniknął w dymu kłębie,
A ostatniego Szweda Bartek rębie.
Nikt nie poprosił, nikt nie dał pardonu;
W niebo powrócił cichy anioł zgonu,

I wszystkie dusze w ręce oddał Panu
Jakoby kłosy wyzbierane z łanu.
Zdjął też i lilję ze skrzydełek jedną;
Białą, prześliczną Basi duszę biedną,
A dając Bogu, prosił za nią: »Panie!
Ta lilja niech się aniołeczkiem stanie!

Radość zwycięzkie krasiła oblicza.
Wszyscy stanęli wkoło Wąsowicza,
A ten im począł: »Opowiem staroście,
Jakoście dzielnie bili się waszmoście!
Imieniem króla, górą Sądeczanie!«
»Górą Wąsowicz! — krzyknęli mieszczanie, —
Górą Wąsowicz! z bracią góralami
Górą! Jan Kaźmierz znów królem nad nami!«
Na to Wąsowicz dziękując odpowie:
»Dzielniście! ale jak mi miłe zdrowie,
Niema nad cieślę Bartłomieja chwata;
Pójdź waść, niechaj cię uściskam jak brata!«
I gdy się hussarz z mieszczanem ściskali,
»Górą Bartłomiej!« wszyscy zawołali
I trzykroć w górę oręże podnieśli,
Wołając: Górą sławna barda cieśli!

Właśnie już Bartek bardę z krwi ocierał;
Stał i spokojnie do koła spozierał,
Potem zdjął czapkę i rzecze: »Cześć Bogu!
Że tak się naszych krzywd pomścił na wrogu:
Nam się to, bracia, jutro dostać miało,
Dał Bóg — dziś Szwedom od nas się dostało.

Więc Panu najpierw, — potem ludziom dzięka!
Równą tu pracę miała każda ręka;
Każdy się równo wsławił dziełem krwawem«.
To rzekłszy, z oczu łzy otarł rękawem.
Ale wnet dodał: »Szkoda czasu psować,
Tam ogień, — chodźmy do ognia ratować,
By nam co jeszcze z domów nie zgorzało«.
Poszli więc za nim w ogień rzeszą całą.

TRUMNA.

Ciesielską izbę ozłociło rano,
A Bartek ciosał trumnę modrzewianą;
Ciosał sam w cichej, głębokiej boleści.
Czeladź swą w miasto rozesłał po wieści,
Kiedy w tej pracy wyręczyć go chciała, —
Bo to dla Basi ta trumienka biała.

I znać, że piękną Basi trumna będzie:
Wkoło warsztatu przeróżne narzędzie,
Piły i heble, siekiery i dłuta
A część już spodnia gotowa i skuta,
Biała z modrzewia, jakby zlana mlekiem;
Bartłomiej jeszcze pracował nad wiekiem.
Lecz jakiś straszny spokój w jego twarzy,
Wzrok mu się dziko, beznamiętnie żarzy;
Kamieniem twardym stanął na swej doli,
Serce mogiłą — ale jeszcze boli,
Okropne piekło jeszcze w sobie chowa,
A nad niem pamięć jak lampa grobowa.

Warsztat na środku, po ścianach obrazy;
Ściel odpowiada echem ciężkie razy
Klinów lub dłuta, — barda szczęka smutnie,
Kiedy nią w deskę modrzewiową utnie:
Ona hełm tłukła, a teraz się żali,
Jakby tam serce drgało w twardej stali.
Toż Bartek, jakby zląkł się tego jęku,
Bardę w pół ciosu zatrzymuje w ręku,
Patrzy i bolem omamiony słucha,
Czy jęk ten z bardy czy z serca mu bucha?
Wnet silniej w dłoni toporzysko ścisnął,
Ciął i oczyma ponuremi błysnął
W zgrozie... Ach! wszystko! co serce kochało,
Co pierś żywiło, w duszy urok miało,
Wszystko w tej białej trumnie się zebrało!

I stanął; — znowu deski okiem mierzy,
Myśli i w własne nieszczęście nie wierzy;
Porywa bardę, puszcza ciosów mnogo,
Jakby już o tem zapomniał: — dla kogo?
Ale po chwili musiał w pracy przestać,
Bo oczom światła, ręce siły nie stać
Dłużej, tak boleść piersi mu szarpała,
I tak pod ręką rosła trumna biała.
A gdy urosła, przeklął dzień rzemiosła,
Pierś mu się ciężkiem westchnieniem podniosła:
»O! chciałem, rzecze, inny dom postawić,
Ha! lecz Bóg nie chciał ręce błogosławić,
I stał się, Basiu, ze mnie cieśla lichy,

I wyciosałem ot ten domek cichy...«
Spłakał, serce mu czarną krwią nabrzękło,
Tłukło się dziko o pierś, lecz nie pękło.
Po chwili kredą znak na desce zrobił,
Wziął dłuto i wierzch krzyżem przyozdobił.

Skończył i wieko do trumny przyłożył,
Oglądał; wieko od trumny otworzył,
I zatrzymywał wzrok nad każdą fugą,
Potem w głąb trumny wpatrywał się długo.
Wzdrygnął się nagle, oczy zakrył dłonią,
Jakby nad straszną obaczył się tonią;
W duszy pogrzebne zagrały mu dzwony,
I własną swoją pracą przerażony
Jęknął: »O Boże — Boże! już gotowe
Wszystko!« — i dłońmi mocno ścisnął głowę.

W izbie się potem obejrzał do koła,
Rękę przycisnął do wrzącego czoła:
»Gdyby krwi śladów na bardzie nie było,
Myślałbym, że to wszystko mi się śniło:
Ten bój, — to Basi nieszczęsne skonanie...
Wielkie tu dzieło poczęło się, Panie!
I pójdzie dalej, co gromem się stało. —
Ha, w mojej piersi tak strasznie gorzało!...
Teraz? — o! ciche moje serce w sobie.
Cicho tak będzie tam we świeżym grobie,
Kiedy w nim złożą moją Basię biedną;
Ten grób a serce moje — oj! to jedno«.

Wtem Janusz z Jackiem weszli, i u proga
Powitał Jacek cieślę w imię Boga;
Nadszedł Gadowicz i patron Szydłowski,
Potem Jameński wszedł i Pijanowski.
Ci dwaj na siebie poglądają wrogo,
Bo sobie uraz zapomnieć nie mogą.
Wszedł Olexowicz z rynku; — za nim wchodzi
Tłum podhalanów i mieszczańskiej młodzi.

Milcząc Bartłomiej powitał Janusza.
Spojrzeli: obom z ócz mówiła dusza.
Tak chwilkę patrząc, w obec siebie stali,
A potem sobie obaj dłoń podali.
I całe krwawe dni ubiegłych dzieje,
Radość zwycięztwa, stargane nadzieje
I ból znać było w tym jednym ucisku,
I w wyrazistym szczerych spojrzeń błysku.
»Cóż babka?« Spytał Bartłomiej po chwili.
Janusz mu odrzekł: »Niech ją Bóg posili!
Jak dziecko stała się nieutulona. —
Ze sąsiadkami w domu moja żona«.

Potem przybyłych wszystkich Bartek witał,
Sadzał i prosił i o wieści pytał.
A gdy zasiedli, on sparł się na trumnie
I raz się w koło obejrzał tak dumnie,
Jakby świat cały miał pod swoją ręką —
A ten świat białą kończył się trumienką!...
Wtem rzekł Gadowicz: »Idziemy od bramy,
Już dzięki Bogu i starostę mamy,

Witaliśmy go setnemi okrzyki.
Ma on ze sobą Nawojowców szyki —
Dzielne, nie takie jak te szwedzkie zgraje.
Marcowicz właśnie zamek mu oddaje«.

»Ale Szuszycki, przerwał jeden z młodzi,
Po mieście teraz jak otruty chodzi.
Chciał do starosty w bramie począć mowę,
Lecz tak od wczoraj jeszcze stracił głowę,
Że tylko gębę jak gawron otworzył,
A wtem Staroście burmistrz klucze złożył«.

»Florka złapano! — Olexowicz rzecze, —
Ho! już nam teraz ptaszek nie uciecze: —
Przed sąd i pod miecz!«

»Ja także mam sprawę, —
Rzekł Pijanowski, — i to o niesławę.
Jamański! ja wam męztwa nie odmawiam,
Ale przed sądy wójtowskie was stawiam.
Padł Szwed, — ja chciałem broń porwać w tej [chwili,
A wy mnie na bok jak psa odtrącili«.

»Zgódźcie się, bracia!« Bartłomiej zawoła.
»Zgódźcie się — zgódźcie!« zagrzmiało do koła.
I potąd wszyscy na nich nalegali,
Aż się obadwaj sporni uściskali.

Szydłowski widząc, że Bartek ponury,
Chciał mu rozpędzić z czoła owe chmury,

I począł: »Wiecie, co się z Stachem stało?
Całkiem Krawczyka osmaliło działo.
Leży Stach czarny jakby smok wawelski,
Klnie Szwedów i ów w dziale proch djabelski,
Który pękł, kiedy Stach działo podpalił,
Rzucił Krawczykiem o ziem i osmalił.
Długo tak leżał samotny na murach,
Czarny, w okropnie czarnych dymu chmurach,
I długo bardzo boleśną miał mękę,
Niepewny, coby stracił — wzrok, czy rękę
Aż jakoś, gdy się skończył bój przy bramie,
Ujrzał Stach, że miał skaleczone ramię.

»Biedny Stach!« odparł Bartek Szydłowskiemu.
Lecz wtem rzekł Jacek: »Cześć Bogu naszemu!
Początek dobry; — no! a jakże dalej?
A Bartek na to: »Co tak Bóg zapali,
Na samym Sączu zagasnąć nie może.
My, młódź, w szeregi pójdziem w imię Boże!«
»O! gdybym młodszy! westchnął Janusz stary,
A tak co ze mnie? ot chyba na mary!«
Góral zaś krzyknął: »Bartku! do tej pory
Jeszcze nie syte krwią nasze topory!
Kędy wam droga i my pójdziem z wami;
A wiecie, nie źle w boju z góralami.

Lecz nagle Bartek drgnął na całem ciele:
We drzwiach obaczył wchodzącego Trelę
Z żebrakiem. Trela rzekł smutnemi słowy:
»Bartku! dla panny Basi grób gotowy«.

Powstali wszyscy smutni i ponurzy.
Bartłomiej jął się zbierać do podróży,
Bo miał z pogrzebu iść służyć wojacko.
Ale wtem Jacek głosi wieść żebracką:
»Hej! posłuchania dla starego dziada!
On o Czarnieckim wieści opowiada«.
A stary żebrak spojrzawszy do koła,
Rzecze: »Sławetni! — moja wieść wesoła.
Tak! — nasz Czarniecki Podgórze już rzucił,
I z husarzami w Lubelskie zawrócił«.
»Więc za nim!« Bartek zawołał do młodzi,
»Za nim! — nad Polską nowe słońce wchodzi!«
Wziął trumnę, bardę, wybiegł; rzesza cała
Za nim do domu Janusza zdążała.

Lwów w lipcu 1858.

DOPISKI.

Rzecz ta wzięta jest z czasu, kiedy cała Polska zalana była wojskiem Karola Gustawa aż po Tatry; na zachodzie grasował sprzymierzony z nim niewierny lennik polski, kurfürst brandeburski; wschód zaś i Litwę niszczyło zbuntowane kozactwo ogniem i szablą. Nie było prawie kąta w Polsce, gdzieby nieprzyjaciel nie dotarł zniszczeniem. Król musiał uchodzić na Szląsk do Głogowy; wojsko, potworzywszy związkowe koła, opuściło hetmanów, Czarniecki jeden trzymał się długo w Krakowie wspierany męztwem młodzieży akademickiej i miejskiej; w końcu ustąpił i on przemocy. Na całą Polskę niezajęta była jedna tylko Częstochowa.

Tymczasem zbierał się na Podgórzu Krakowskiem i w Tatrach materjał palny do wielkiego dramatu wyswobodzenia, którego pierwszym aktem była konfederacja Tyszowiecka, dwa zaś ostatnie skończyły się w Danji i w Rossji z sławą oręża polskiego.

Nowy-Sącz zagrożony rzezią od szwedzkiego pułkownika Sztajna, w razie gdyby kogo schwytano na znoszeniu się z Czarnieckim, zostawał przez parę tygodni w nieustannej trwodze; wiedział bowiem prześwietny magistrat, że tak niektórzy z szlachty mieszkającej w Sączu, jako też całe młodsze mieszczaństwo, przebrane w świty wieśniacze, znosiło się ciągle z Czarnieckiego ludźmi. Przy pierwszem schwytaniu zatem mogło przyjść do rzezi, a co gorsza prawie nie było się czem bronić, bo Sztajn zabrał broń miejską i dał ją do schowania szlachcicowi Wielogłowskiemu, arjaninowi. Rzecz w końcu przyszła do przesilenia. Szwedzi postanowili wyciąć i spalić miasto, aby nie mieć nieprzyjaciela za plecami na tak korzystnem stanowisku jak Sącz; wypadało im bowiem wyruszyć z miasta przeciw Czarnieckiemu, który przeciągał po Podgórzu na czele pułku królewskiej hussarji. Mieszczanie atoli dowie-

dziawszy się o ich planie, znieśli się z gromadą z Nawojowej i góralami pod dowództwem Wąsowicza, i uprzedzili Szwedów o trzy dni w planie.

Powstanie w Sączu, zdziałane 13go Grudnia 1655, rozszerzyło się wnet po całem Podgórzu. Szlachta z dworców, wieśniacy z chat, zbrojni w kosy i siekiery, szli i bili wałęsające się po Podgórzu niedobitki Sądeckie.

Czarniecki, połączywszy z swym pułkiem oddziały powstańców, ruszył natychmiast w Lubelskie, a ztamtąd do Tyszowiec w Bełzkie, gdzie Rewera Potocki W. H. K., Stanisław Lanckoroński H. P. K., Krzysztof Tyszkiewicz wda czernichowski, Jędrzej Potocki obóżny, Kor. i Hijacynt Szembek, starosta bogusławski spisali pamiętny akt konfederacji Tyszowieckiej na obronę kraju. Czarniecki był duszą całej tej sprawy. Konfederacja stanęła 29go Grudnia; cztery dni przedtem odstąpili Szwedzi od oblężenia Częstochowy. Tak zaświtała znowu zorza polskiemu orężowi.

Podania Sądeckie niosą, że w pewnej dziewczynie miejskiej rozkochał się oficer dragonów *Pontus'a de la Garde*. Kiedy Sztajn rozkazał wojsku gotować się do rzezi, nie mógł ten przenieść, aby jego kochanka wraz z krewnymi ginęła, i ostrzegł ją, że będzie rzeź, choć Sztajn nakazał zachowywać tajemnicę pod karą gardła. Od niej to dowiedziało się mieszczaństwo o niebezpieczeństwie i miało czas uprzedzić Szwedów.

Smutną rolę szpiegów szwedzkich grali w tej sprawie Wespazjan Szlichting arjanin, dziedzic Dąbrowej, autor pism, za które sejm odsądził go od czci; — Florjan Siemichowski, syn najgodniejszego ojca, dwukrotny apostata z arjaństwa do katolicyzmu i z katolicyzmu do arjaństwa, ścięty za wyrokiem miejskim w Sączu; i żyd Finkel arędarz Konstantego Lubomiskiego, starosty sądeckiego.

Winienem tu dodać, że tylko Basia, Bartek, Janusz, Babka i Jacek są postaciami sfingowanemi; wszystkie inne osoby występują w roli i godności, jak je zachowały akta sądeckie.

Wieczorem.

[1]) *Zaś stare miasto opuściły panny.*

Starem-miastem nazywają do dziś dnia w tamtej okolicy

Stary Sącz. Przed gwałtami szwedzkiego żołdactwa i arjanów zmuszone były zakonnice tamtejsze uchodzić i kryć się po szlacheckich dworach.

[2]) *A nasz Bylina rotmistrz padł w Krakowie.*

Bylinowie pochodzili z Jeżowej w ziemi sądeckiej. Rodzina ta była powszechnie szanowana tak przez mieszczan jako i przez lud. Rotmistrz Bylina zginął w Krakowie w czasie oblężenia, czyniąc wycieczkę na czele studentów i czeladzi.

[3]) *Co który wspomni, że jego gurmana*
Z koroną...

Górale z dóbr królewskich mieli na rękawie u gurmany wyszytą czerwoną koronę.

Litmanowski Nędza.

[4]) Tak się nazywał sławny pod te czasy rozbójnik w Tatrach. Przy najściu Szwedów zaprzestał on rabunku po dworach i kmieciach, i napadał na przeciągające lub furażujące oddziały szwedzkie lub arjańskie zbory.

A Wąsowicze lub zbierają w pułki

[5]) Bracia Wąsowicze, szlachta, sławni męztwem i zaufaniem u ludu. Po wzięciu Krakowa prowadzili na czele górali partyzantkę przeciw Szwedom.

Sam na sam.

W pląsach skoczyły na brzeg topielice

[6]) Tak lud tatrzański jako i wschodnich Karpat wierzy w Topielice, duchy wodne, nęcące człowieka na dno rzek lub jezior; Leśnice, duchy wprowadzające w obłęd i t. d. Legendę o *Mnichu* słyszałem w Tatrach i na Pokuciu. Na Pokuciu zwie on się »Czerneć«.

Gospoda.

[7]) *Przeto, iż celnie podpalał organy.*

Organy, organki, były bronią do strzelania z murów. Kilka lub kilkanaście luf żelaznych wisiało na pasach, za pomocą których nadawano im kierunek. Podpalone razem sprawiały w szeregach szkodę jak ogień kartaczowy.

[8]) *Znam Saxon etc.*

Speculum Saxonum, albo prawo Saskie i magdeburskie. Prawem tem rządziły się prawie wszystkie miasta polskie.

[9]) *Szwedzi rabują kościół Małgorzaty.*

Kollegjata św. Małgorzaty w Nowym-Sączu należała do tych świątyń, ku którym się szczególnie zwracała hojność zamożnych mieszczan i szlachty.

[10]) *Pani Stannowej i podstarościego.*

Wdowa po Hieronimie Stanno, staroście sądeckim i chorążym sanockim, który poległ w potrzebie pod Zbarażem. Arjańska szlachta miała do niej szczególną nienawiść za to, że udało się jej przykładem pobożności nawrócić kilku arjanów do katolicyzmu. Córka jej po śmierci ojca i śród niedoli ojczyzny poszła do klasztoru. Podstarościm sądeckim był Boczkowski, równie nienawidzony od arjanów za gorliwość w nawracaniu.

[11]) *A z sarkofagu ks. Fuzorjusza.*

Ksiądz Fuzorjusz, poprzedni kustosz kollegjaty, był szczególnym jej dobroczyńcą i gorliwym apostołem katolicyzmu między arjaństwem tej okolicy. Po nim został kustoszem ksiądz Cielątkowski. Ten miał czynny udział w powstaniu sądeckim.

[12]) *Staruszka, co tam mieszkała pod murem.*

Historyczne. W czasie oblężenia Częstochowy służyła ta żebraczka za szpiega i za posłańca oblężonym.

[13]) *Tam Wojniłowicz wziął załogę całą.*

Wojniłowicz, porucznik hussarji hetmańskiej, konsystujący w Przemyślu, dowiedziawszy się o łupieztwach Prackiego w Krośnie, który z dominikanina stał się stronnikiem Szwedów i dla nich w Krośnie werbunek założył, wpadł tam z chorągwią wojewody Czernichowskiego, ludzi Prackiego zabrał w niewolę, samego zaś wyciągnionego z za pieca kazał rozstrzelać.

Felicjan Kochowski, brat poety-kronikarza, był rotmistrzem piechoty nawojowskiej.

KONIEC TOMU II.

Spis przedmiotów

II. Tomu.

Str.

1) Chart Watażki 53
2) Chorąży 3
3) Dziewczę z Sącza 203
4) Łużeccy 119
5) Młody lutnista 107
6) Spiewak z Oazy 69
7) Stara Bajka 191

LP
R7597A

Romanowski, Mieczyslaw
Poezye ... zebrał i ułozył Jan Amborski.
Vol.2.

499204

DATE

NAME OF

University of Toront
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED